

M. DAVID MORRELL



Wstrząsająca historia wojny,
przemocy i niezachwianej przyjaźni
...aż do końca



OSTATNIA SZARŻA

DAVID MORRELL

OSTATNIA SZARŻA

Dla Henry'ego Morrisona

Wojna znaczy okrucieństwo; nie da się ich rozdzielić.

William Tecumseh Sherman

JEDEN

Tematem tej książki są wydarzenia historyczne. Niektóre postaci i epizody zostały wymyślone, lecz zasadniczą jej materię stanowią fakty. Tam gdzie to było możliwe, autor posłużył się fragmentami autentycznych rozmów i zachowanymi relacjami opisywanych wypadków.

EL PASO, TEXAS, 8 marca — Generał Gabriel Gavira otrzymał dziś w Juarez nie potwierdzony jak dotąd raport o śmierci dwóch Amerykanów, Franklina i Wrighta, zabitych w poniedziałek przez bandytów Villi w Pacheco, między Casas Grandes a Janos, w Chi-huahua.

W doniesieniach tych brak informacji o losie żony i nieletniego syna pana Wrighta, których widziano w Pacheco w towarzystwie obu mężczyzn.

Gavira oświadczył, że Wright i Franklin — znani tu mormońscy rancherzy, żyjący na zachód od Casas Grandes — zlekceważyli ostrzeżenie, które wysłał po otrzymaniu pierwszych wiadomości o ruchach wojsk Villi na tym obszarze do wszystkich Amerykanów, przebywających w północno-zachodnich rejonach stanu Chihuahua.

COLUMBUS, NEW MEXICO, 8 marca — Oddziały Francisca Villi dotarły dzisiaj do ranha

Palomas Land and Cattle Company w Nogales, Chihuahua, szesnaście kilometrów od granicy i siedemdziesiąt kilometrów na południe stąd — tej treści depeszę nadesłał dzisiaj amerykański zarządca rancho.

Nie ma w niej wzmianki o Arthurze McKinneyu, Jamesie Corbetcie i Jamesie O'Neill, amerykańskich hodowcach bydła, rzekomo wprowadzonych dzień wcześniej.

WASHINGTON, 8 marca — Departament Stanu otrzymał potwierdzenie meldunku o obecności Villi na ranchu Palomas w Nowym Meksyku, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Columbus. Żadne informacje nawiązujące do wcześniejszych doniesień, jakoby ludzie Villi zabili w okolicach Casas Grandes dwóch Amerykanów, Franklina i Wrighta, nie dotarły do Waszyngtonu. Poza jednym człowiekiem, wszyscy Amerykanie zatrudnieni na ranchu Palomas przeszli na amerykańską stronę granicy przed nadejściem Villi. Jak się dowiadujemy, siły Villi ocenia się na czterystu ludzi. *

Columbus, Nowy Meksyk, rok 1916. Nic, nawet jednego drzewka.

Trochę kolczastych krzewów między domami i namiotami, pojedyncze bądy wyschłej trzciny wzdłuż rowu przy przecinającej miasto z południa na północ drodze. Tu i ówdzie kaktusy i osety. Pustynia. Piasek i skały. Nie spodziewał się czegoś takiego. Wyjrawszy przez okno wagonu pomyślał, że to chyba przedmieście. Później pociąg zatrzymał się, wszyscy zaczęli wstawać, więc i on się podniósł, zarzucił plecak na ramię i wysiadł. Spojrzał wzdłuż składu, za lokomotywę, gdzie kończyły się zabudowania. Jakże tam przedmieście! Całe miasto to raptem ze cztery przecznice. Stał na peronie, próbując opanować uczucie zawodu. Pamiętał zieleń El Paso; Rio Grandę, elektryczne tramwaje. Podczas trzydniowego pobytu w Fort Bliss wolne chwile spędzał przesiadując w cieniu drzew na placu alarmowym, chłodząc się w rześkich podmuchach wiatru. Na północy, tam skąd pochodził, była jeszcze zima. Gołe drzewa, brązowa, zwiędła trawa. Ale w Teksasie marzec był całkiem przyjemny. Było ciepło, a wiosenne deszcze barwiły ziemię rozkwitającą roślinnością; niewyblakła, nie wypalona jeszcze upałem. Mówiono mu, że wiosną na pustyni można zobaczyć kwiaty, ale odkąd opuścił El Paso, nie widział żadnych kwiatów. Teraz wiedział, że kpili sobie z niego. Tu nic nie rosło. Chaty z suszonej cegły, drewniane domy, spieczone żarem ulice, wychudły pies o zapadniętych bokach, z wywieszonym językiem pomykający w stronę rowu. Spojrzał

* Fragmenty doniesień korespondentów New York Times z 9 marca 1916 r. (przyp. autora).

10

na spękane od słońca, pokryte pyłem deski peronu i przesunął po nich butem. Rzucił okiem na zakurzone okna budynku stacji, oblizał wargi i rozejrzał się jeszcze raz.

O ile mógł się zorientować, na lewo od torów rozciągał się obóz wojskowy. Wracający z przepustek żołnierze, którzy przyjechali tym samym pociągiem, wysiedli na tę stronę i ze swoimi plecakami pomaszrowali w kierunku rzędu długich drewnianych budynków, czy raczej baraków, spoza których dochodziło rżenie koni. Dotarł do końca peronu i ujrzał flagę oraz tablicę z napisem CAMP FURLONG. Dwóch oficerów wyszło z przysadzistego budynku z suszonej cegły. Miał rację. To obóz

wojskowy. Słońce, wiszące teraz nisko nad torami, świeciło mu prosto w oczy, a gruba wełniana koszula kleiła się do spoconych piersi. Niebo nadal przesłaniała biaława mgiełka. Zahuczała lokomotywa. Pociąg ruszył i po chwili ostatni wagon przesunął się obok niego. Miasto po drugiej stronie torów było właściwie takie samo. Takie same drewniane chałupy, domy z gliny, kilka piętrowych, wyglądających na hotele, budynków, sklep, poczta i piaszczyste, jak po tej stronie, ulice. Ale chyba za sprawą zachodzącego słońca wszystko to wyglądało jakoś dziwnie, inaczej; zabarwione na brązowo, nieostre i jakby oddalone; zupełnie jak na fotografii. Widział jak dwaj mężczyźni w workowatych garniturach wychodzą zza rogu, słyszał posapywanie samochodu, dochodzące gdzieś z północnej strony miasta. Podeszedł do krawędzi peronu i spojrzał w tamtym kierunku, ale nie dostrzegł źródła dźwięku, chociaż ulica biegła prosto i całkiem wyraźnie widział, gdzie miasto się kończy. Pięć przecznic. Ani kropli wody w rowie.

Kompletna pustka.

Sierżant musiał tam być od dawna. Stał i przyglądał mu się przez zakurzone okna stacji. Ujrzał go, gdy odwrócił się na odgłos skrzypienia drzwi za plecami. Surowa twarz, niska, krępa sylwetka, podwinięte rękawy i luźne spodnie wpuszczone w wysokie buty. Kurz na jego twarzy sprawiał, że wyglądał jak nie ogolony.

Chłopiec zeszywniał w postawie na baczność i zsalutował.

— Twoje nazwisko? — rzucił sierżant.

— Prentice.

— Prentice, panie sierżancie. I nie musisz salutować. Zobaczymy twój rozkaz.

Chłopak pogrzebał w plecaku i pokazał swoje dokumenty.

11

— A co z resztą?

— Nie rozumiem. Z jaką resztą?

— Z pozostałymi. Prosiliśmy o dziesięciu, dali nam trzech. Więc gdzie jeszcze dwaj?

— Naprawdę nie mam pojęcia.

— Tu piszą, że jesteś z Ohio. Dziewiętnaście lat, sześć tygodni w służbie. I przydzielili cię do kawalerii. — Sierżant pokręcił głową. — Do kawalerii. Nie wiem, co ma z tego wyniknąć. No dobrze, czego się dowiedziałeś?

— Nie rozumiem.

— Konie. Co wiesz o komach? Jakich używamy?

— Ach, rozumiem. O to chodzi.

— Właśnie. O to. Więc co powiesz? Podobno jesteś kawalerzystą. No więc, udowodnij to. Jakich...

— Krzyżówka araba i amerykańskiego. Sierżant zmrużył oczy.

— Siodło? — rzucił kolejne pytanie.

— Zmodyfikowane McClellana. ~ To znaczy?

— Przedni łąk wysunięty do przodu, wysoki, bez uchwytu. Tylne zaokrąglone.

— Zalety?

— Raczej niewielkie. Olstra lubią się odpinać. Tybinki są za miękkie, kula uwiera i cały ciężar jeźdźca spoczywa na kręgosłupie konia. Poza tym puśliska są zbyt sztywne. Ocierają boki zwierzęcia.

— Gdzieś ty się tego nauczył? W jakimś klubie polo w Cincinnati?

— Nie. Pod Cleveland. Na farmie mojego ojca. Sierżant zacisnął wargi i przyjrzał mu się uważnie.

— W porządku. Może i mieli rację, że cię tu przysłali.

Pomieszczenie miało jakieś trzy metry szerokości i tyleż długości. Trzy prycze, kilka półek, niewielki brzuchaty piecyk i zdjęcia z katalogu Searsa — reklamy damskich gorsetów — na ścianach.

— Do jutra wystarczy. Ci trzech są na przepustce.

Zdjął plecak i rozejrzał się. Podłoga pokryta była warstwą błota. Przez szczeliny w ścianach z surowych desek widać było zachodzące słońce. Zauważył, że nogi prycz wstawiono w otwarte puszkę. Odwrócił się do sierżanta i pytająco zmarszczył czoło.

12

— A tak. I skoro już przy tym jesteśmy, zwróć uwagę, że prycze nie dotykają ścian. Tu jest inaczej niż na północy. Są trzy rzeczy, o których musisz pamiętać: pająki, węże i skorpiony.

Na dźwięk słowa „pająki” chłopiec aż się skulił.

— Jak wchodzisz, to najpierw bierzesz miotłę i wygarniasz spod łóżka. — Sierżant ilustrował słowa odpowiednim pokazem. — Potem musisz podnieść koce i sprawdzić, czy nie ma czegoś w pościeli. Rano znów trzeba pogrzebać pod łóżkiem. Ubranie wytrzeć i wytrząsnąć wszystko z butów. I nie spiesz się, jak je wkładasz. To żaden problem, kiedy już złapiesz, o co chodzi.

— A po co te puszkę pod pryczami?

— W jednej czwartej napełnia się je naftą. Silny, słodki zapach przenikał całą izbę.

— Jeśli coś chce wpełznąć na ciebie, kiedy śpisz, musi przejść przez naftę. Oczywiście nie przejdzie. Wyczyść i napełnij jedną z tych puszek, a zobaczysz, co znajdziesz w niej po tygodniu. Zdziwisz się.

Chłopiec nie chciał nawet o tym myśleć.

— No, to mniej więcej wszystko. Powiedz w kuchni, że jesteś nowy, dostaniesz jeść. Zobaczymy się rano. Gdzie, powiadasz, była ta farma?

— Niedaleko Cleveland.

— Taa. Ja sam jestem z tamtych stron. Pamiętaj, co mówiłem

0 butach. — Sierżant wyszedł.

Chłopiec stał na środku pokoju, wdychał woń nafty i przyglądał się smugom słonecznego blasku na podłodze. Czuł zapach kurzu

1 świeżego drewna. Westchnął powoli, oblizwał wargi i głośno przełknął ślinę. Przez dobrą chwilę stał tak bez ruchu, potem zdjął z głowy wojskowy kapelusz z okrągłym rondem i zawiesił na kołku. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie powinien umieścić plecak, w końcu zawiązał go mocno i powiesił obok kapelusza. Podeszedł do drzwi, ale sierżanta nie było nigdzie widać. Popatrzył na rząd chat po drugiej stronie drogi, stojące dalej baraki i siedzących na werandzie żołnierzy. Tuman kurzu unosił się nad miejscem, gdzie jak przypuszczał, znajdowały się stajnie. Wóz z podwójnym zaprzęgiem, klekocząc drewnianymi resorami, sunął wzdłuż baraków. Żołnierze na werandzie nawet nie spojrzeli w jego stronę. Po chwili światło zaczęło zmieniać barwę; zaszło słońce. Ochłodziło się i zerwał się wiatr. Chłopiec stał w drzwiach, zastanawiając się, czy nie powinien coś zjeść. Na myśl

0 smażonym boczku, kawie i sucharach poczuł kwaśny smak w ustach. Przebiegł wzrokiem po łózkach, jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz

1 zniknął drzwi.

13

Obudził go dźwięk gromu.

Śniły mu się zielone pola i kwitnące sady. Biegł pod górę, gdzie na szczycie wzgórza, przy dębie, stał ojciec. Ale im szybciej się wspinał, tym odleglejszy stawał się wierzchołek. Sylwetka ojca już tylko majaczyła w oddali. Wreszcie dobiegł, wspinał się ostatkiem sił, ale ojca już nie było. Obrócił się w miejscu wypatrując go i zaczął przeszukiwać wzrokiem zielone pola, łąki porośnięte bujną trawą i wzgórza, z których jedno, podłużne, ze skałami na odległym końcu, wydało mu się nagle grobem; ojciec w środku wyęczał siły i walczył, by wyrwać się na powierzchnię. Zaczął padać deszcz. Początkowo łagodny, stopniowo stawał się coraz gwałtowniejszy; zacinał, smagając go po twarzy. Nic już nie widział. Wyciągnął ręce, chciał uchwycić się drzewa, ale nie mógł go znaleźć i nagle zeszywniał, porażony błyskiem i dźwiękiem gromu.

Grzmot dobiegał gdzieś zza drzwi. Chłopiec siedział na łóżku, macając dokoła wyciągniętymi dłońmi. Nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Sierżant się pomylił. Tylko jeden z mieszkańców chaty był na przepustce. Pozostali dwaj wrócili tuż po dziewiątej i przywitawszy się zdawkowo, poszli spać. Teraz odrzucali koce wykrzykując:

— Rany boskie! Co się, do diabła, dzieje?

Odgłosy strzelaniny szybko wyrwały ich z niepewności. Ściany chaty drżały od nieustannego huku. Wskoczyli z łóżek, wciągnęli spodnie i z karabinami w garści rzucili się ku drzwiom, znikając w mroku.

Chłopiec nadal nie ruszał się, z miejsca. Ze swego łóżka widział chaotyczną kotłowaną na zewnątrz. Ogień wzmagał się. Błyski wystrzałów przecinały noc. Machinalnie, poruszając się jak automat, odszukał złożone wieczorem na łóżku spodnie, włożył je i sięgnął po buty. Zmartwiał, przypomniawszy sobie słowa sierżanta. Zostawił buty i po omacku ruszył w stronę drzwi.

Nie miał pojęcia, skąd wzięli się ci wszyscy jeźdźcy. Zdawało się, że są wszędzie — nie kończący się, rozwrzeszczany korowód olbrzymich postaci z łoskotem przewalający się obok niego. Od strony budynków rozległy się wystrzały i pojedynczy jeźdźcy zaczęli spadać z koni. Gdzieś buchnęły płomienie. Jedna z chałup stanęła w ogniu, zaczynała palić się druga. Ciemność i wzniecany kopytami koni kurz ograniczały widoczność, ale w błyskach pistoletowych wystrzałów napastnicy wyglądali na Meksykanów. Ciemne, zawzięte, wąsate twarze, szerokie sombrera, pasy z nabojami na piersiach, błyszczące zęby, przeraźliwe głosy i wypełnione furią oczy.

14

Chłopiec nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi — na wpół rozbudzony, oszołomiony widokiem przed sobą, stał w drzwiach, przytrzymując się oburącz szorstkich belek framugi, by chwilę później ruszyć wolno przed siebie. Był jak zahipnotyzowany otaczającym go chaosem, jakby gotów pozwolić mu się wchłonąć. Nie mógł się zatrzymać. Dokoła kłębiły się konie, coraz bliższe i większe. Wiedział, że nie powinien być w tym miejscu. Uciekaj, mówił sobie, ale nie był w stanie się ruszyć. Uderzony bokiem jakiegoś konia zatoczył się i omal nie upadł. Rozrzucił ręce, z trudem chwytając równowagę, i osunął się na jedno kolano. Zebrawszy siły podniósł się i zobaczył zbliżającego się jeźdźca ze wzniesioną do ciosu maczetą. Dziesięć metrów, siedem, jeszcze bliżej; postać mężczyzny na koniu rosła nieubłaganie. Chłopiec czuł, jak w miejscu, gdzie za chwilę ugodzi ostrze, piecze go szyja i pierś. Jeździec był tuż; ogromny, maczetą zatoczyła łuk... i błysk wystrzału gdzieś z lewej. Uderzony kulą Meksykanin zwałił się z siodła. Koń potknął się, skręcił i przemknął obok, wlokąc za sobą jeźdźca, który wciąż zaczepiony nogą o strzemień obijał się o ziemię i obracał, na twarz, na plecy.

Chłopiec czuł, że się dusi. Oddychaj, rozkazał sobie. Oszołomiony, zwrócił się w kierunku, skąd padł strzał, ale tam nic nie było. Wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć ciemność.

Nic.

A potem fragment tej ciemności jakby się wyodrębnił. Ogromny mężczyzna. Twarz o grubo ciosanych

rysach, masywny tors; cywil — spostrzegł chłopiec. Biegł, przykucnął, strzelał, znowu biegł. W jednej ręce trzymał automatyczny pistolet, w drugiej powtarzalny karabin. Tak jak przedtem Meksykanin na koniu, zmierzał prosto na niego. A chłopiec, jak przedtem, stał osłupiały, tylko że tym razem nikt nie strzelił. Mężczyzna dopadł go i uderzył barkiem, aż obaj gruchnęli na ziemię.

— Co się dzieje? — Chłopiec miał pełne usta piachu. — Kto do...

— Leżeć, do cholery!

Poczuł jak jedna ręka chwyta go za pasek, a druga za kark. Ręce wlokły go, popychały, mężczyzna kłął. Przed nimi zamajaczyło wejście do budynku. Obce dłonie wepchnęły go do środka. Upadł na podłogę.

Równie szybko jak się pojawił, mężczyzna zawrócił i pobiegł w ciemność. Zatrzymał się, kiedy błysnęły przed nim lufy meksykańskich pistoletów, wypalił dwukrotnie i pobiegł dalej. Zniknął.

Chłopiec leżał na zabłoconej podłodze i patrzył za oddalającym się mężczyzną. W pasie i na szyi, tam gdzie pochwyciły go dłonie obcego, czuł mrowienie. Na dłoniach i kolanach piekły go zadrapania, jakich

15

doznał podczas upadku. I było coś jeszcze — coś, co trzymał w dłoniach. Powtarzamy karabin ładowany dźwignią. Nawet nie wiedział, że mężczyzna go zostawił. Leżał, wlepiając wzrok w ciemność, a potem jakby zdziwiony tym, co robi, zarepetował karabin, podniósł do ramienia i, prawie nie celując, wystrzelił w tłum za drzwiami.

8

Ugodzony w szyję jeździec osunął się z konia. Cywil strzelił znowu i kolejnego trafił w pierś. Był prawie tak potężny, jakim widział go Prentice. Trudno powiedzieć dokładnie, ale co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów, może więcej. Wysoki kowbojski kapelusz z podwiniętym rondem sprawiał, że mężczyzna wyglądał na dwa metry. Duża głowa, gruba szyja, potężne ramiona. Pod koszulą i kamizelką wyraźnie rysowały się węzły mięśni ramion i piersi. Długie, mocne nogi i masywny tułów. Dziwne, że biegnąc w ciemności, poruszał się tak zwinnie i szybko. Dziwne, że w ogóle biegł. Kiedy chłopak leżał na ziemi przygnieciony ciężarem obcego, podniósł wzrok i zobaczył, jak stary jest tamten. Sześćdziesiąt — sześćdziesiąt pięć lat, pobruź-dżona twarz ze zniszczoną, jakby wygarbowaną, nieco obwisłą skórą, pokrytą kilkudniowym, siwym starym zarostem.

Pierwszy strzał mężczyzna usłyszał, kiedy opuściwszy swoją kwaterę, zmierzał ku stajniom. Było tuż po czwartej. Najpierw chciał sprawdzić, czy koń dostał paszę i wodę. Później zamierzał wypić kawę i zjeść kawałek boczku w kantynie, a potem paląc papierosa popatrzeć, jak wschodzi słońce. Przez ten czas żołnierze, z którymi miał wyruszyć na patrol, zdążyliby wstać i przygotować się do drogi. Potem pojechaliby razem ku granicy, na zachód od obozu.

Nie doszedł do stajni. Był cztery kroki od chaty, w której spał tej nocy, kiedy usłyszał wystrzał i zatrzymał się. Czekał chwilę w napięciu. Po chwili rozległ się kolejny strzał, a potem salwa z wielu luf. Przypomniawszy sobie dudnienie, które słyszał nad ranem i wziął za poranny grzmot w górach. Teraz rozumiał. To były konie. Przygotowany do patrolu, miał ze sobą karabin, a w kaburze pistolet. Wydobył go i załadował, spoglądając jednocześnie w kierunku, skąd słychać było strzały i konie. Szukał w myśli sposobu obejścia napastników.

Byli gdzieś na prawo od niego. Pobiegł wzdłuż baraków. Dalej, w pobliżu sklepu, widział błyski wystrzałów. Zaczynały się palić chaty. Słyszał okrzyki jeźdźców, tętent koni i odgłosy palby. Biegł, aż znalazł miejsce, skąd miał dobry widok na nacierających. Strzelił. W zamie-

16

szaniu nie wiedział, czy trafił. Strzelił jeszcze raz i zmienił stanowisko, wbiegając między budynki. Złożył się i strzelał do przelatujących mimo niego jeźdźców, jeszcze raz i jeszcze. Opróżnił magazynek, wsunął nowy. Już wiedział, że to Meksykanie. Nadciągał kolejny. W olbrzymim sombrero, z maczetą połyskującą na tle przeciętej bandolierami piersi. Przez chwilę prowadził go lufą, celując. Strzelił i Meksykanin zwałił się z siodła. Jedna stopa jeźdźcy została w strzemieniu. Koń potknął się, rzucił w bok i pognął dalej, wlokąc za sobą obracające się na rzemieniu, podskakujące ciało.

Odprowadził go wzrokiem i wtedy dostrzegł obiekt ataku Meksykanina. Nie do wiary! Pośrodku tego wszystkiego, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, zupełnie bezbronny, stał jakiś mężczyzna. Nie, nawet nie mężczyzna — chłopiec, w wojskowych spodniach, bez koszuli, w białym, jaśniejącym w ciemności podkoszulku. Wymarzony cel. Stał tam bez ruchu, gapiąc się na niego, a obok przelatowały konie i huczała strzelanina.

To było głupie. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale, na Boga, ten szczeniak sterczał tam jakby nigdy nic. W następnej chwili wybiegł pomiędzy budynków i rzucił się ku niemu. Przykucał, strzelał do przelatujących obok jeźdźców i biegł dalej, czując ogarniającą go wściekłość. Gdy wreszcie dobiegł, z całej siły grzmotnął ramieniem w pierś chłopaka i obalił go na ziemię.

Rozciągnęli się obaj w piachu.

— Co się dzieje? Kto do...

— Leżeć, do cholery!

Był na siebie tak zły, że omal go nie uderzył. Chwycił chłopaka za kark i pasek spodni; włókł go i popychał, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Dotarli do najbliższej chaty. Drzwi były otwarte, cisnął go więc do środka, wrzucił za nim karabin i odwrócił się, by wrócić do przerwanej roboty. Złożył się i dwukrotnie wypalił do dwóch mijających go Meksykanów.

Jeździec ugodzony w szyję osunął się z konia. Cywil strzelił znowu i kolejnego trafił w pierś.

Obejrzał się w stronę chaty, w której zostawił chłopca, i w drzwiach zobaczył błysk wystrzału. Pomyślał, że z chłopakiem wszystko w porządku i przestał zaprzętać sobie nim głowę.

Za sobą usłyszał huk. Obejrzał się i dostrzegł żołnierza z wycelowaną bronią, kryjącego się za rogami budynku. Pięciu innych, chroniąc

2 — Ostatnia szatit

17

go z boków, prowadziło ogień z ziemi. Strzały padały od strony baraków żołnierskich, spod wozów, z rowów i z kęp krzaków. Napastnicy zaczęli dostawać baty. Płonęły nie tylko chaty w obozie, pojawiły się też pożary w mieście; migotliwą łuną rozlewały się po niebie.

Dostrzegł konnych, zmierzających w kierunku stojących w ogniu domów. Rzucił się między budynki, strzelając w biegu do jeźdźców, przewalających się falą przez stację. Dotarł do nasypu kolejowego, wspiał się nań i zwolnił. Upewnił się, że po drugiej stronie nie ma nikogo i zbiegł w dół. Po jego lewej stronie ciągnęła się główna, biegnąca z południa na pomoc, ulica miasteczka, pełna strzelających, niszczących wszystko na swej drodze jeźdźców. Ód prawej nadciągali żołnierze z karabinami w dłoniach. Przebiegł otwartą przestrzeń, oddzielającą go od rzędu domów, przesadził płot i boczną uliczką dotarł do traktu, przecinającego miasto ze wschodu na zachód. Ogień w domu naprzeciwko sprawiał, że było tu jasno jak w dzień.

Na środku ulicy grupa żołnierzy pośpiesznie ustawiała karabin maszynowy. Zza rogu wysypała się gromada jeźdźców. Nacierali galopem. Po chwili dołączyła do nich druga grupa.

Późniejsze ustalenia nie rozproszyły wszystkich wątpliwości. Wzięty do niewoli Meksykanin zeznał, że ich dowódca jak zwykle nie uczestniczył w walce. Że wydał tylko rozkazy i z oddziałem rezerwowym wycofał się na pustynię. Co więcej, że tego dnia nie dosiadał swego sławnego białego konia, Siete Leguas, ale deresza imieniem Taurino. Niemniej mężczyzna w cywilnym ubraniu był pewien, że oto widzi Villę. Niski, krępy, o niemal nieproporcjonalnie rozrośniętej klatce piersiowej, gnał na wielkim, białym koniu. Mimo oddalenia jego postać zdawała się wypełniać całą ulicę; zwracały uwagę zimne, czarne oczy, patrzące znad długich, obwisłych wąsów.

Obsługa karabinu maszynowego desperacko usiłowała przygotować broń do walki. Jeden z żołnierzy przykucnął, ustawiając trójnóg, drugi ładował magazynek. Inny strzelał gorączkowo, chcąc dać kolegom jakąś osłonę. Nie mieli żadnych szans. Zionąca ogniem kolumna napastników przewaliła się przez nich, nawet nie zwalniając biegu. Cywil uczynił krok wstecz, w najbliższy zaułek, i wycelował pistolet w galopującego środkiem ulicy Yillę. Uderzenie kuli w ścianę nad jego głową sprawiło, że wzdrygnął się; wycelował ponownie i tym razem strzelił. Chybił. Zamek pistoletu zatrzymał się w tylnej pozycji. Magazynek był pusty. Wyciągnął go, sięgnął do kieszeni po następny i w tym momencie wyrósł przed nim nieruchomy cień. Spojrzał w górę na Meksykanina, szczerzącego doń zęby z końskiego grzbietu. Był nie

18

dalej niż o trzy metry; nie przestając się uśmiechać podniósł broń, gotując się do strzału. Nie zdążył. Cywil sięgnął pod rozpiętą kamizelkę, wydobyl zapasowy rewolwer, stary bębenkowiec Colta, i rzucił się przed siebie, nurkując pod łbem konia. Zwierzę stanęło dęba. Mężczyzna odskoczył, umykając spod kopyt, i strzelił w górę, prosto w twarz jeźdźca. Meksykanin całym ciężarem zwałił się na zad wznoszącego się na tylne nogi wierzchowca i obaj, koń i jeździec, runęli na ziemię.

10

Zegar na stacji, uszkodzony pociskiem, zatrzymał się na 4:11, co pozwoliło później dokładnie określić czas ataku. Nie zostały wyjaśnione natomiast wątpliwości co do motywów postępowania Villi. Dwa lata wcześniej deklarował swoją sympatię dla Amerykanów. Przyjmował wysłanników prezydenta Stanów Zjednoczonych i podczas głośnego spotkania na moście między El Paso a Juarez konferował z amerykańskimi generałami.

Wojna domowa w Meksyku trwała już wtedy cztery lata. W roku 1911 upadła dyktatura Porfiria Diaza, a urząd prezydenta objął cieszący się zdecydowanie większą popularnością Francisco Madero. Jego z kolei obalił Huerta, generał o podobnie jak Diaz dyktatorskich zapędach. Villa był stronnikiem Madera i mając za sobą czterdziesto-tysięczną armię zwrócił się przeciwko Huercie. Zajęło mu to cały rok, ale wspierany przez innych przywódców rewolty, takich jak Zapata i Carranza, ostatecznie zwyciężył. Powstało pytanie, kto będzie rządził krajem. Villa od początku głosił, że nie zamierza kandydować do najwyższych urzędów. Kiedy jednak Carranza zdobył wystarczające poparcie, by sięgnąć po władzę, Villa wystąpił przeciwko niemu. Jak kraj długi i szeroki rozgorzały walki, wywołane ich rywalizacją.

Stany Zjednoczone znalazły się w niezwykle trudnej sytuacji. Prezydentem był wówczas Woodrow Wilson, zagorzały izolacjonista i przeciwnik angażowania się Ameryki w wojnę w Europie. Niemcy, obawiając się, że mógłby on z czasem poprzeć aliantów, wysyłali do Meksyku broń i ludzi. Zakładali, że Amerykanie, dopóki zagrożona jest ich południowa granica, nie ruszą wojować za ocean. Wilson natomiast zdecydowany był przywrócić w Meksyku spokój, a Niemców przegnać. Problemem było, który z przywódców powstania ma dość siły, by zjednoczyć kraj. Carranza cieszył się sporym poparciem swych ziomków, ale Yilla także. Proamerykańskie nastawienie tego ostatniego

19

czyniło zeń zdecydowanego faworyta Wilsona. Jednak w pewnym momencie Yillę zaczęły spotykać niepowodzenia wojenne, a ponadto rozeszły się pogłoski o jego powiązaniach z wielkim kapitałem. Toteż kiedy Carranza wywalczył sobie poparcie centrali związkowej AFP, Wilson, naciskany, by podjął szybką decyzję, wybrał Carranzę. Rozkazał przerwać dostawy amerykańskiej broni i żywności dla Yilli, a jednocześnie w miarę możliwości wspierał jego konkurenta.

Kulminacyjnym punktem konfliktu stały się wydarzenia w Agua Prieta, na granicy Arizony i Meksyku. Yilla oblegał tam zgrupowanie sił Carranzy, któremu Amerykanie, zezwoleniem na tranzyt kolejowy przez swoje terytorium, ułatwili ufortyfikowanie miasta. „Teatr działań bitewnych stanowiło miejsce praktycznie niespotykane w dziejach wojen — napisze później historyk. — Obserwatorzy mogli oglądać bitwę spoza jej pola, niczym mecz futbolowy... Kiedy nadciągnęły wojska Yilli, okopy po stronie amerykańskiej były obsadzone, a artyleria już przed świtem zajęła uprzednio wybrane

pozycje... Artyleria Carranzy otworzyła ogień i przez resztę popołudnia i wieczór trwała gwałtowna wymiana ognia między obrońcami i atakującymi. O pierwszej trzydziści nad ranem Yilla rzucił swych ludzi do bezpośredniego szturmu... wszystko na próżno. Żołnierze Yilli mieli się dowiedzieć tego, co obie strony na zachodnim froncie wojny w Europie już wiedziały: atak na pozycje zabezpieczone zasiekami z drutu kolczastego, bronione krzyżowym ogniem karabinów maszynowych, wspieranym przez ostrzał artyleryjski — skazany jest na niepowodzenie. Prawdopodobnie po raz pierwszy w militarnej historii Meksyku pole bitwy było oświetlone. Wcześniejsze sukcesy Yilli w walkach nocnych sprawiły, że wiązał z tą taktyką wielkie nadzieje. Tymczasem pod Agua Prieta potężne reflektory zamieniły noc w dzień, nie tylko ujawniając zbliżające się natarcie, ale i oślepiając napastników. Pojawienie się reflektorów stało się źródłem goryczy zwolenników Yilli, niebawem dołączyła do niej uraza wywołana zawiedzionymi nadziejami, jakie wiąźali ze stanowiskiem Amerykanów. W ciągu kilku dni stało się bowiem oczywiste, że do ich klęski przyczynił się — jeśli jej nie spowodował — zwrot w polityce Stanów Zjednoczonych. Wśród ludzi Yilli krążyły pogłoski, że reflektory dostarczyli ich przeciwnikom Amerykanie, że obsługiwali je amerykańscy żołnierze, a wreszcie, że ustawione były po amerykańskiej stronie granicy". *

Kolejne niepowodzenia podkopały morale oddziałów Yilli. Brako-

* Nieco zmieniony i skrócony cytat z: Clarence Clendenen — The United States and Pancho Yilla, 1961 (przyp. autora).

20

wało broni, wkrótce też jego siły stopniały z czterdziestu do czterech tysięcy żołnierzy, potem do czterystu. Wycofał się w pustynne, górzyste regiony stanu Chihuahua i pełen złości na gringos za pomoc okazaną Carranzie zaczął występować przeciwko działającym na tym terenie amerykańskim kompaniom wydobywczym: Porywał dla okupu zarządców kopalń, przechwytywał dostawy paliwa, napadał i łupił obozy górników. Do incydentów tego rodzaju dochodziło przez cały rok 1916. Najgłośniejszy z nich miał miejsce dziesiątego stycznia i znano go jako „masakrę w Santa Isabel". Tego dnia z pociągu do Chihuahua City uprowadzono, a następnie zastrzelono siedemnastu Amerykanów, którzy zamierzali uruchomić kopalnię, zamkniętą wcześniej przez Yillę. Pies górników, chociaż niemal przecięty na pół uderzeniem maczety, jakimś cudem przeżył. Złoty sygnet, zrabowany jednemu z zabitych, odnaleziono przy jeźdźcu poległym w Columbus. Według wszelkich doniesień sam Yilla nie był obecny podczas napadu na pociąg. Niemniej to, co się tam stało — stało się na jego rozkaz.

Zważywszy jak bardzo Yilla potrzebował żywności i broni i jak gwałtownie zmienił się jego stosunek do Stanów Zjednoczonych, należało się spodziewać, że niebawem przyjdzie mu do głowy najechać któreś z przygranicznych miasteczek. W rzeczy samej Amerykanie tego właśnie oczekiwali. Raporty o pojawieniu się oddziału Yilli w pobliżu granicy co dzień docierały do Fort Bliss w El Paso. Garnizony wzdłuż linii granicznej postawiono w stan pogotowia. I tak dowództwu Camp Furlong w Columbus zlecono patrolowanie z górą stukilometrowego odcinka strefy granicznej.

Jednakże wszyscy byli pewni, że Yilla zaatakuje El Paso, zwłaszcza że akcja w Palomas, meksykańskim mieście na południe od Columbus, nie przyniosła mu żadnych korzyści. Nie brano pod uwagę tego, że jego ludzie rozpaczliwie potrzebują sprzętu wojskowego i koni. Nie wiedziano też,

jaką nienawiścią pała on do pewnej dwójki sklepikarzy. Bracia Sam i Louis Ravel prowadzili w Columbus hotel i dom towarowy. Kiedy rząd amerykański zakazał zaopatrywania Yilli, odmówili wydania zamówionej broni, a także zwrotu otrzymanych już pieniędzy. Ich hotel i sklep stały się głównym celem najazdu Mek-sykanów. Po gruntownym złupieniu, oba budynki podpalono.

Sam wypad przeprowadzony został w sposób mistrzowski. Nagłe nocne ataki były powszechnie znaną specjalnością Yilli. Jego oddział przeciął granicę kilka kilometrów na zachód od przejścia granicznego, unikając w ten sposób rozmieszczonych tam posterunków. Nad ranem dziewiątego marca Yilla przywiódł swych ludzi na przedmieścia Columbus i zarządził jednoczesne natarcie z dwóch stron. Na obóz

21

wojskowy, zwłaszcza na stajnie i magazyn amunicji, oraz na handlowe centrum miasta, sklep i hotel braci Ravel. Dzień wcześniej wysłał dwóch ludzi z zadaniem rozpoznania sił miejscowego garnizonu. Donieśli, że liczy on raptem trzydziestu żołnierzy. Naprawdę było ich trzystu, lecz w ciągu dnia większość z nich pełniła służbę patrolową. Stąd pomyłka zwiadowców i dlatego pozornie łatwa wyprawa zakończyła się klęską.

Trudno sobie wyobrazić widok, jaki przedstawiało miasto zamieszkane przez czterystu cywilów i trzy setki żołnierzy, kiedy wkroczyło do niego jeszcze czterystu meksykańskich jeźdźców i wszyscy zaczęli strzelać. Nawet w dzień powstałoby niesamowite zamieszanie, a co dopiero nocą. Tym bardziej dziwić musi fakt, że lista ofiar ze strony Amerykanów obejmuje tylko osiemnastu poległych i ośmiu rannych, przy dziewięćdziesięciu zabitych, dwudziestu trzech rannych i kilku wziętych do niewoli po drugiej stronie. Szybkość, z jaką amerykańscy żołnierze otrząsnęli się z pierwszego szoku, dobrze świadczyła o ich przytomności umysłu. Udało im się zmobilizować na tyle, że planowane przez Meksykanów błyskawiczne natarcie zamieniło się w trzygodzinną regularną bitwę. Mimo to Yilla osiągnął swój cel. Zdobył nie tylko znaczne ilości prowiantu; jego ludzie uprowadzili osiemdziesiąt koni, trzydzieści mułów i kilka wozów sprzętu wojskowego: karabiny maszynowe, amunicję i trzysta karabinów typu Mauzer, które zresztą wkrótce potem stracili. Nie odnotowano przypadków gwałtu.

11

Mężczyzna, który wraz z żoną próbował przebiec na drugą stronę ulicy, sądził, że uda im się schronić w murowanym budynku drugiego hotelu. Jego żona była w piątym miesiącu ciąży. Widoczny z daleka wydęty brzuch sprawiał wrażenie, jakby to był miesiąc szósty czy siódmy. Dostała kulę. Zrozpaczony mąż osunął się przy niej na kolana i jakimś cudem ocalał.

Inny mężczyzna, mając przy sobie żonę i trzymiesięczne dziecko, wyprowadzał z garażu samochód, którym chcieli opuścić miasto, kiedy otrzymał postrzał w ramię. Udało mu się dotrzeć do głównej ulicy, gdzie ranny powtórnie, zemdłał. Jego żona przesunęła się na siedzenie kierowcy i wywiozła ich na pustynię.

Pewna rodzina ukryła się w kępie kaktusów. Inna, broniona przez dwóch mężczyzn, z których jeden był w wojsku porucznikiem — w rowie. Kiedy nadjechał konny Meksykanin i omal ich nie stratował,

powalili go strzałem z karabinu. Okazało się, że był tylko ranny. Obawiając się, że kolejny strzał może przyciągnąć czyjąś uwagę, mężczyźni podbiegli do leżącego i próbowali zakłuć go nożem. Ostrze złamało się, więc jeden przytrzymał rannego, a drugi dobił go, tłukąc kolbą karabinu. Obok, skulone w rowie żona i córka porucznika odwracały wzrok i zatykały dłońmi uszy, by nie słyszeć odgłosów masakry.

Jeszcze inna rodzina przycupnęła w swej sypialni, drewniane ściany domu wyłożywszy wprzód materacami. Bardzo się bali, że płacz pięciomiesięcznego dziecka zwabi napastników, toteż matka wetknęła mu w usta poszewkę od puduszki i na pewien czas przestała zwracać na nie uwagę. Kiedy ponownie zajrzała do kołyski — dziecko nie ruszało się. Bliska hysterii, wyrwała poszewkę z jego ust; po chwili zaczęło oddychać.

12

Tymczasem kolumna jeźdźców minęła zaułek. Cywil biegał od jednego leżącego Meksykanina do drugiego, sprawdzając, czy niczyją. Wschodzące słońce oświetliło ulicę i tak już jasną od rozprzestrzeniającego się ognia. W drzwiach domu po przeciwnej stronie pojawili się dwaj Meksykanie, wlokący między sobą chłopaka w bieliźnie. Opierał się, choć nie sięgał im wyżej ramion. Jego prześladowcy zatrzymali się i stwierdziwszy, że zostali sami, jęli się rozglądać. Cywil strzelił dwukrotnie i jeden zwałił się na drewniany chodnik; drugiego kula rzuciła na szybę w witrynie sklepu. W tym momencie kolumna jeźdźców zawróciła i pogalopowała z powrotem, nie zobaczył więc, co stało się z chłopcem.

Pospiesznie wycofał się w swój zaułek. Skacząc na oślep zderzył się z kimś i kiedy się odwrócił, ujrzał zalaną krwią, oślepłą kobietę. Cofnęła się chwiejnie, a potem wyciągając przed siebie ręce, ruszyła znów w kierunku ulicy. Pochwycił ją, przydusił do ziemi i klęcząc na jednym kolanie, strzelał nad jej głową do mijających ich jeźdźców. Gdy przejechali, wybiegł na środek ulicy i strzelał jeszcze do oddalających się.

Widoczność była coraz lepsza. Obejrzał się, sprawdzając, czy nie nadjeżdżają następni, i nie przerwał ognia, póki nie skręcili w lewo, znikając za rogiem. Jeden upadł, inny po strzale chwycił się za ramię. Odjechali. Z tyłu, od strony obozu, dochodziły odgłosy strzelaniny. Pojedyncze wystrzały słyhać było ze wszystkich części miasta. Spojrzał

23

na kobietę pozostawioną w zaułku. Szła potykając się. Teraz wyraźnie widać było jej poranioną twarz. Jakaś kobieta pospieszyła jej z pomocą. Obrócił się w koło, szukając przeciwników. Nie było nikogo. Z oddali usłyszał dźwięk trąbki — sygnał wzywający na zbiórkę. Potem kolejny sygnał — do ataku. Chwycił cugle wierzchowca zabitego przed chwilą Meksykanina i starając się nie spłoszyć zwierzęcia, lekko wskoczył mu na grzbiet. Meksykańskie siodło z wysokim, masywnym uchwytem na przednim łąku wydało mu się nieco dziwne. Uderzył konia piętami i pogalopował środkiem ulicy.

To co nastąpiło później, zakończyło się jedną z czterech ostatnich w dziejach kawalerii Stanów Zjednoczonych szarży w szyku konnym, z użyciem broni krótkiej. Cywil skręcił na najbliższym skrzyżowaniu i główną ulicą dotarł do torów kolejowych. Przejechał nasyp, po lewej stronie mając budynki dworca; po prawej znajdował się urząd celny i stamtąd właśnie dobiegały salwy ognia karabinowego. Pomyślał, że to chyba żołnierze ze wzniesienia obok masztu flagowego strzelają do wycofujących się Meksykanów. Dostrzegł galopujący przez obóz oddział wojska; drugi dołączył do niego z lewej i oba skręciły w stronę pustyni. Słońce, połową tarczy wychylone zza horyzontu, nie świeciło jeszcze dość jasno, by cokolwiek można było dostrzec z tej odległości. Kurz, wzniesiony kopytami koni — według jego oceny jeźdźców było co najmniej pięćdziesięciu — dodatkowo pogarszał widoczność. Wjechał w obłok pyłu i gdy przebił się przez kurz, skręcił w prawo. Ogień osłonowy z obozu ucichł, słychać było tylko strzały z galopującego przed nim szwadronu. Strzelił raz i drugi, ostatecznie kierując się prosto na południe. Obłok kurzu wznosił się coraz wyżej; nie zwalniali. Przynaglił konia do szybszego biegu, zajmując nieco wysuniętą pozycję na lewym skrzydle.

Kopyta końskie unosiły się i opadały, wybijając pospieszny rytm na kamienistym podłożu pustyni. Z minuty na minutę robiło się jaśniej i wreszcie daleko w przodzie, trzysta metrów, może więcej, pojawiły się sylwetki jeźdźców; małe, ruchliwe figurki w kłębach pyłu przemykające między kaktusami. Cywil mijał porzucone przez nich wozy i zaprzęgi, leżących na piasku rannych. Po prawej widział rozciągniętą w nierówną linię grupę kawalerzystów. Grunt przed nim obniżył się gwałtownie. Zjechał, wspiął się po drugiej stronie rozpadliny i znowu puścił konia galopem. >

Ścigani mijali teraz niewielkie wzniesienie. Część z nich została w tym miejscu, by ogniem karabinów osłaniać odwrót pozostałych. W piasek zaczęły uderzać kule. Upadł jeden, potem drugi żołnierz. Ktoś wykrzyknął komendę i oddział zatrzymał się. W pierwszej chwili

cywil pomyślał z obawą, że zamierzają wracać do obozu. Ściągnął cugle. Inni zwalniali, zatrzymywali się powoli. Przyjrzał się żołnierzom. Stali w luźnym szyku, pojedynczo lub grupkami po kilku jeźdźców, spluwali kurzem, ocierali twarze, nie wypuszczając cugli z zaciśniętych dłoni. Żołnierskie koszule ściemniały od potu. Obłok pyłu opadał powoli. W przodzie, teraz już całkiem wyraźnie, widział konnych objeżdżających wzgórze oraz błyski wystrzałów ze szczytu. Wśród żołnierzy dostrzegł majora Tompkinsa. To on kazał im się zatrzymać. Był bez kapelusza, w mundurowych spodniach i koszuli roboczej; cienki wąsik miał przyprószone kurzem. Rzucił okiem na jeźdźców na wzgórzu, potem na swoich ludzi.

— Rozwinąć szyk! — zakomenderował.

— Tak jest! — odpowiedział sierżant i radośnie wyszczerzył zęby. Pozostali również jęli się uśmiechać. Wcale nie zamierzali wracać

do obozu. Major rzucił pierwszą komendę przygotowania oddziału do ataku. I zważywszy, że zatrzymali się bezładną gromadą, cywil nie mógł nadziwić się szybkości, z jaką utworzyli linię — każdy w swoim szwadronie, każdy szwadron na swoim miejscu, ramię w ramię, zwróceniu ku obsadzonemu przez wroga wzgórze. Trącił konia piętami i przesunął się na lewy kraniec linii. Major kilkakrotnie przejechał wzdłuż szyku upewniając się, czy wszyscy są gotowi. W pewnym momencie zatrzymał się i spojrzał ku niemu. Cywil skinął głową. Major odpowiedział podobnym gestem, a

potem zwrócił się do swoich ludzi:

— Sprawdzić broń!

Niepotrzebnie, bo oni, nie czekając na rozkaz, już to zrobili. Wyciągali zużyte magazynki i sprawdziwszy zamki pistoletów, wsuwali świeże. Przeciągły, metaliczny szczęk przeleciał wzdłuż szeregu, gdy magazynki wślizgiwały się do gniazd. Siedzieli teraz gotowi, napięci, z całej siły, aż pobielającymi palcami, ściskając kolby pistoletów.

Major jeszcze raz przebiegł wzrokiem swój oddział.

— Stępa, marsz! — rozkazał.

— Tak, jest! — jak echo odpowiedział sierżant. — Stępa, marsz! Ruszyli. Pojedyncza, równa Unia. Żołnierz przy żołnierzu. Zupełnie

jakby szykowali się do wyścigu i jakby zależało im, by wystartować jednocześnie.

Przez krótką chwilę postępowali w ten sposób, pozwalając koniom zaczerpnąć oddechu, wczuwając się we wspólny rytm marszu. Padła następna komenda, natychmiast powtórzona przez sierżanta.

— Kłusem, marsz! — a potem: — Galopem!

I jakby ruszyła wielka maszyna, uruchamiana kolejnymi rozkazami.

24

25

Sprawna, ogromna, niepowstrzymana w swej sile. Za jadącym na lewym skrzydle cywilem podniósł się tuman kurzu. I wreszcie:

— Cwałem, do ataku!

Tym razem sierżant nie musiał powtarzać rozkazu. Konie złapały rytm i utrzymywały go nie popędzane. W prawej ręce dzierżąc gotowy do strzału pistolet, rozluźnili wodze, lekko przytrzymywane lewą ręką. Nieprzerwany cwał; wzgórze, gdzie czają się tylne straże Meksykanów, rośnie w oczach. Błyski ognia na wzgórzu, świst kul. Żołnierze stają po kolei w strzemionach, pochylając się do przodu. „Ognia”, woła major.

Zaczynają strzelać; każdy pochylony nad końską grzywą, celując nad łbem zwierzęcia, między jego uszami. Huk wystrzału, szarpnięcie odrzutu, sypią się puste łuski. Jakby płonął wóz pełen amunicji. Echo salw toczy się pustynną równiną. Pięćdziesiąt pistoletów, siedem naboji w magazynku. Wzgórze tuż-tuż. Kule dźwięczą o skały, rozpryskują się kaktusy. Meksykanie na szczycie odpowiadają ogniem. Środek linii zostaje nieco w tyle, skrzydła wysuwają się do przodu, zaczynają okrążyć wzgórze, tworzą półkole; wciąż do przodu, ogień nie słabnie. Ci, którzy wystrzelali naboje z pierwszego magazynka, nie wypuszczając cugli z lewej ręki wymieniają go na nowy i strzelają dalej.

Skąły i kaktusy na szczycie wzgórza rozlatują się pod gradem kul; Meksykanie padają, wycofują się, żołnierze następują nieprzerwanie i oto wierzchołek. Nikogo. Rozrzucone dokoła zwłoki; grupa jeźdźców zjeżdża w dół przeciwległym zboczem.

Kilku żołnierzy rzuca się w pościg za uciekającymi. Inni sięgają po karabin.

— Stać! — krzyczy major. — Stać! — powtarza.

On i sierżant musieli jednak wołać jeszcze raz, nim rozpędzeni kawalerzyści usłyszeli i zawrócili. Ci, którzy dobyli karabinów, otworzyli już ogień; leżąc, klęcząc, rozsypani po całym wierzchołku pagórka. Jeźdźcy w dole zaczęli spadać z koni. Do strzelających przyłączyli się wracający z pościgu, ogień wzmógł się. Coraz więcej trafionych, potem mniej i w końcu, zamiast celu, widać było tylko ruchome obłoczki kurzu.

— Wstrzymać ogień! — rozkazał major. Niektórzy strzelali dalej.

— Wstrzymać ogień! — zawołał sierżant. Ucichło.

Nadleciał wiatr, zasypując ich drobinami piasku. Nikt się nie ruszał. Potem ktoś zakaszłał. Któryś z żołnierzy, nie wypuszczając broni z rąk, przekręcił się z brzucha na plecy. Inny ocierał usta.

26

— Chryste... — odezwał się ktoś. I to było wszystko.

Spoglądali po sobie, obmacywali ciała, szukając ran. Sprawdzali pokryte pianą wierzchowce. Major rozejrzał się, wypatrując cywila.

— Jak daleko mamy do granicy?

Zapytany nie bardzo wiedział, o co chodzi. Potem zrozumiał. Major musiał być tak pochłonięty pościgiem, że nie zauważył, kiedy przecięli pas graniczny.

— Myślę, panie majorze, że minęliśmy ją jakieś sześć kilometrów stąd.

Oficer nie poruszył się, tylko wpatrywał się w swego rozmówcę. Potem opuścił wzrok i pokręcił głową. Kiedy się wyprostował, w jego jasnych oczach czaił się uśmiech. Nieznaczny, nie żeby szczyrzył zęby, ale wystarczyło, by cywil także się uśmiechnął i skinął głową.

— Sierżancie — odezwał się major — wyślijcie gońca do obozu. Niech opowie pułkownikowi, co tu się działo, i poprosi o instrukcje.

— Tak jest!

— Chwileczkę. Bądźmy może bardziej konkretni. Niech spyta pułkownika, czy mamy kontynuować.

— Tak jest! — odparł sierżant, rozglądając się.

Czekali czterdzieści minut. Wrócił posłaniec i okazało się, że pułkownik wykręcił się wymijającą odpowiedzią, każąc majorowi kierować się własnym rozsądkiem.

— Mój rozsądek każe mi ciągnąć to dalej.

Dosiedli więc koni i ruszyli. Meksykanie najwyraźniej nie spodziewali się pościgu, bo godzinę później żołnierze znów ich dopadli. Doszło do kolejnej potyczki, i jeszcze jednej. Naciskali tak całe przedpołudnie, aż wreszcie Meksykanie zatrzymali się i zostawiając tylko straż dla ochrony tyłów, zwrócili się siłą trzystu jeźdźców przeciw pięćdziesiątce ścigających. Amerykanie nie mieli innego wyjścia, jak przegrupować się i przygotować do odparcia ataku.

Wrogie oddziały, oba uformowane w szyk liniowy, obserwowały się z odległości około czterystu metrów. Tymczasem nadeszło popołudnie; brakowało wody, żywności, konie zmordowane, amunicja na wyczerpaniu. Po godzinie czekania na uderzenie Meksykanów major zarządził odwrót. Wracali powoli, słońce prażyło, konie całkiem opadły z sił, ludzie niemal spadali z siodeł. Po drodze naliczyli jednak trzydziestu zabitych Meksykanów i zabrali kilka wozów z żywnością i odzieżą, dwa karabiny maszynowe oraz tuzin skrzyń z amunicją i karabinami. Cały czas natykali się na konie — meksykańskie i te z własnej stajni. Cywil pomagał je spędzać.

27

13

Prentice chwycił zwłoki za kostki nóg, żołnierz wyznaczony do pracy razem z nim — za przeguby rąk i szorując o ziemię plecami zabitego, powlekli go w stronę ognia. Mimo iż usta i nos zasłonięte miał chustką, chłopiec z trudem powstrzymywał torsje. Kiwnięciem głowy dał znak towarzyszowi. Dźwignęli ciało wyżej, rozkołysali i na „trzy" szerokim łukiem cisnęli na wierzch płonącego stosu. Włosy martwego człowieka w jednej chwili ogarnęły jaskrawe, białorude płomyki. Buchnął kłęb czarnego dymu. Chłopiec odwrócił się gwałtownie. To, co słyszał za sobą, przypominało odgłosy pieczenia mięsa; tłuszcz skwierczał, ściekając w ogień. Zbliżył się do rzędu zwłok, poukładanych niczym bierwiona na opał. Roje robactwa uwijały się między ciałami; małe, opancerzone żuczki wciskały się pod ubranie, w rany i otwarte usta.

I wszędzie muchy. Ktoś powiedział, że na pustyni nie ma much, lecz najwyraźniej nie było to prawdą. Były; teraz pojawiły się także. W popołudniowym skwarze ciała zaczynały już puchnąć. Nawet przez rękawiczki, nawet sam dotyk butów umarłych wywoływał mdłości.

Podniósł wzrok, spoglądając w kierunku miasta. Odległe nie więcej niż o dwieście metrów budynki wyglądały nędznie i zwyczajnie. Minęła już ponad godzina, od kiedy przyjechał ostatni wóz załadowany zwłokami. I będą jeszcze następne, bo dotychczas zebrano tylko ciała rozrzucone na pustyni wokół miasta. I tak było ich mnóstwo. Dotąd spalili czterdzieści. Pięćdziesiąt czekało jeszcze na kremację, a wyglądało na to, że trzeba będzie zapalić kolejny stos. Coś zaskwierczało głośno za plecami chłopca, ale nie odwrócił się. W mieście będzie teraz wielkie sprzątanie. Roboty jest na ładne kilka dni: jeden kwartał spłonął doszczętnie, drugi niemal w połowie. Wszędzie popalone belki, poskręcane od żaru okucia, odłamki szkła, naczyń i Bóg wie co jeszcze. Trzeba to wszystko wywieźć, powymieniać deski i szyby w oknach, naprawić płoty. Tej nocy zdarzyło się kilka

niespodzianek, niektórzy zachowali się haniebnie. Obsługa kuchni w momencie ataku była już na nogach, zajęta przygotowaniem posiłku w swoim baraku z suszonej cegły. Napadnięci przez jeźdźców bronili się czym popadło — rzucali garnkami z wrzątkiem, jednego załatwili toporem do dzielenia mięsa, drugiego kijem baseballowym i w końcu, dopadłszy strzelb do polowania, wyparli napastników za drzwi. Inaczej sanitariusze, czyli oddział medyczny: ci zabarykadowali się w szpitalu i nie chcieli ani wyjść, ani nie pozwolili dostać się do środka innym. Magazyn amunicji był zamknięty, toteż żołnierze z pododdziału

karabinów maszynowych musieli wyważyć drzwi. I tak zresztą z tej broni nie było wielkiego pożytku. Francuskie karabiny maszynowe z zakładów Benet-Mercie z reguły były niesprawne. Duża liczba ruchomych części sprawiała, że w warunkach pustynnych wymagały nieustannego czyszczenia. Poza tym bardzo źle się je ładowało. Mieszczący trzydzieści naboji magazynki należało z boku, szerszą stroną ku górze, wprowadzić w wąskie gniazdo z prawej strony zamka. Beznadziejne zadanie nawet przy dziennym świetle — w nocy stawało się wręcz niewykonalne. Pierwszy karabin z miejsca się zaciął. Przygotowanie następnych trzech trwało okropnie długo. Niemniej chłopiec słyszał, jak żołnierz z obsługi karabinu maszynowego opowiadał, że wystrzelali dwadzieścia tysięcy naboju.

Brzmiało to nawet wiarygodnie. Sklepy w miasteczku były podziurawione jak rzeszoto, podobnie stajnie i baraki żołnierskie. Wyglądało na to, że nie było w Columbus budynku, który by nie ucierpiał. Jeśli więc jeden karabin maszynowy zużył tyle naboju, ile w sumie strzałów padło z obu stron? Sto tysięcy? Może sto pięćdziesiąt? Nikt nie wiedział. Do miasta wysłano grupę żołnierzy, których jedynym zadaniem było zbieranie pustych łusek.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał na stos płonących jaskrawożółtym ogniem ciał. Gęsty, czarny dym kłębił się ku niebu. Chłopiec zacisnął dłonie na kolejnej parze butów, jego partner pochwycił nadgarstki trupa i dźwignąwszy zwłoki powlekli je w ogień. W mieście zastanawiano się, czy nie należałoby rozebrać zabitych i pozdejmować im butów, ale ostatecznie nie było chętnych na te rzeczy. Zabierano tylko broń, pieniądze i amunicję. Wszystko to robili ludzie w mieście i chłopcu bardzo to odpowiadało. Z rzadka znajdował przy zwłokach nóż albo pistolet w kaburze, częściej jakąś sakiewkę. Znaleziony przedmiot zostawiał przy drodze. Przeważnie jednak po prostu dźwigał ciało, włókł je i rzucał na stos, starając się o niczym nie myśleć. W pewnym momencie jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Spojrzał na południe, za dymiący stos, i dostrzegł kolumnę jeźdźców, od strony pustyni zmierzających dwójkami ku drodze. To żołnierze, którzy ścigali nocnych napastników. Dym z płonących zwłok musiał im posłużyć za drogowskaz.

Podjechali bliżej. Po ludziach znać było trudy siedmiogodzinnej jazdy, konie były siwe od potu. Czując swąd palonych ciał, żołnierze wyciągali chustki, zasłaniali twarze, kaszleli. Skręcili na drogę i mijając ognisko skierowali się w stronę miasta. Przejeżdżając oglądali się na chłopca i jego towarzysza. Niektórzy klęli.

Na czele kolumny jechał major, obok niego sierżant, z którym

chłopiec rozmawiał na stacji. Ale jego uwagę zwracał przede wszystkim cywil. Nie tylko dlatego, że był jedynym cywilem w oddziale. Choć przedtem widział go zaledwie przez kilka sekund, nie mógł nie zapamiętać tej barczystej sylwetki i wyrazistej twarzy. To był mężczyzna, który przewrócił go w nocy. Ten, który zostawił mu swój karabin. Teraz wyglądał jeszcze starzej. Zakurzoną twarz pokreśliły strużki potu, zmarszczki rysowały się na niej wyraźnie, niczym pęknięcia na spalonej słońcem desce. Był to najpotężniejszy, budzący największy szacunek mężczyzna, jakiego Prentice kiedykolwiek widział. Przejeżdżając obrzucił go spojrzeniem; ani długim, ani specjalnie uważnym, raczej przelotnie, choć przecież było w tym coś więcej. Potem spojrział na stos płonących zwłok i odjechał, patrząc przed siebie.

Chłopiec nie mógłby powiedzieć, czy został rozpoznany, czy nie.

Przyciągnęła reszta oddziału. Żołnierze wlepiali wzrok w pałace się trupy, zasłaniali twarze; zdjęci obrzydzeniem odwracali wzrok.

— Kto to? — spytał chłopiec pracującego z nim szeregowca.

— Major Tompkins.

— Nie. Chodzi mi o tego cywila obok sierżanta.

— Cywila? Jakiego cywila? — Żołnierz spojrział na czoło kolumny, ściągnął brwi i pokręcił głową.

— Nie wiem.

14

Sierżant przeszedł wzdłuż kolejki, nalał sobie kubek kawy i zwracając się do chłopca, powiedział:

— Calendar.

Prentice nie zrozumiał, o co mu chodzi.

— Tak się nazywa. Miles Calendar. Po co chciałeś to wiedzieć? Stołówka powoli wypełniała się ludźmi. Żołnierze jedli przy stołach

z surowych desek, inni wchodzili i stawali w kolejce po posiłek.

— Muszę mu coś oddać. Nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

— Pewnie gdzieś w wozowni, ale na twoim miejscu nie zawracałbym mu głowy.

Prentice zczekał, aż sierżant odbierze swój talerz fasoli z wołowiną, powiedział „dzięki” i odwrócił się.

— Hej, słyszałeś, co powiedziałem? Ale chłopiec był już w drzwiach.

30

Zapukał i nie doczekawszy się odpowiedzi, otworzył drzwi. W smudze światła słonecznego padającego zza jego pleców ujrzał starego, wyciągniętego na zakurzonej podłodze, z workiem ziarna pod głową. Twarz miał przykrytą kapeluszem, ręce skrzyżowane na piersi. Nie ruszał się. Spał.

Chłopiec zamarł, niepewny, czy ma go obudzić.

— O co chodzi, chłopcze? — Stary nawet nie podniósł kapelusza, toteż jego głos był nieco stłumiony.

Prentice chciał odpowiedzieć, ale przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

— Dalej. Wyduś to. Jak widzisz, próbuję spać.

— Chciałem panu podziękować. To znaczy, chodzi mi o dzisiejszą noc, kiedy pan mnie przewrócił.

— Wiem, że o to ci chodzi. Nie musisz mi tego przypominać. Byłem ciężkim idiotą, że zawracałem sobie tobą głowę. Mogli mnie zabić. Mój błąd.

To nie było to, czego się chłopiec spodziewał. Szedł tu, żeby podziękować temu człowiekowi, pełen najlepszych uczuć. Teraz czuł wzbierającą w nim złość.

— Tak czy owak, jestem panu wdzięczny. Także za karabin. Przyniosłem go tutaj.

— Wyczyszczony?

— Tak. — Teraz chłopiec był już naprawdę zły.

— Postaw go koło tej paki. — Stary wskazał butem. Chłopiec zawahał się, potem zrobił, co mu kazano. Zapadło

milczenie.

— Jeszcze coś?

— Nie. Chyba nie.

— To i dobrze. Zamknij drzwi, jak będziesz wychodził. Prentice czuł, że pali go twarz. Wyszedł i zaniknął drzwi. Nie było

to trzaśnięcie, nie całkiem, ale zrobił to dość głośno.

Mężczyzna w szopie zdjął ręce z piersi, wypuszczając kolbę ukrytego pod kamizelką rewolweru, uniósł kapelusz i spojrzał na stojący przy wejściu karabin. Popatrzył na drzwi, zza których dochodził

chrzest piasku pod butami oddalającego się chłopca. Powoli przesunął dłoń po twarzy.

31

17

Późniejsze wydarzenia były w znacznej mierze reakcją na to, co przytrafiło się Maud Wright. Należała do nielicznej grupy Amerykanów żyjących wówczas w Meksyku; ona sama mieszkała na ranczu niedaleko miasteczka Pearson w stanie Chihuahua, około dwustu kilometrów na południe od granicy. Pierwszego marca, dziewięć dni przed napadem na Columbus, była w domu sama. Ze swą małą córeczką czekała na powrót męża, który wyprawił się ze znajomym do Pearson po zakupy, gdy na podwórze zajechało dwunastu uzbrojonych jeźdźców. Zsiedli z koni przed domem. Był to oddział zwiadowczy Pancha Yilli, który z głównymi siłami posuwał się w kierunku granicy. Początkowo udawali żołnierzy wroga Yilli, Carranzy, wpytując, czy nie mogliby kupić żywności. Maud Wright odpowiedziała, że ma tylko trochę mąki, tyle co dla rodziny. Kiedy nalegali, zgodziła się im to oddać.

Tymczasem nadszedł wieczór. Jej mąż z przyjacielem wrócili z Pearson, prowadząc parę obładowanych mułów. Meksykanie muły zabrali, mężczyznę związali, złupili doszczętnie dom, a dziecko odebrali matce i oddali mieszkającemu nie opodal wieśniakowi. Wsadzili kobietę na muła i kazali jechać z sobą. Nie wiedziała, co dzieje się z jej mężem; wołała — nie odpowiadał. Zeskoczyła na ziemię, chciała biec za córką, na co jeden z żołnierzy dobył szabli i zagroził, że ją zabije. Ponownie wpakowali ją przemocą na muła i wtedy — jak później opowiadała — zrozumiała, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

Marsz na północ trwał do dziewiątego marca. Zwiadowcy dołączyli do reszty wojsk Yilli. Tempo było zabójcze; odpoczywano nie więcej niż trzy godziny na dobę. Maud Wright udała się do samego dowódcy błagając, by ją uwolnił. Odrzekł, że z tego rodzaju skargami winna się zwracać do jego podwładnych — po to ich przecież ma. Ci kazali jej zamknąć się i jechać, jak każą, dopóki nie padnie. Dziewięć dni na pustyniach Chihuahua: niewiele jedzenia, jeszcze mniej wody, sępy krążące nad głowami. Słaniała się w siodle, szklistym wzrokiem wpatrzona w przestrzeń. Yilla orzekł, iż ten tryb życia najwyraźniej jej służy.

— Policzki ma pani okrągłe i rumiane.

— Są spuchnięte i poparzone przez słońce — odparła.

Kiedy dotarli wreszcie do Columbus, generał powiedział, że zamierza zmusić ją do zastrzelenia kilku gringos. Odpowiedziała, że prędzej zastrzeli jego, na co tylko się zaśmiał.

Jak wiadomo, atak na Columbus zakończył się niepowodzeniem.

32

Ludzie pilnujący Maud Wright pozwolili jej odejść. Powłokła się przez pustynię w kierunku miasta. Po drodze spotkała raną kobietę, której pomogła dostać się do lekarza. W obozie zajęła się

opatrywaniem rannych i dopiero gdy rozeszła się wieść o tym, co przeszła, zmuszono ją, by odpoczęła. Spała cały dzień i noc, a potem zjadła pierwszy od dziewięciu dni solidny posiłek. Zdołała ustalić, że jej mąż został zabity, ale dziecko żyje. Wówczas oświadczyła, że wraca na piechotę do Pearson.

— Muszę odnaleźć moje maleństwo. To tylko dziewięć dni drogi.

Historię Maud Wright opisywały na pierwszych stronach wszystkie ważniejsze gazety w kraju. Wielokrotnie do niej powracano i nawet gdy okazało się, że nigdy nie wróciła do Pearson, tylko zabrano ją do El Paso, dokąd wkrótce przywieziono dziecko, fragmenty jej opowieści dostarczały materiału do coraz to nowych wstrząsających artykułów: o tym jak Yilla zamierzał uczynić żywe pochodnie z wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci w Columbus i jak postanowił zabić możliwie najwięcej Amerykanów, w czym mieli mu dopomóc Niemcy i Japończycy. Była też historia samotnego Amerykanina, na którego natknął się oddział Yilli. Grupa jego żołnierzy stratowała biedaka końmi. Jakiś oficer powłókł go wzdłuż oddziału, inny strzelił mu w szyję, po czym ranny, nim upadł, przebiegł jeszcze blisko piętnaście metrów. Leżącego obdarli z odzienia i podzielili je między siebie. Później jeźdźcy przejechali nad nim i ostatni strzelił mu w głowę.

Owe szczegóły towarzyszące opisowi jej własnych przeżyć dodawały realizmu i barw sprawozdaniom z Columbus. To nie to samo, co pisać, że zginęło osiemnastu Amerykanów, a ośmiu odniosło rany. To abstrakcja. Nawet doniesienia o okrucieństwach, do jakich doszło w Columbus, zmierzały jedynie do podania faktów. Potrzebna była prawdziwa, żywa, trafiająca do uczuć Amerykanów opowieść, i dzieje Maud Wright spełniły to zapotrzebowanie. Losy kobiety, której dom obrabowano, męża zabito, której zabrano dziecko — nie mówiąc już o seksualnych torturach, jakie zapewne musiała cierpieć podczas marszu na Cotambus (gazety bardzo skrupulatnie unikały tego tematu, przez co jedynie podkreślały prawdopodobieństwo takiego obrotu wydarzeń) -f- wszystko to tworzyło historię wprost wymarzoną, by poruszyć gniew społeczeństwa amerykańskiego. Brakowało tylko gwiazdzonego sztandaru i placka z jabłkami, a zważywszy, że pogwałcone zostały gfiwic6 Stanów Zjednoczonych, problem sztandaru stanął jednak na porządku dziennym. Już dziesiątego marca odbyło się posiedzenie Kongresu. Jedenastego postanowiono wysłać do Meksyku

korpus ekspedycyjny-

- (Matma snri*

33

Jego oficjalnym celem miało być uniemożliwienie Yilli marszu na południe i zapobieżenie atakowi na osadę amerykańskich mormonów, leżącą w miejscu zwanym Colonia Dublan, niecałe trzysta kilometrów od granicy. Naprawdę chodziło o wykorzystanie pretekstu i przekroczenie granicy dla osaczenia sił Yilli i unicestwienie ich. Co do ostatniego punktu istniały pewne wątpliwości. Początkowo rozkazano po prostu schwytać Yillę. To jednak — jak wyjaśnił szef sztabu — oznaczałoby wojnę z jednym człowiekiem i jeśli Yilla wsiądzie do pociągu i uda się do Gwatemali, na Jukatan czy nawet do Ameryki Południowej, US Army niewiele będzie mogła zdziałać, a przecież chodzi o odebranie mu możliwości działania, o zniszczenie jego oddziałów, nie zaś o gonitwę za nim samym.

Realizacja tego planu przewidywała użycie pięciu tysięcy żołnierzy, co stanowiło dokładnie jedną szóstą stanu osobowego sił amerykańskich stacjonujących na własnym terytorium. Dla porównania warto powiedzieć, że wkrótce potem przedstawiono w Senacie projekt ustawy zezwalającej na rekrutację ponad pięciuset tysięcy żołnierzy i o ile większość senatorów uznała tę propozycję za raczej przesadzoną, to w kołach wojskowych uważano ją za niewystarczającą.

„Od ponad czterech lat siedzimy nad granicą z Meksykiem — to słowa pułkownika armii amerykańskiej wypowiedziane publicznie i przedrukowane w *New York Times**. — W chwili obecnej dwie trzecie stacjonujących w kraju wojsk przebywa w rejonie przygranicznym. Inaczej mówiąc, mamy dwadzieścia dwa tysiące ludzi rozrzuconych wzdłuż granicy”.

„Nie zdajemy sobie sprawy z długości granicy z Meksykiem. Podróż pociągiem z jednego jej krańca do drugiego trwa pełne trzy doby. I wzdłuż tej Unii rozlokowano dwadzieścia dwa tysiące żołnierzy, mogących liczyć na wsparcie co najwyżej dalszych dziewięciu tysięcy. Byłoby to zabawne, gdyby nie było tak żałosne”.

„Od chwili wybuchu wojny w Europie, US Army przedstawia się nam jak mucha, widziana przez powiększający okular teleskopu. I powiadam: armia amerykańska jest czymś najżałośniejszym w świecie, a obce nacje wiedzą o tym nawet lepiej od nas... Nadszedł czas uświadomić sobie, że kiedy w 1898 roku zerwaliśmy z naszą dotychczasową polityką i ogłosiliśmy się światowym mocarstwem, wzięliśmy na siebie pewne zobowiązania. Trzeba pamiętać, że aby udźwignąć te zobowiązania, musimy dysponować siłą. Za każdą akcją dyplomatyczną, jaką nasz prezydent uzna za konieczną, musi stać siła. To samo

* *The New York Times*, 15 marca 1916 (przyp. autora).

dotyczy wszelkich innych posunięć uznanych przez prezydenta za niezbędne dla prawidłowego wypełniania jego obowiązków”.

„Zastanówmy się, co może oznaczać przystąpienie Ameryki do wojny z Anglią, Niemcami, Francją czy z jakimś innym czołowym mocarstwem. Jak wiemy, Amerykanie stają się skorzy do awantury, ilekroć coś zagraża ekonomicznym podstawom ich egzystencji. Tymczasem posiadamy całkiem wiarygodne informacje, że Anglia ma obecnie pod bronią cztery miliony ludzi, Niemcy sześć do ośmiu milionów, Rosja osiem do dziesięciu. Wiemy również, że na zachodzie też jest kraj skłonny konkurować z nami na światowych rynkach zbytu”.

„Uważam, iż pewne sprawy warte są poważnego namysłu. I nie wolno ich lekceważyć. Jeśli zaangażujemy się w wojnę na Atlantyku, czekają nas klęski na Pacyfiku. Pomyślmy: cztery miliony ludzi nadchodzących od wschodu i trzy miliony od zachodu. A cztery miliony plus trzy miliony daje siedem milionów. Co pocniemy, jeśli pojawi się taka sytuacja? Nasze morskie granice mają co najmniej trzydzieści tysięcy kilometrów i są dostępne na całej długości. Nielicznych umocnionych portów bronią skąpe załogi, które nie mogą liczyć na żadne wsparcie”.

„Jesteśmy w stanie powołać regularną armię w liczbie stu czterdziestu tysięcy ludzi. Może dwustu tysięcy. Przekroczenie tych liczb jest nierealne ze względu na koszty wynikające z konkurencji na rynku pracy. A wszystko dlatego, że niczym banda idiotów upieramy się przy systemie ochotniczego

zaciągu".

„Istnieje tylko jedno zgodne ze zdrowym rozsądkiem rozwiązanie: powszechne szkolenie wojskowe obywateli naszego kraju, powoływanych do armii już w wieku młodzieńczym. Musimy szkolić naszych chłopców. I w razie konieczności trzeba będzie ich do tego zmusić”.

Sformowano pierwszy amerykański szwadron lotniczy. Wkrótce potem utworzono pierwsze kompanie zmotoryzowane. Powołano milicję stanową. W trakcie tych przygotowań Stany Zjednoczone zabiegały u rządu Meksyku o zgodę na wkroczenie na jego terytorium. Od lat istniało między obu krajami porozumienie, zezwalające na przekroczenie granicy celem ścigania wrogo nastawionych Indian. Obecnie rząd Carranzy zaproponował jego odnowienie. Meksyk uzyska prawo ścigania przestępców na obszarze Stanów Zjednoczonych. Amerykanie zaś w pogoni za bandytami będą mogli wkroczyć do Meksyku, „jeśli nieszczęściem dojdzie do powtórzenia napaści, jaka dotknęła miasto Columbus”. W świetle takiej umowy Amerykanie mieli pozwolenie na przekroczenie granicy, ale tylko w przyszłości. Najwyraźniej w tej chwili Carranza nie chciał w Meksyku amerykańs-

34

35

kich żołnierzy. Amerykanie jednak, pod wpływem napiętej atmosfery w kraju, zignorowali warunki umowy.

Columbus rozrastało się z godziny na godzinę. Na stacji kolejowej, gdzie kilka dni temu wysiadł Prentice, do niedawna pociąg zatrzymywał się nie częściej niż trzy razy na dobę. Teraz było tych pociągów dziesięć, dwadzieścia dziennie. Wyrzucały ze swego wnętrza ludzi, konie, sprzęt; działa polowe, skrzynie z amunicją i karabinami, karabiny maszynowe. Na skraju obozu, niedaleko drogi pomoc— południe rozpoczęto budowę lądowiska. Na stacji pojawiła się rampa dla samochodów, którą stanowiły dwa oddzielne pasy betonu — tak powstawał pierwszy park samochodowy US Army. Dwadzieścia ciężarówek, potem pięćdziesiąt, sto; piętnaście motocykli i pojazdów specjalistycznych. Tysiąc żołnierzy. I jeszcze tysiąc; i jeszcze. Teren obozu podwoił się raz i drugi, wraz z nim rosło miasto.

18

— Panowie, wkraczamy do Meksyku. Oczywiście jest to wiadomość nieoficjalna.

Jakby nie dosłyszeli. Nie dlatego, że nie słuchali. Po prostu nie dotarło to do ich świadomości. Sierżant czekał, aż odłożą widły, zgrzebła i pastę do czyszczenia siodeł, i ciągnął:

— A tak, do Meksyku. Pojutrze o wschodzie słońca możecie spodziewać się wymarszu. Jeśli więc któryś ma listy do wysłania, buty do naprawy czy guziki do przyszycia, niech załatwi to teraz. A skoro już o tym mówimy, radzę się pomodlić, bo kiedy już się tam znajdziecie... wierzcie mi, jeden Bóg może wam pomóc. I nam wszystkim.

Jeśli ktoś się zaciągnął, wyobrażając sobie, że będzie miło spędzał czas na zielonej trawce gdzieś na wschodzie, czekając, aż wyślą nas na tę zamorską wojnę z Niemcami — sierżant wyraźnie miał na myśli grupkę świeżo przybyłych do obozu rekrutów — powinien wiedzieć, w co się pakujemy. Czeka was jazda przez blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych najwredniejszych, najbardziej jałowych, spalonych słońcem skał i piachu, jakie Panu Bogu zdarzyło się, kiedy uległ podszeptom zła, stworzyć, a zwanych prowincją Chihuahua.

W głębi stajni, wsparty o sięgającą ramion przegrodę, stał Prentice i ponad głowami kolegów spoglądał na przemawiającego sierżanta. Twarz miał zlaną potem i oblepioną pyłem ze złobów, które czyścił i napełniał świeżym sianem. Ci ludzie przed nim — jeśli rekrutów

można nazywać ludźmi — byli to najmłodszy, najbardziej niedoświadczony żołnierze w obozie. I chłopca gnębiło, że wyznaczono go do służby razem z nimi. Sam też był młody i niedoświadczony — dał tego oczywiste dowody — nie uważał też, by zasługiwał na jakieś lepsze zajęcie. Pamiętał jednak, jak zachował się podczas nocnego ataku i wiedział, że oni nie byłiby lepsi. Co więcej, nie był pewien, czy po raz drugi nie postąpiłby tak samo. Doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem byłoby wymieszać ich z doświadczonymi żołnierzami i pozwolić im się uczyć. Pozostawieni sami sobie, nie mieli się na kim wzorować.

Stajnia nie miała ścian, tylko wsparty na palach dach. Prentice odwrócił wzrok od sierżanta i zasłuchanych w jego słowa żołnierzy. Za drewnianymi przegrodami i belami siana widział ogarnięty przed-marszową krzątaniem obóz. Już wcześniej mówiło się o wyprawie do Meksyku; większość sądziła jednak, że chodzi o wzmocnienie granicy. Teraz wszystko się wyjaśniło. Majdanem ciągnęły wozy wyładowane skrzyniami. Żołnierze zganiaли konie w stada, grodzili korrale. I przez krótką chwilę, skroś kurz i blask słońca dostrzegł w oddali sylwetkę mężczyzny w cywilnym ubraniu, w którym domyślił się Calendarę. Wyższy o głowę od otaczających go koniuchów, wyciągniętą dłonią wskazywał stadko koni.

Chłopak stracił go z oczu, kiedy na plac wpędzono kolejne konie.

Tymczasem sierżant mówił:

— Będziecie jechać bez przerwy dłużej niż kiedykolwiek dotąd. Będziecie jeść, spać i przeklinać swój los, a cały czas w siodle. Własne konie tak wam obrzydną, że przyjdzie pora, gdy gotowi będziecie przysiąc, iż nie ma bardziej diabelskiego zwierzęcia. Będziecie modlić się o deszcz, ale na próżno. Będziecie śnić o prawdziwym jedzeniu, a dostaniecie tylko chleb i fasolę. I kiedy będziecie ścigać Yillę, federalne wojsko Meksyku polować będzie na was, bo jacyś ich durnie musieli się z nami pokłócić i teraz musimy tam wejść bez meksykańskiego błogosławieństwa.

— Panie sierżancie, a ile to potrwa?

Sierżant rzucił pytającemu ostre spojrzenie, zły, że mu przerwano, ale po chwili wahania postanowił odpowiedzieć.

— Nasz major słyszał, jak pułkownik mówił coś o sześciu tygodniach, ale gdyby mnie kto zapytał, powiedziałbym: sześć miesięcy, a może i rok. Właśnie dlatego cała ta moja mowa. Na pewno

usłyszycie mnóstwo gadania o tym, jak to wpadniemy do Meksyku, zrobimy porządek i nim się ktokolwiek połapie, wrócimy. Ale nie wiercie w to. To taka sama gadka, jak: „skoczmy do Europy

36

37

i pokażmy tym Francuzom, jak walczyć z Niemcami". Wszystko bzdury. Siady oddziału Yilli nie są już świeże; minęło parę dni. Wytropić ich będzie piekielnie trudno. Miejscami grunt jest zbyt twardy, gdzie indziej wiatr zawiewa ślady. Na wieśniaków, że wskażą drogę, nie ma co liczyć. Za bardzo boją się Yilli i za bardzo są od niego uzależnieni psychicznie, gdyż albo dawał im w kość, albo ich karmił. Tak więc spodziewajcie się najgorszego. To nie zaszkodzi, nawet gdyby się okazało, że nie jest tak źle. Ale nie liczyłbym na to... Teraz to chyba wszystko, co mogę zrobić, żeby was przygotować.

Prentice słuchał, nie odrywając wzroku od sierżanta. Po pewnym czasie raz jeszcze spojrzął za stajnię, na obóz. Konie już przegoniono. Kiedy kurz opadł, znów ukazała się postać cywila. Był odwrócony tyłem, ale i tak trudno byłoby go nie poznać. Nawet z tej odległości widać było, że jest wysoki i masywny. Kroczył ku grupie żołnierzy zajętych przenoszeniem beczek z wodą. Kierowani jego gestami ustawiali je na wozie obok korralu.

19

— I jak, oddałeś mu to?

Prentice usłyszał za sobą głos sierżanta. Ciągle jeszcze był w stajni. Właściwie skończył już swoją robotę — inni też się rozeszli — ale chciał się czymś zająć, a na tym właśnie się znał. Poza tym cywil wciąż pracował, a on chciał go poobserwować. Jeszcze raz wyszczotkował boki konia, po czym uniósł głowę i spojrzął na skraj obozu, gdzie stary od dłuższego czasu zajęty był rozciąganiem liny do wiązania koni.

— A tak — chłopiec odłożył szczotkę i odwrócił się — oddałem mu wszystko jak trzeba. Chociaż niewiele na tym skorzystałem.

Sierżant wzruszył ramionami.

— Ostrzegałem cię. To dziwak. Robi swoje i z nikim się nie zadaje. Nikomu nie pozwoli zbliżyć się do siebie. — Pomyślał chwilę. — Nie spotkałem człowieka, który uważałby go za swego przyjaciela. Może z wyjątkiem majora, ale nie sądzę, żeby on też nazywał to przyjaźnią. Po prostu od kiedy spotkali się na Filipinach, pracują razem.

— Na Filipinach? — Parne powietrze, deszcz i dżungla wydały się chłopcu czymś tak odległym, że nie krył zdumienia.

— Oczywiście. Jak słyszałem, był na wszystkich wojnach od czasu wojny domowej.

— Co? — chłopiec nie mógł uwierzyć. — To ile on może mieć lat?

— Blisko sześćdziesiąt pięć. — Sierżant ponownie wzruszył ramio-

nami. — Kiedyś to obliczałem. Musiał mieć wtedy trzynaście. Później służył w kawalerii i był zwiadowcą podczas wojen z Indianami. Zaciągnął się jeszcze przed Kubą, no i przed Filipinami. A teraz tu. Nikt lepiej od niego nie zna tej roboty. Gdybyśmy w Meksyku wpadli w jakieś tarapaty, gdybyś się bał, że mogą cię zabić, trzymaj się blisko niego. Rób to co on, a na pewno dobrze na tym wyjdiesz. Stali w milczeniu, obserwując krzątanie starego.

— Smutne to trochę — odezwał się sierżant.

— Znaczy co?

— Ano, sześćdziesiąt pięć lat na karku. To jego ostatnia wojna. Więcej już go nie wezmą; nie na tę awanturę, co się szykuje z Niemcami. Może być najlepszy, ale nie będą czekać, aż zacznie robić błędy. I tak przeciągnął swoją służbę, ile się dało. A niedługo nie będzie miał gdzie się podziać. Myślę, że to właśnie jest smutne. Za dziesięć lat sam będę w tej sytuacji.

Prentice spojrział na sierżanta, potem znów na cywila. Zachodzące słońce resztką światła barwiło jego sylwetkę na ten szczególny, rudobrazowy kolor. Stał na wozie przewracając beczki z wodą, która lała się ponad ogrodzeniem korralu wprost do koryta.

20

Stary przyglądał się koniom, które piły, opuściwszy głowy. Jakiś ogier trącał bokiem stojącą obok klacz, a gdy skończyła pić, szczytną ją zębami. To dobry znak. Stary musiał się uśmiechnąć.

Odwrocił głowę i spostrzegł nadchodzącego majora. Ostrożnie zsunął się z wozu i zeskoczył na ziemię. Starał się uważać, ale lewa noga załamała się pod nim i ledwo udało mu się złapać równowagę. Major udał, że nic nie zauważył.

— Jak to wygląda, Miles? Bardzo źle?

Stary z początku myślał, że chodzi o jego nogę, ale szybko się zorientował. Westchnął i pokręcił głową.

— Tak źle, jak się obawiałem. Wszystkie konie mają gorączkę po podróży. Ciągłe sikają krwią. Trzeba, żeby przynajmniej przez dwa tygodnie odpasły się na dobrej paszy. A my jej nie mamy i nawet gdybyśmy mogli kupić, to nie mielibyśmy czym ją przywieźć, skoro brakuje zaprzęgów nawet do przewozu wody. Jak już znajdziemy się w Meksyku, będą miały tylko alkaliczną wodę i tamtejszą trawę. Koń może to jeść przez cały rok i nie przybędzie mu ani grama. Nie będziemy musieli się martwić o mięso dla ludzi. Przynajmniej jedno z głowy.

38

39

— Pewnie, Miles, pewnie. — Major uśmiechnął się beztrósco. — Ale powiedz, uda nam się

dojechać na miejsce i wrócić?

— Takie mamy rozkazy, nie? Jasne, że się uda. Roześmieli się obaj, a major wyciągnął z kieszeni dwa cygara.

21

Prentice obserwował ich ze swego miejsca w stajni — dwie sylwetki na tle zachodzącego słońca. Major podał ogień Calendarowi, potem przypalił sobie. Ruszyli w kierunku stołówki. Rozmawiali, śmiali się, wypuszczali kłęby dymu z cygar. Chłopiec patrzył za nimi, aż doszli do budynku i zniknęli za rogiem.

22

ARIZONA ir 1 (Colum/tui ^v

Cnlbntnoifl • Rjtnfb 1 \ •EJPtto \TEXAS

\Xv

\

MEX!CO

\

iColonia Dublin

Plan ekspedycji zakładał wkroczenie do Meksyku trzema grupami. Jedna miała wyruszyć od wschodu, z El Paso, druga z Columbus, trzecia zaś od zachodu, z położonego nad granicą stanu Arizona rancho niejakiego Culbersona. Chodziło o utworzenie czegoś w rodzaju trójkąta i zepchnięcie bandytów w kierunku jego centrum, gdzie będzie mogła ich zniszczyć nacierająca od pomocy grupa z Columbus.

Niestety, oddział z El Paso skazany był na korzystanie z kolei meksykańskich, na co rząd tego kraju nie wydał zgody. Tak więc

zrezygnowano z inwazji od wschodu, a dwie pozostałe grupy maszerowały osobno nie tyle ze względów taktycznych, co logistycznych. Były to dość liczne zespoły operacyjne i miał łączyć je zawczasu, łatwiej było przemieścić je osobno i pozwolić spotkać się w umówionym punkcie.

Sierżant mylił się twierdząc, że wyruszą o świcie. Obóz był tak duży, że utworzenie kolumny marszowej trwało prawie do południa. Kompania Prentice'a musiała czekać, aż załaduje się wozy i uruchomi silniki ciężarówek. Stali na drodze niedaleko obozu. Konie, gotowe do drogi, trzymano krótko przy pyskach.

Wierzchowiec chłopca nie był ani lepszy, ani gorszy od innych typowych koni kawaleryjskich, tyle że inny. Wałach, będący krzyżówką araba i konia amerykańskiego, łączył najlepsze cechy obu ras: szybkość i wytrzymałość. Kasztanowej maści, wzdłuż pyska miał białą pręgę. Niezbyt wysoki, tak że dosiadanie go nie sprawiało trudności, był jednocześnie dość rosły, by udźwignąć jeźdźca z jego piętnastokilowym oporządzeniem. Miał osiem lat, co można było wywnioskować ze stanu uzębienia. Chłopcu przydzielono go dzień wcześniej, toteż tylko dwa razy zdążył się na nim przejechać. Koń pod siodłem sprawował się dobrze, reagował na komendy, a jeśli płoszył się na odgłos motoru czy wymagał założenia dodatkowego popręgu, to samo można było powiedzieć o innych. Prawe oko miał chyba lepsze niż lewe, ale Prentice w porę nauczył się, jak sobie z tym radzić. Zresztą tak jak wszyscy musiał stale doglądać swego konia, opiekować się nim i wkrótce miał go poznać nie gorzej niż któregokolwiek z posiadanych w przeszłości.

Dotknął teraz szyi zwierzęcia, które zadrżało pod jego dłonią, wystraszone hukami kolejno zapuszczanych silników. Osiadał na nich kurz wzniesiony przez ciągnących drogą jeźdźców. Przyglądając się otaczającym go mężczyznom, Prentice miał nadzieję, że są to doświadczeni żołnierze. Młodzi rekruci, z którymi pracował w stajni, mieszały się z resztą oddziału.

Po drugiej stronie drogi zauważył jakieś poruszenie. Żołnierze stojących tam kompanii dosiadali koni. Zjawił się sierżant i im także rozkazał wsiadać. Stopa w strzemieniu, lewa ręka na szyi konia, prawa, trzymająca wodze — na przednim łuku. Dźwignąwszy się na siodło, chłopiec rozejrzał się. Wzdłuż drogi formowała się kolumna wojska. Żołnierze stali czwórkami; barwy pułkowe na czele. Kolejne pododdziały już w pełnym szyku przesuwały się na czoło i zajmowały swoje miejsce w szeregu. Wkrótce ruszy jego kompania. Za nią wozy, ciężarówki, juczne muły i znów jeźdźcy.

Czekał, w gęstniejącym kurzu wypatrując Calendarę. Dostrzegł

40

41

tylko majora z pułkownikiem, którzy pogrążeni w rozmowie wychodzili z jakiegoś budynku. Pożegnali się unosząc dłonie do czapek i major odszedł w kierunku czekającej po drugiej stronie placu kobiety z dwójką dzieci. Podobnych grup, ku którym spieszyli oficerowie, było na placu więcej. Major pochylił się i ucałował dziewczynkę. Podał jej owinięty w lśniący papier prezent, spojrzął na chłopca, jemu również wręczył paczuszkę, a potem wziął go na ręce i uściskał. Odwrócił się do żony i pocałował ją; ani długo, ani mocno; w usta, a może i w policzek. Prentice widział, że mówi coś do niej. — Ruszać! — rozległ się głos sierżanta.

Prentice wzdrygnął się, zerknął na szefa kompanii, popuścił wodze, ścisnął kolanami boki konia i ruszył. Jeszcze raz wrócił wzrokiem do majora i wtedy spostrzegł Calendarę.

Siedział nieruchomo na koniu otoczony kłębam kurzu, obok niego przesuwał się potok jeźdźców. Przyglądał się, jak major całuje żonę. Po raz drugi. Potem dowódca cofnął się, odwrócił i ruszył ku niemu. Prentice stracił ich z oczu, gdy nadjechała kotejna grupa żołnierzy. Oddalając się, oglądał się jeszcze, ale na próżno.

Po chwili ruch kolumny ustał. Chłopiec powściągnął konia, gdy zatrzymała się czwórka przed nim. Z tyłu przystawali inni. Warkot motorów nasilił się. Ciężarówki zajmowały miejsce w ogonie kolumny. Wzdłuż szyku przejechał major, za nim Calendar. Znów rozległo się: „Ruszać”. Kapelusze jeźdźców w przedzie zakołysały się, w chwilę później Prentice zobaczył Calendarą, wracającego na tyły. Odprowadzał go wzrokiem, a kiedy ponownie spojrzał do przodu, koń przed nim był już w ruchu. On też ruszył.

Przed pierwszą w nocy przekroczyli granicę. Był piętnasty niarca. Od napaści na Columbus minęło sześć dni. Istniały obawy, że granica może być zamknięta i strzeżona. Na przejściu nie było jednak żołnierzy; tylko jakiś mężczyzna z małym chłopcem i psem. Minęła godzina i oddziały szły już rytmem marszowym. Sunęli spaloną słońcem drogą, która wkrótce zmieniła się w ledwie przetarty szlak, niewidoczny właściwie wśród skał, piasku i kaktusów. Znudzeni monotonną jazdą w upale i kurzu żołnierze zaczęli śpiewać. Początkowo były to pojedyncze głosy, ale stopniowo przyłączali się do nich inni.

La cucaraaacha La cucaraaacha

Sierżant roześmiał się i zapytany, co go tak ubawiło, odparł, że to ta melodia.

42

— Możliwe, oni nie wiedzą, ale to piosenka marszowa oddziałów Yilli.

Druga grupa opuściła rancho Culbersona dwanaście godzin później, tuż po północy. Granicę, w tym miejscu również nie strzeżoną, przekroczyli bez przeszkód. Żołnierze ze zgrupowania w Columbus wyruszyli w południowym upale, kiedy powietrze jest tak suche, że ludzie niemal się nie pocą, choć nieustannie dręczy ich pragnienie. Tymczasem idącą nocą grupę zachodnią czekało przenikliwe zimno, od którego zamarzała woda w manierkach. Początkowo trafili na sprzyjający im, płaski teren. Dalej zaczęły się jary i rozpadliny. Z ziemi, od dziewięciu miesięcy nie zwilżonej kroplą deszczu, unosiły się kłęby kurzu. Brodzili po kostki w białym, gorzkim pyłe, który piekł w oczy i zatykał nozdrza koni. Żołnierze osłaniali twarze chustkami, przystawali, by obwiązać szmatami pyski zwierząt. Karawana mułów została w tyle. Jeźdźcy marzli. Piechurzy maszerowali w najgłębszym kurzu i pracowali ciężiej niż inni. Dźwigając ważący blisko pięć kilogramów karabin, zgarbieni pod ciężarem plecaków, mniej odczuwali zimno. Niektórzy, znając widać pustynię, zaopatrzyli się w samochodowe gogle, które jednak stale pokrywały się pyłem. Często wycierane szkła szybko rysowały się i mętniały.

O świcie zarządzono postój; w południe — znów wymarsz. I o ile dotąd pragnęli ciepła, teraz marzyli o odrobinie chłodu. Pięćdziesiąt kilometrów, sto, sto pięćdziesiąt... Nocleg i dalej w drogę. Dwanaście godzin później dotarli do miejsca spotkania.

Człowiek, który gnał ich tak bez litości, nazywał się Pershing. Ten pięćdziesięcioletni generał — brygadier o przydomku „Black Jack”, od murzyńskiego pułku, którym jako jedyny biały w oddziale dowodził kiedyś w Montanie, w chwili napaści na Columbus był komendantem Fort Bliss w El Paso. Kilka lat wcześniej gościł u siebie Yillę, rozmawiał z nim, a nawet pozował z Meksykaninem do zdjęcia.

Departament Wojny musiał dokonać wyboru dowódcy ekspedycji. Potrzebowali kogoś z doświadczeniem bojowym — Pershing brał czynny udział w walkach na Kubie i na Filipinach. Chcieli, by był to człowiek mający rozeznanie w metodach wojny podjazdowej — znów Kuba i Filipiny. Ponadto chodziło im o kogoś, kto poprowadzi wyprawę do Meksyku, nie wywołując przy tej okazji wojny. Doświadczenie Persainga okazało się tu czynnikiem decydującym. Po pierwsze, jako komendant Fort Bliss znał pogranicze i jego problemy. Po drugie, starał się zrozumieć przeciwnika, zanim dojdzie do walki. Stając w obliczu konfliktu z obcym żywiołem zawsze, zwłaszcza na Filipinach, uczył się miejscowego języka, religii i obyczajów, szukając możliwej do zaakceptowania przez drugą stronę płaszczyzny porozu-

43

mienia. Metoda ta sprawdziła się tak dalece, że wiele wrogich plemion poddało się, przekonawszy się o dobrej woli białych. Tych, którzy się nie poddawali — z tego również był znany — unicestwiał. Uosabiając tak niezwykle połączenie siły i rozwagi, gotowości do walki z wolą słuchania cudzych racji, wydawał się szczególnie predestynowany do kierowania kampanią meksykańską. Poza tym sprawiał wrażenie niezaangażowanego politycznie. Choć jego żona była córką senatora, nie korzystał z koneksji dla zdobycia awansu. Mimo to na awans nigdy długo nie czekał. W wyścigu do stopnia generalskiego wyprzedził ośmiuset oficerów o dłuższym od siebie stażu i gdy ozwały się głosy oskarżające go właśnie o korzystanie z protekcji, sam Teddy Roosevelt oświadczył, że awans stanowił uznanie szczególnych zasług Pershinga w czasie wojny na Filipinach. Jego umiejętność robienia kariery bez wywoływania szumu wokół własnej osoby także wydawała się cenna dla powodzenia akcji w Meksyku. Obawiano się, że niewłaściwie wybrany dowódca mógłby chcieć ściągnąć na siebie uwagę i, kosztem interesów polityki zagranicznej USA, wdać się w awanturę z rządem Meksyku. Wysyłając Pershinga, można było liczyć, że wykona robotę pozostając niewidzialnym. Tu jednakże mocodawcy generała nieco się mylili. Choć stronił od polityki, był przecież człowiekiem przewidującym. W kampanii meksykańskiej widział okazję do podniesienia poziomu wyszkolenia bojowego swoich oddziałów przed wojną w Europie, której przypisywał przełomowe znaczenie. Kiedy więc, zgodnie z powszechnym oczekiwaniem, Ameryka przystąpiła do pierwszej wojny światowej, w jej armii znaleźli się wyszkoleni, gotowi do walki żołnierze, a Pershing został dowódcą tak zwanych Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych w Europie. Wszystko to jednak miało dopiero nastąpić.

23

Na drodze leżał trup. Niewykluczone, iż był to Amerykanin. Lekarz przypuszczał, że nie żył mniej więcej od tygodnia. Upał i kojoty sprawiły, że trudno było cokolwiek określić. Miał zawiązane oczy i ranę postrzałową w głowie. Zdarto mu buty i spodnie, pozbawiono go też portfela. Kolumna zatrzymała się, aby pogrzebać zwłoki. Kapelan wygłosił nad grobem kilka modlitw i wojsko podjęło marsz.

Major posłał po Calendarą.

— Według mapy, przed nami są jakieś miasta. Weź kilku Indian i sprawdź je.

Calendar niespodziewanie odmówił.

— O co chodzi? Stary pokręcił głową.

— Ci Indianie. Nie zamierzam z nimi pracować.

— Do diabła, Miles!

— Nie. Tego nie było w umowie.

— Dobrze, weź białych zwiadowców. Wszystko mi jedno. Weź, kogo chcesz, tylko sprawdź mi te cholerne miasta.

Stary kiwnął głową i zawrócił konia.

Prentice przyglądał się, jak odjeżdża.

Ponad stłumione przez piasek człapanie koni i dychawiczne

posapywanie ciężarówek wzbił się nagle jakiś nowy dźwięk. Wysoki,

przenikliwy jazgot silnika zupełnie innego rodzaju. Prentice słyszał,

jak słaby początkowo warkot narasta; zdawało mu się, że dochodzi

gdzieś z tyłu. Zjechali właśnie z pochyłości na płaski teren. Spoglądając

za siebie chłopiec widział ogon kolumny, a dalej krawędź wzniesienia.

Inni żołnierze także się oglądali. Hałas był coraz większy. Szczyt

wzgórza spowijały tumany pyłu, z którego wyłonił się niewyraźny

w rozgrzanym powietrzu kształt ciężarówki. Rosła, stawała się jakby

szersza, warkot silnika potęgował się i nabierał głębszych tonów...

Falujące w upale powietrze płata różne figle ludzkim oczom. Nie była

to ciężarówka, lecz samolot i do tego samolot w locie — kryty

plótnem dwupłatowiec Curtiss „Jenny”. Chłopiec słyszał tę nazwę już

w obozie. Aparat był tak kruchy i rozklekotany, iż chyba cudem

unosił się w powietrzu. Przeleciał wzdłuż kolumny; dość nisko, by

solidnie wystraszyć konie. Mimo to żołnierze wiwatowali i machali

rękami. Pilot zakołysał skrzydłami i również pokiwał dłonią. Wyraźnie

widać było jego skórzany hełm i okulary ochronne. Po chwili, równie

szybko, jak się pojawił, samolot zaczął się oddalać; coraz mniejszy,

silnik coraz cichszy, już tylko kropka na niebie. Drugi nadleciał

niecałe pół minuty później.

24

Do miejsca katastrofy było około dwu kilometrów.

Calendar leżał płasko na skale i osłaniając szkła lornetki, patrzył na leżącą w 4ołe osadę. Na mapie było w tym miejscu miasto, ale tu widział raptem cztery chaty z suszonej cegły. Zauważył kilka kur i osła, aże-żadnych ludzi, a tym bardziej meksykańskich żołnierzy federalnych Odczołgał się do tyłu i wstał. Gdzieś z lewej strony

44

45

dobiegł go warkot samolotu. Dwóch — spostrzegł po chwili. Prowadząca maszyna leciała równo i bez wysiłku. Druga najwyraźniej traciła wysokość. Początkowo myślał, że pilot po prostu obniżył lot, ale potem usłyszał, jak silnik zakrztusił się raz i drugi i stanął. Samolot opadł, znikając za grupą skał. Calendar był już na koniu, kiedy dotarł do niego łoskot upadku.

25

Zabierając po drodze obu swoich zwiadowców, ruszył w kierunku miejsca katastrofy.

— A to co za cholera?!

To coś spoczywało na dnie parowu. Jedno koło na kamieniu, drugie na czubku kaktusa; skrzydła oderwane; kadłub w jednym kawałku, ale podarty i potrzaskany w co najmniej stu miejscach.

— Oto tajna broń Pershinga — oznajmił pilot. Klnąc gramolił się z wraku, tak wściekły, że nawet nie zdziwił go ich widok. — Mieliliśmy przewozić meldunki, ale jakby mnie kto spytał, to jak Boga kocham, najlepsze co możemy zrobić, to latać nad Yillą i straszyć go, że któryś spadnie mu na łeb. Chryste, popatrzcie tylko na ten złom. Ani części zapasowych, ani paliwa. Uwierzycie, że wpakowałem w tego grata pół silnika starego forda? — Kopnął w bok kadłuba i cała konstrukcja rozleciała się na kawałki.

26

Pilot pierwszego samolotu nie wiedział, że jego partner spadł. Dopiero kilka minut po przelocie nad kolumną spojrzął do tyłu i zobaczył puste niebo. Mimo to leciał dalej. Sądził, że źle zapewne ocenił dystans, że druga maszyna znajduje się dalej, niż przypuszczał i teraz stara się go dogonić. Zmniejszył

prędkość i czekał, co raz spoglądając za siebie. Pięć minut później, nie doczekawszy się towarzysza, przyspieszył i zawrócił.

Niewiele brakowało, a przeoczyłby wrak, ukryty częściowo w parowie. Chwilę potem przy jego krawędzi zauważył konie i zszedł niżej, płosząc zwierzęta, które szarpały się, uwiązane lejcami do skał. Dostrzegł pilota rozbitego samolotu, jak z trójką obcych mężczyzn wspina się po ścianie wąwozu; wydostał się na odkryty teren i zamachał rękami. Samolot zrobił jeszcze jeden nawrót, tym razem lecąc na tyle nisko, że pilot zdołał ustalić, iż obcy nie są Meksykanami, a jego

kolega, najwyraźniej zdrów i cały, macha rękami nie po to, by zwrócić na siebie uwagę, lecz każe mu lecieć dalej. Zresztą grunt, usiany w tym miejscu skałami, wykluczał lądowanie. Pilot wykonał pożegnalną rundę i zadowolony z tego, co zobaczył, zakołysał skrzydłami maszyny, pomachał dłonią i odleciał.

27

Późnym popołudniem wylądował w obozie Pershinga.

Działo się to osiemnastego marca, w trzecim dniu operacji. Ponieważ grupa z Columbus była dopiero w połowie drogi, pilot miał prawo przypuszczać, że i Pershing ma przed sobą podobny dystans. Prawdę mówiąc, liczył na to. On i jego partner wylecieli wcześniej, niż przewidywał plan i spieszyli się, by zyskać ze dwa dni wolnego czasu, nim złączą loty służbowe. Colonia Dublan była podobno wspaniałym miejscem — drzewa, strumienie, uprawne pola i strwożeni mormoni, wyglądający pomocy. Przybywając tam jako pierwszy, mógł się spodziewać gorącego przyjęcia i wszelkiej gościnności. Liczył na suty poczęstunek, nocleg w chłodzie werandy, a w dzień odpoczynek na ukrytej przed słońcem ławeczce.

Słońce, teraz po jego prawej stronie, chyliło się ku zachodowi, kiedy spostrzegł, że krajobraz zaczyna się zmieniać. Skały, rozpadliny, łachy piasku i kaktusy ustępowały miejsca zielonym polom, w oddali pojawiały się wysokie, pokryte listowiem drzewa, błysnął w słońcu strumyk. Spomiędzy drzew wylaniały się dachy domów, jedne płaskie, inne spadziste, z mansardami; białe bielą malowanego drewna, niektóre żółte od suszonych na słońcu cegieł. Ułożone z kamieni murki rozgradzały pola porośnięte równymi rzędami upraw, w których domyślił się wschodzącej kukurydzy. W dole mignęły figurki farmera i ciągnącego pług osiołka. Nad strumieniem, prawie rzeczką, kobiety prały odzież. Drogą jechał powoli wóz konny, za nim jakiś samochód i ciężarówka. Dalej pilot ujrzał namioty, żołnierzy, pasące się konie i uświadomił sobie, że Pershing go prześcignął.

28

Klął w duchu, schodząc do lądowania. Jakiś porucznik czekał już na niego. — Generał chce z panem mówić.

46

47

— Jasne, że tak. Oczywiście, że chce.

Poszedł za porucznikiem, mijając namioty i wozy. Weszli w cień drzew. Pilot nigdy dotąd nie widział generała. Wysoki, chudy, ze zmęczoną twarzą o zapadniętych policzkach, ozdobioną szpakowatym wąsem, siedział na bańce z benzyną i rozmawiał z kilkoma oficerami.

— Chcę, żebyście polecieeli na zachód — odezwał się do pilota, wskazując na mapę. — Wysłałem trzy oddziały; na południe, wschód i zachód. Polecicie z tym ostatnim. Zrobicie im rozpoznanie, a mnie będziecie przywozić ich raporty dzienne.

— Obawiam się, panie generale, że to niemożliwe. Pershing zmarszczył brwi, wbijając wzrok w pilota.

— Proszę mnie wysłać raczej na południe. Na zachodzie są góry. Nie dam rady przelecieć.

— Czego nie dacie rady?

— „lennie” w spokojnym powietrzu osiąga pułap tysiąca dwustu metrów, przy wietrze nie zrobi więcej niż trzysta. A tam gdzie są góry, tam jest i wiatr. Zresztą te góry wyglądają na co najmniej trzy tysiące metrów. W żaden sposób nie wzniosę się tak wysoko.

Pershing nie spuszczał zeń wzroku.

— Rzecz w tym, panie generale, że „lennie” nie jest zbyt dobrą maszyną. Gdyby rząd dał nam coś takiego jak blerioty albo martiny, których Francuzi i Anglicy używają w Niemczech, nie byłoby problemu. Ale nie „lennie”. Nie ma mowy, panie generale.

Pershing milczał.

— Ach ci politycy z Waszyngtonu... — rozgadał się pilot. — Jezu, to myśmy wynaleźli samolot, a nie mamy nawet takiego lotnictwa jak Japonia.

Generał zacisnął usta i pokręcił głową.

29

W jednej z ciężarówek złamała się oś. W innej woda zagotowała się w chłodnicy. Potrzebny był postój. Przed nimi znajdowała się jakaś wioska i Calendar pojechał się rozejrzeć. Dwaj zwiadowcy ubezpieczali go po bokach. Z daleka, oglądane przez lornetkę, wszystko wyglądało dobrze — sami wieśniacy, żadnego wojska. W porównaniu z tym co spotkali dotychczas, osada była duża. Wokół głównej ulicy stało trzysta, może więcej domów.

Spalona przez słońce ziemia dudniła pod końskimi kopytami. Calendar wjechał między zabudowania, bacznie obserwując obie strony

ulicy. Kiedy oglądał ją przez lornetkę, robiła wrażenie niesłychanie ruchliwej — mnóstwo ludzi, osły przed domami. W miarę jak się zbliżał, ruch zamierał; teraz, wjeżdżając do wsi, nie widział

prawie nikogo. Zostało kilku mężczyzn, którzy gapili się na niego, stojąc w drzwiach. Reszta była w środku. W oknach brakło szyb, chroniły je tylko drewniane okiennice. Teraz skrzypiały, zamykane pospiesznie. Trzaskały drzwi. Długowłosa, pyzata dziewczynka wlepiła w przybysza zaciekawione spojrzenie, by po chwili zniknąć, wciągnięta za próg czyjąś surową dłonią. Wzdłuż ulicy niósł się chrobot rygli i zamków. Któryś z mężczyzn splunął pod nogi przejeżdżającego. Ktoś cisnął odłamkiem kamienia. Calendar obejrzał się, ale nie zauważył nikogo.

Nie mógł ich winić za takie przyjęcie. Wiedzieli, że nie mają szans. Już dawno zrozumieli, że obcy zawsze oznaczają jakieś nieszczęście. Albo przyjadą ludzie Yilli i ograbią ich do czysta, albo zrobią to federales. Co prawda w lepszych czasach Yilla wspomagał miasteczka takie jak to. Kradł bydlę bogatszym rancherom, a mięso rozdawał wieśniakom. Była to w gruncie rzeczy zapłata za lojalność. Łupieni czy obdarowywani, chłopci wiedzieli, że ta sama ręka, która dziś daje, jutro może zabrać, ta zaś, która zabiera, jutro robi to znowu. Woleli więc, by zostawiono ich w spokoju i nie ufali nikomu.

Dla Calendar'a nie było to nic nowego. Nieraz zetknął się z podobną sytuacją — na zachodzie, gdzie pod koniec wojen z Indianami neutralne plemiona bardziej niż białych obawiały się grasujących w okolicy band swoich ziomków i marzyły tylko, by zostawiono je w spokoju; na Kubie i na Filipinach; wszędzie, gdzie prowadzący wojny podjazdowe żerowali na tubylcach. Życzliwa obojętność miejscowych wobec walczących kończyła się konfliktem z obu stronami i przeradzała w skrytą wrogość. Tacy ludzie mogą być równie niebezpieczni, co jawny wróg. Nawet jeśli teoretycznie miało się im pomagać, nie należało im ufać. I jeśli znalazł się jakiś pretekst, to — neutralni czy nie — należało dać im po łbie.

Calendar nie chciał drażnić mieszkańców wioski, toteż nie sięgał po pistolet, trzymając tylko dłoń w pobliżu ukrytej pod pachą kabury. Nie mógł zapewnić sobie osłony z przodu, ale z tyłu, za parą jadących po bokach zwiadowców ustawił dodatkową trójkę. Pięćdziesiąt metrów za nim jechał żołnierz, którego zadaniem było strzec go od strzału w plecy. Wioska robiła teraz wrażenie wymarłej. Zabudowania stawały się coraz większe — w miejsce szałasów pojawiły się chaty, potem dość solidne, toporne, o płaskich dachach domy, zbudowane z żółtych, suszonych na słońcu cegieł, w których belki stropów z wyższej strony dachu wystawały poza upstrzone kamykami ściany. W bocznej uliczce mignął od czasu do czasu zabłąkany osioł albo plecy zmykającego

48

4 — Ottatnia szarża

49

w popłochu tubylca. Patrząc przed siebie, Calendar widział plac wioskowy z murowaną studnią pośrodku. Obok siedział starzec w sandałach na sznurkowej podeszwie i konopnym serape. Jeśli miały być jakieś kłopoty, to właśnie tutaj.

Podjechał prosto do studni, przywitał się, i wieśniak, nie patrząc na niego, skinął głową. Zsiadł z konia. Prowadząc zwierzę tak, by znajdowało się między nim a tubylcem, zbliżył się i sięgnął po drewniany kubeł. Z niepokojeni sprawdził, czy w środku jest woda. Nie przypuszczał, by zatruli

własną studnię, ale kubek to co innego. Ostrożność nakazywała go opróżnić. Z drugiej strony, woda była tu rzeczą cenną i jeśli naczynie nie jest zatrute, niepotrzebnie ich tylko obrazi. Z ulgą stwierdził, że kubek jest pusty. Spuścił go na linie w głąb studni. Wewnątrz było ciemno, ale nie wyglądała na głębszą niż sześć metrów. Wywindował naczynie, na powierzchnię i wylał wodę do stojącego obok koryta. Rozluźnił koniowi wędzidło i pozwolił mu się napić. Teraz miał pewność, że z wodą jest wszystko w porządku. Pogrzebał w torbie u siodła, spod ukrytego tam zapasowego rewolweru wy dostał kubek i zanurzył go w wiadrze. Wypił trochę wody pozostałej po napojeniu zwierzęcia i podziękował wieśniakowi za gościnność.

Starzec powtórnie skinął głową, ale nadal nie patrzył na przybysza.

Calendar odwrócił się w stronę ubezpieczającego go zwiadowcy, który czekał u wylotu ulicy, i dał znak ręką. Żołnierz ruszył, przeciął plac i wjechał w przedłużenie ulicy po drugiej stronie. Miasto okazało się większe, niż początkowo sądził Calendar. Budynków było ze sześćset, nie trzysta, ale w tej części stały jakby rzadziej. Z zapartym tchem śledził swego partnera, jak posuwa się ulicą, by wreszcie dołączyć do pozostałej dwójki zwiadowców, którzy okrążywszy miasto czekali za ostatnimi domami.

Teraz wiedział, że dopóki jest tutaj i dopóki stoi na nogach, nikt nie dobierze się do studni. Wiedział, że zwiadowcy dołączą do oddziału, a wtedy major wyśle grupę żołnierzy po wodę.

Wyciągnął dłoń po kapelusz, ale przypomniawszy sobie o upale, zostawił go na głowie. Stał więc, osłonięty z jednej strony ciałem konia i czekał.

30

Oddział majora Tompkinsa rozbił biwak na obrzeżach miasteczka, kilkadziesiąt metrów od pierwszych domów. Żołnierze otrzymali wyraźne rozkazy: nie wchodzić w drogę miejscowym bez potrzeby.

Konieczność zaopatrzenia się w wodę taką potrzebę stworzyła. Dotychczas polegano na ciężarówkach, które wracały do znanych ujęć i dowoziły wodę w miarę wyczerpywania się zapasów. Rzecz w tym, że po raz pierwszy użyto samochodów do podobnego zadania i nikt nie przypuszczał, że tak ucierpią na meksykańskich drogach. A ucierpiały bardzo: popalone łożyska, przegrzane chłodnice, zdarte opony, pogięte resory, uszczelki misek olejowych zniszczone od ciągłego ocierania się podwozia o skaliste podłoże. Niejednokrotnie olej wyciekał tak szybko, że nie nadążano z dolewaniem. Woda była niezbędna, szczególnie dla koni i do pojazdów. Ludzie mogli jakoś wytrzymać, w ostateczności zmniejszającienne racje — i chociaż jej zapas wystarczyłby jeszcze na dzień drogi, nie chciano ryzykować, że w razie nieprzewidzianej potrzeby beczki okażą się puste. Czerpiąc ze studni w miasteczku, trzeba było uważać, żeby zostawić dość wody dla mieszkańców. Tak też zrobiono, a następnie odszukano wójta i wystawiono mu rachunek. Nie był zbyt wiele wart, bo dla zrealizowania go należało udać się za granicę, a biedny wójt nigdy w życiu nie odjechał tafe daleko od swojej wioski. Niemniej takie rozwiązanie wydało się wygodniejsze, a zresztą co komu po pieniądzech w miejscu, gdzie dominował handel wymienny.

Jeszcze przed zachodem słońca ciężarówki i wozy ustawiono w krąg, którego obwód patrolowali

wartownicy. Wystawiono czujki, spętano konie. Kawalerzyści zajęli się swoimi wierzchowcami — rozkiełznali je, uwolnili od siodeł i napoili. Prentice czekał niemal do zmroku, zanim podsunął swojemu kasztanowi obciętą puszkę po benzynie napełnioną wodą.

— Wystarczy. Pochorujesz się — stwierdził w końcu. Po chwili jednak dołał do puszki jeszcze kilka kwaterek. Założył koniowi na łeb torbę z obrokiem i czekał, aż zwierzę zje. Była to wojskowa, przydziałowa pasza, ale zważywszy, że ekspedycję organizowano w niebywały® pośpiechu, nie należało ufać jej jakości. Prentice nie chciał ryzykować, że zwierzę, znalazłszy w ziarnie jakiś kamyk, przestanie jeść. Gdyby tak się stało, musiałby opróżnić karmiak i — w ten sposób by koń to zauważył — napełnić go od nowa, oczywiście lepiej przebrać* paszą. Wtedy może kasztan skusiłby się na nową porcję. Na weźście ziarno okazało się czyste i kiedy koń podjadł, chłopiec jessKSJC raz dokładnie go wyszczotkował i zadowolony, że zrobił wszystko jak należy, postanowił zająć się sobą.

Zwykle w warunkach polowych rozbijano specjalne namioty, gdzie wydawano iotaiierzom posiłki, przygotowane przez wydzieloną do tego celu kóppanię. Tym razem każdy musiał żywić się sam. Pierw-

50

51

szego dnia marszu ludzie otrzymali przydział fasoli, suszonej wołowiny, sucharów, boczku i kawy i w miarę potrzeby uzupełniali zapasy z wozów kwatermistrzostwa. W rezultacie plecaki żołnierskie były przeładowane, choć niektórzy chętnie zabraliby jeszcze więcej, na wszelki wypadek. Samo jedzenie nie było zbyt wartościowe, ale się nie psuło; wybrano je przede wszystkim ze względu na jego masę. Smakowało marnie, ale było trwałe.

Chłopiec przykucnął i zaczął grzebać w jukach. Kolana miał otarte do krwi, bolały go, po wielomiesięcznej przerwie odwykłe od jazdy, krzyż i pośladki, toteż schylając się krzywił się z bólu. Wypakowując cukier, kawę i porcję wołowiny zaczął ssać kawałek suchara. Podniósł się i na miękkich nogach ruszył w stronę grupy żołnierzy, wśród których zauważył sierżanta.

Przykucnęli kołem, całkowicie pochłonięci rozpalaniem ogniska. W gęstniejącej ciemności Prentice widział błyski zapalek. Ciekaw był, czego zamierzali użyć jako paliwa. Podszedł bliżej i wtedy okazało się, że to suche gałęzie mezquite, połamane i ułożone w stosik; sierżant wsuwał właśnie między nie płonąca zapalną. Zajaśniała i zgasła. Sierżant zapalił następną i jeszcze jedną, aż gałęzie zajęły się, poczęły skręcać się w ogniu, szarzyć. Płomienie rosły, oświetlając ziemię wokół żołnierskich butów. Sierżant podsyczał ogień, dokładał wciąż nowe gałęzie, aż zużył cały krzaczek.

Ognisko nie było zbyt imponujące. Drewno mezquite nie pali się długo, a w zapasie były raptem dwa marne krzewy. Teren obozu przetrząśnięto wszcz i wzdłuż w poszukiwaniu opału, a chętnych było wielu. Wątpy ogieniek dawał nieco ciepła, tym cenniejszego, że wraz ze zmrokiem nadciągnął chłód. Nie było jednak mowy o gotowaniu. Żołnierzom nie pozostało więc nic innego, jak obstąpić ognisko i próbować ogrzać sobie ręce. Po dziesięciu minutach skończyły się gałęzie i ogień zgasł.

Prentice wrócił do koni. Usiadł w pobliżu swojego siodła, kaburę pistoletu przesunawszy tak, że spoczywała na wierzchu uda. Odpiął od pasa manierkę, zdjął przykrywkę i nalał do niej trochę wody.

Miała lekko metaliczny posmak. Słodycz cukru była niewyczuwalna, co upewniło chłopca, że naprawdę go potrzebuje. To jak z solą, którą ssał przez cały dzień. Dopiero kiedy zaczął czuć jej smak, wiedział, że ma dość i może przestać. Teraz popijał drobnymi łykami pozbawioną smaku wodę i żując następny kawałek wołowiny, rozglądał się po obozie.

Wszędzie widział żołnierzy, którzy choć owinięci kocami, trzęśli się z zimna. Kilku zaczęło wbijać kołki od namiotów, ale grunt był tak

zbity, że wkrótce zrezygnowali. Inni, uprzątnawszy spod siebie kamienie, kładli się prosto na ziemi wspierając głowy na jukach. Tu i ówdzie tliły się jeszcze dogasające stopniowo ogniska. Ludzie siedzieli przy ognisku, gryzli suchary lub mięso. „Rany boskie” — dobiegł z oddali czyjś śos i był to jedyny głośniejszy dźwięk, jaki chłopiec dotąd usłyszał. W przeciwieństwie do animuszu, z jakim niedawno wyruszali, żołnierze byli cisi i spokojni, zbyt zmęczeni, by rozmawiać.

Łyknął jeszcze trochę wody i teraz odnalazł w jej smaku odrobinę słodyczy. Zastanawiał się nad czymś, co już wcześniej przyszło mu do głowy. Obok parskąły konie. Przełknął wreszcie papkę z sucharów i wołowiny i podjąwszy decyzję, wstał. Nie opodał majaczyły w mroku czarne na tle szarości nieba kształty ciężarówek, formujących krąg wokół obozu. Niespodziewanie zagrzecotała podnoszona maska. Zapłonęła latarnia i w jej żółtym świetle ujrzął trójkę pochylonych nad silnikiem kierowców. Jeden z nich wyciągniętą ręką pokazywał coś pozostałym. Pięć wozów dalej kolejna latarnia wydobywała z mroku kierowców, którzy oglądali podwozie uniesionego na lewarze pojazdu. Prentice systematycznie przeszukiwał obóz, najpierw chodząc w prawo wokół ustawionych półkoliście ciężarówek, potem w lewo. Nie znalazł tego, czego szukał. Świeciły gwiazdy, ale nie pokazał się jeszcze księżyc i mimo latarni i blasku dogasających ognisk nie było dość jasno, by w ciemności dało się coś wypatrzeć. Chłopiec uznał więc, że najlepiej będzie obejść obrzeże obozu, a w razie potrzeby przeszukać jeszcze środek.

Okazało «fc że nie musi tego robić. Ruszył w lewo i przeszedł zaledwie czterdzieści kroków, gdy w miejscu gdzie kończył się rząd wozów i zaczynały się ciężarówki, znalazł starego. Oparty plecami

o koło, siedział z wyciągniętymi nogami i łokciem wspartym na siodle

1 skręcał papierosa. Obok dogasało ognisko i w pełgającym blasku chłopiec dostrzegł ruch ręki. Był jednak pewien, że i bez tego byłby go zauważył.

Stary Cakffldar. Myślał o nim od chwili, gdy ten uratował mu życie, a ZHfłaszca że sierżant powiedział coś, co zwróciło jego uwagę. Stał ttraz wtopiony w ciemność i czekał, zbierając powoli odwagę, i obserwował, jak duże dłonie starego zwijają zręcznie papierosa i niosą do ust dla poślinienia bibułki. Chłopiec czekał i patrzył, a stary ubił dobrze tytoń, skręcił końce papierosa, wsunął go w usta i obrócił kilka razy, by zwilżyć dokoła, potem uniósł wzrok i spojrzął w ciemność.

— Dobry Boże! Nie powiesz chyba, że znowu przyszedłeś mi podziękować.

Niewiele brakowało, by chłopiec zrezygnował i odszedł. Nie dlatego, że nie spodziewał się rozmowy w rodzaju tej, jaka odbyła się wtedy w szopie. Przeciwnie, był na to pod każdym względem przygotowany. Sądził jednak, że podszedł nie zauważony i kiedy zorientował się, iż stary przez cały czas świadom był jego obecności, znów poczuł się głupio.

Udało mu się powściągnąć odruch ucieczki, zrobił krok naprzód i zatrzymał się przy nogach starego.

— Nie. Chciałem pana o coś poprosić.

— Poprosić? O co?

Chłopiec milczał. Nie był pewien, czy ma mówić dalej.

— Żeby pan mnie uczył.

— Czego uczył?

— Wszystkiego.

— Nie wiem, o co ci chodzi — stary wyraźnie nie zamierzał ułatwiać mu rozmowy.

Teraz odwrócił się i zapalił papierosa. Ostry błysk światła uwydatnił bruzdy na jego ogorzałej twarzy. Rzadkie włosy były zupełnie siwe, policzki krył kilkuniedniowy zarost. Wyglądał o dziesięć lat starzej.

— Pan wie. Na pewno. Ale i tak powiem. Jak wstąpiłem do wojska, uczyli mnie posługiwać się bronią, pistoletami, karabinami i karabinami maszynowymi. Pistolety i karabiny znałem nieźle już wcześniej, a jeśli chodzi o konie, to wiedziałem więcej niż trzeba. No więc dali mi trochę w kość na ćwiczeniach, a potem kazali czytać książki i powiedzieli, że jak już trafię do stałego garnizonu, to zobaczę, że nie ma lepszego nauczyciela jak doświadczenie.

— I mieli rację.

— Owszem, jeśli człowiek nie ma nic do roboty, tylko siedzieć i się przyglądać. Ale to, co się działo w Columbus, to nie były ćwiczenia. To było naprawdę. Tutaj to samo. Następnym razem, a na pewno będzie następny raz, nie mogę liczyć na to, że w pobliżu znajdzie się ktoś, kto mnie uratuje.

Stary kiwnął głową, zaciągnął się papierosem. Czubek skręta rozjarzył się w ciemności.

— Znałeś ryzyko. Jeśli ci się to nie podoba, po cholere wstępowałeś do wojska?

— Może z tych samych powodów co pan.

— Nie sędę.

Chłopiec czuł, że popełnił błąd i natychmiast tego pożałował. Stary pochylił się do przodu, wlepiając w niego wzrok.

— Nie pozwalaj sobie za dużo, chłopcze.

— Ma pan rację. — Chłopiec pokręcił głową. — Przepraszam.

— A spróbowałbyś, cholera, nie przeprosić. Nie życzę sobie, żeby mi się tu plątał jakiś dziewiętnastoletni żółtodziób, przekonany, że mnie rozgryzł. A to dlatego, że ty nic nie rozumiesz, chłopaczk. Nic a nic. Nadażasz? Czy chociaż tyle jesteś w stanie pojąć?

— Tak jest, proszę pana. Rozumiem. Dlatego właśnie tu jestem. — Miał nadzieję, że to „proszę pana” pomoże, i rzeczywiście, stary jakby zmiękł. Zgasił niedopałek papierosa i zamyslił się.

— A zresztą, niby z jakiej racji?

— Ale co?

— Miałbym ci pomóc. Uczyć cię. Zakładając, że tego można nauczyć.

— Myślę, że nie ma żadnego powodu.

— Teraz masz rację.

Tego można się było spodziewać. Nic go nie brało. Stary odwrócił się i wziął do skręcania następnego papierosa. Najwyraźniej czekał, aż chłopiec odejdzie. Prentice już się odwracał, ale nagle rozmyślił się.

— Może jednak jest jakiś powód. Ma pan sześćdziesiąt pięć lat. Widział pan wszystkie wojny, w jakich uczestniczył ten kraj od czasów wojny domowej. A tymczasem teraz, w tej chwili, Niemcy mają łodzie podwodne, które mogą przepłynąć Atlantyck.

— I co to ma do rzeczy?

— Takich jak pan już nie ma. Myślę, że wszyscy znają prawdziwy powód naszej obecności tutaj. Yilla to tylko pretekst. Chodzi o próbę generalną przed wyprawą do Europy. A kiedy już tam pojedziemy, takie życie jak pańskie stanie się niemożliwe. Wszystko, co pan wie, stanie się bezużyteczne. Ma pan przed sobą dziesięć, może piętnaście lat prawdziwego życia, potem pan odejdzie, a wraz z panem cała pańska wiedza. To co panu proponuję, stanowi szansę przekazania jej dalej.

Stary poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, ale Prentice nie dopuścił go do głosu.

— Wiem. Kiedy to się skończy, mnie także, jeśli przeżyję, cała ta wiedza na nic się nie przyda. Nie ma więc sensu próbować przekonać pana w ten sposób. Ale ja widzę w tym pewien sens. Podobnie

było, kiedy miasto pochłonęło naszą farmę, czy też to, co kiedyś było naszą farmą, i ojciec kupił sobie mieszkanie, a ja wstąpiłem do wojska. Wszystko się zmienia, ale ja w głębi serca jestem prosty chłopak ze wsi i coś z tego, co było w przeszłości, chciałbym zachować dla siebie.

— Skończyłeś?

— Tak — rzekł chłopiec i skinął głową.

— W porządku, to teraz ja ci coś powiem. I słuchaj uważnie, bo

54

55

to będzie jedyna zasrana lekcja, jakiej ci udzielę. Nie jesteś pierwszy. Ustawiała się do mnie cała kolejka sprytnych, gorliwych chłopaczków. Przez całą wojnę z Indianami i na Kubie, wszędzie gdzie byłem, aż do dzisiaj. I wszyscy wyglądali dokładnie tak jak ty i mówili to samo co ty i wszystkim chodziło o to samo: przeżyć. I wszystkim im, tak jak tobie, mówiłem nie. Bo jeśli ty chcesz przeżyć, to ja też; a kiedy z kimś się zwiążesz, zaczynasz dbać o niego prawie tak jak o siebie. I właśnie w ten sposób ludzie dają się zabić... To tak jak z Indianami. Nie pracuję z nimi, bo kiedyś przeciw nim walczyłem i ciągle denerwuje mnie, kiedy czuję kogoś za plecami. Mówią, że nie mam przyjaciół. I słusznie, bo kiedy masz przyjaciela, denerwujesz się, wiedząc, że idzie przodem. Jest tylko jedna zasada. Myśleć o sobie i nie pozwolić, żeby cokolwiek — albo ktokolwiek — ci przeszkadzało. Zapamiętaj to, a dasz sobie radę. Zobaczysz. A teraz jestem zmęczony. Za kilka godzin mam wartę i muszę trochę pospać.

Ostatnie słowa padły tak szybko, jakby stary wcale nie zmienił tematu. Schylił się, zdjął koc z siodła i zaczął się nim owijać. Potem spojrzał jeszcze raz na chłopca i bez słowa wyciągnął się na ziemi tuż obok koła wozu. Prentice odczekał chwilę, ale oczy starego były zamknięte. Odwrócił się wolno i odszedł.

Przez uśpiony obóz wrócił do miejsca, gdzie zostawił swoje siodło i ekwipunek. Zrobiło się bardzo zimno; ludzie marzli. Chłopiec skulił się pod swoim kocem. Nie spał, rozglądał się po obozie. Spojrzał w stronę starego, potem na drzemiące spokojnie konie, na ruchome cienie krążących za ciężarówkami wartowników. Gdzieś dalej paliło się jeszcze ognisko. Był ciekaw, jak komuś udało się utrzymać ogień tak długo; ten też już marniał, gasł jak inne, coraz mniejszy i mniejszy, jeszcze jeden błysk, potem już tylko poblask żaru. Zgasł.

31

Nad ranem złapał mróz. Woda w manierkach zamarzała. Żołnierze rozcierali zgrabiące dłonie i rozłupywali lód nożami. Obok ciężarówki z ziarnem dla koni stary znalazł okutanego w koc majora. Przyklęknął i położył śpiącemu dłoń na ramieniu. Oficer poderwał się i spojrzał na starego, marszcząc brwi w niemym pytaniu.

— Chyba powinieneś to zobaczyć.

Major nie pytał, co. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Calendar wstał i ruchem dłoni wskazał coś za ciężarówkami. Major podniósł się z posłania i spojrzął w stronę rozciągającej się za

56

obozem pustyni. Na tle wzgórz rysował się równy, zwarty szereg jeźdźców. Byli zbyt daleko, by rozpoznać mundury, czy rozróżnić szczegóły niesionych przez niektórych sztandarów. Ale major wiedział bez pytania, że to wojska meksykańskie. Stary pokiwał głową i zagryzł wargi.

— Musieli obozować w pobliżu, w jakimś wąwozie. Ale to nie wszystko. Popatrz tam.

Poprowadził majora na drugą stronę obozu. Mijali żołnierzy, którzy porzuciwszy swoje zajęcia zbierali się w grupy, coś sobie pokazywali, rozmawiali; najwyraźniej i wśród nich rozeszły się niedobre wieści. Spoza wozów, w kierunku miasta, widać było tłum uzbrojonych w pałki i kije wieśniaków. Wszyscy gapili się na obóz.

— Federales odwalili w nocy kupę roboty, żeby to zorganizować. Muszę im to przyznać — zwrócił się stary do majora. — Moja wina. Powinienem pilnować wioski.

— Nie ma się czym przejmować. Tylko wynośmy się stąd. Poruczniku, szykujcie ludzi do wymarszu!

32

To co zwykle trwało godzinę, tym razem zajęło im piętnaście minut. Nie zważano nawet na konie. Te, których jeszcze nie nakarmiono, musiały poczekać. Pospiesznie siodłano je, pakowano ekwipunek, zaprzęgano do wozów. Kierowcy zapuszczali silniki ciężarówek.

Stary dopinał popręg, obserwując formowanie kolumny marszowej. Ruszyły ciężarówki, umożliwiając wyjazd poza obronny krąg. Kawa-lerzyści dosiadali koni i pierwsze pododdziały wychodziły na drogę. Wkrótce zadudnią wozy zajmując swoje miejsce w szeregu, za nimi samochody i znów jeźdźcy.

Stary patrzył. Wieśniacy ruszyli wraz z wymarszem kolumny. Zbliżali się coraz szerszym frontem, niosąc w pogotowiu pałki i kije. Wytężywszy wzrok Calendar dostrzegł między nimi oraz z tyłu białe uniformy kierujących ruchem tłumnfederales. Musieli przybyć późno w nocy — pomyślał. Obudzili chłopów i wytłumaczyli im, co mają robić. Prawdopodobnie użyli przymusu. W tłumie były kobiety i dzieci, i nie bez powodu. Jeśli Amerykanie chcieli umknąć kłopotów z federalnymi, tym bardziej musieli trzymać się z dala od chłopów. Zabity żołnierz to jedno, a zabity cywil to całkiem co innego. Tak właśnie rozumując, Meksykianie posłużyli się mieszkańcami wioski do wymuszenia na intruzach zwinięcia obozu i pospiesznego wymarszu.

57

33

Prentice poczuł uderzenie i złapał się za ramię. Siedział już na koniu, a jego kompania właśnie

ruszyła. Na prawo od niego przeleciał kamień. Obejrzał się i zobaczył wieśniaków, jak podnoszą z ziemi odpryski skalne i ciskają nimi w odjeżdżające wojsko. Kolumna przyspieszyła tempo marszu.

Przed nimi widniała linia meksykańskiej kawalerii. Skręcili w lewo, szykując się do obejścia wrogiego oddziału, ale ten rozdzielił się i zajął pozycje po obu stronach przewidywanej trasy Amerykanów. Prentice zauważył, że naciskający z tyłu wieśniacy przystanęli. Cała kolumna posuwała się szykiem marszowym. Sunęła miarowo do przodu i po chwili znalazła się w luce, utworzonej przez rozstąpienie się federales. Odtąd Meksykanie poruszali się w jej tempie; oddział z prawej strony prowadził wysoki, szczupły mężczyzna — ich dowódca.

Rozkaz przyspieszenia musiał pochodzić od majora; Prentice ujrzał, że czoło szyku zmienia rytm. Konni przyspieszyli. Odstępy między grupami jeźdźców zwiększały się, a po chwili, w miarę jak kolejne oddziały zwiększały tempo, wypełniały się znowu. Zupełnie jakby dosięgło go sunące od przodu wzdłuż szeregu falowanie — musiał pognać konia, by dojść żołnierza jadącego przed nim. To samo zrobił jadący w następnej czwórce. Meksykanie przyspieszyli również. Chłopiec nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Czy tamci zamierzają atakować, czy tylko próbują ich przestraszyć? Tak czy inaczej osiągnęli swój cel. Zmusili kolumnę do działań defensywnych i cokolwiek się stanie, inicjatywa należeć będzie do nich.

34

Konie przeszły z kłusa w galop. Calendar przesunął się do przodu, by kontrolować tempo marszu. Powietrze wypełniły tumany kurzu, ale przez krótką chwilę Prentice widział wąwóz przedzielający parę niewysokich wzgórz. Ku niemu kierowało się czoło kolumny. Federalni podjeżdżali coraz bliżej.

Chłopiec nigdy się nie dowiedział, kto strzelił pierwszy. Czy to był federalny, czy Amerykanin i czy strzelał do konkretnego celu, czy też chodziło o jakiś sygnał? W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał, ale potem huknęło jeszcze raz i jeszcze, i nagle z obu stron podniosła się gęsta strzelanina. Chwilę później żołnierz jadący przed nim zwałił

58

się z konia. Sytuacja stała się oczywista. Potem dziwił się nawet, że w takim momencie nie zastanawiał się, co ma robić. Odruchowo wy dobył pistolet, wycelował w kierunku grupy Meksykanów po lewej i dał ognia. Z powodu kurzu i sporej odległości nie mógł wiedzieć, czy trafia, ale wystrzelił jeszcze raz; przyspieszył, zmuszając konia do nadążania za resztą oddziału. Gardziel wąwozu rysowała się coraz bliżej.

35

Kolumna poszła w rozsypkę. W miejsce równych czwórek galopowały ósemki, dziesiątki, porwane nieprzytomnym pędem. Ogień nie słabł. Meksykanie byli coraz bliżej. Zresztą teraz nie mieli już wyboru. Stromizny po obu stronach szlaku były tak blisko, że chcąc nie chcąc musieli zjechać do środka. Pierwsi żołnierze dotarli do wąwozu. Prentice widział, jak porzucając szyk zeskakują z koni, klękają z karabinami w dłoniach i otwierają ogień wzdłuż kolumny. On sam minął ich i z trudem

odnajdując kierunek w gęstym kurzu parł w górę, w kierunku wylotu wąwozu.

36

Pędzili w niesamowitym ścisku, stłoczeni między ścianami wąwozu. Powietrze rozdierały krzyki ludzkie i dobiegające z tyłu wystrzały. Tuman kurzu przesłonił niebo. Prentice tłukł piętami boki konia i nawet nie zauważył, kiedy wypadł na otwartą przestrzeń. ;

Piaszczysta niecka okolona łagodnymi wzniesieniami nie miała więcej jak ometset metrów długości. Jej dnem sunęła w nieładzie kolumna pofjazdów i ludzi, kierując się ku przeciwnym wzgórzom. Za sobą dbilić>faw styszał narastającą strzelaninę. Spojrzał nieco w lewo i zobaczył, jak trafiony kulą stary wali się z siodła.

37

Poczuł Sffllpnięcie i na rozdartym rękawie pojawiła się krew. Nie wiedzieć k&l^ owinął się z konia. Uderzenie o ziemię było tak mocne, że na chwil? JW&fcawuo go czucia. Potoczył się bezwładnie i znerucho-

59

miał z twarzą zwróconą ku niebu. Zamrugał bezradnie, gdy zranioną rękę zalała fala bólu. Stracił trochę czasu; nie wiedział nawet ile.' Walcząc z ogarniającą go słabością usiadł i spróbował wstać; przewrócił się i klnąc na głos spróbował jeszcze raz.

Rozejrzał się. Koń uciekł. Kolumna minęła go już i oddalała się w głąb niecki. Spadając z konia upuścił pistolet; szukał, ale nie mógł go znaleźć. Z kabury pod pachą wyszarpnął rewolwer i strzelił w stronę, skąd nadjeżdżali Meksykanie. Obok niego przemknął jakiś jeździec. Zdawało mu się, że poznaje chłopaka, któremu pomógł kiedyś w Columbus. Strzelił jeszcze raz, odwrócił się i zaczął biec.

Potknął się i runął jak długi, padając na zranione ramię. Skrzywił się z bólu i z trudem stanął na nogach. Wzgórza były zbyt daleko. Nie miał szans.

Patrząc za oddalającą się kolumną spostrzegł, że jeden z żołnierzy zawraca i galopuje w jego stronę. Nie mógł zrozumieć, co ten facet wyrabia.

Potem go rozpoznał: tym żołnierzem był jego chłopak.

I zrozumiał: tamten wracał po niego.

Przez chwilę nie wierzył własnym oczom. Nieco później odwrócił się i zaczął strzelać, osłaniając nadjeżdżającego. Spoglądał za siebie i widział zbliżający się szybko kształt.

Chłopiec jechał nisko pochylony i w pełnym galopie strzelał znad końskiej głowy. Dotarł do

zagradzającej mu drogę grupki skał i przesadził ją gładko. Koń nawet nie zgubił kroku. Stary dostrzegł łatwość, z jaką chłopak wykonał ten skok. Nie przestawał strzelać; jednocześnie szykował się, zbierał siły do skoku na siodło, ale chłopiec dojechał i minął go, nie zwalniając biegu. Stary znów poczuł się zbity z tropu. Zobaczył, że kilkanaście metrów dalej tamten zawraca i znów pędzi w jego stronę, i teraz zrozumiał. Chłopiec naprawdę znał się na koniach. Nie gorzej, niż gdyby wyszedł z jego własnej szkoły. Wiedział, że wykonując nawrót z podwójnym obciążeniem zwierzę niepotrzebnie straciłoby siły, nie mówiąc o stracie czasu. Teraz był już blisko. Chłopak osadził konia w miejscu, wyciągnął dłoń pomagając staremu wgramolić się na siodło i natychmiast ruszył.

Pogalopowali niezgrabnie. W przodzie widzieli kolumnę, która teraz rozsypywała się w mrowie gnających ku wzgórzom postaci. Jeszcze tylko pojedynczy jeźdźcy za nimi, a dalej, bardzo blisko, Meksykanie. Echo wystrzałów niesło się po dolinie.

38

Między końmi jadącej nie opodał grupki kawalerzystów stary wypatrzył swojego wierzchowca. Szturchnął chłopaka w plecy, ale musiał swoją wiadomość powtórzyć dwa razy, nim ten zrozumiał. Skręcili, zbliżając się do biegnącego luzem zwierzęcia, któremu puste strzemiona objęły się po bokach. Chłopiec poczekał, aż oba konie ustawiły się bok w bok, pochwycił wodze luzaka i jął je ściągać; zwolnili. Jeszcze w biegu stary ześliznął się na ziemię. Złapał lejce i uchwyt swojego siodła, potknął się, gdy koń gwałtownie przyśpieszył i przez chwilę wisiał tak, wlokąc nogami po piachu, aż wreszcie udało mu się trafić nogą w strzemień i dźwignąć na grzbiet zwierzęcia. Lewa, zraniona ręka bolała niemiłosiernie. Uderzył piętami w boki konia, zmuszając go do galopu. Meksykanie byli coraz bliżej. Stary miał wrażenie, że strzelają mu tuż za plecami.

Sytuacja w oddziale zaczęła się uspokajać. Najwidoczniej major objął na powrót dowodzenie. Wozy i ciężarówki rozstawiono w szereg u stóp wzgórza. Spoza nich żołnierze otworzyli ogień. Strzelali też ze zbocza, ze szczytu wzniesienia, zza swoich koni; klęcząc, leżąc na brzuchu. Stary przegalopował obok nich, zeskoczył na ziemię i biegł dalej, prowadząc konia za sobą — byle dalej w górę.

39

Chłopiec był tam przed nim. Ostrzeliwał dno niecki. Trzaskał zamek karabinu; chwila na celowanie i kolejny strzał. Widział, jak stary wdrapał się na szczyt wzgórza i ciągle ściskając w dłoni wodze konia, ciężko dysząc, zwałił się na ziemię. Lewe ramię, zakrwawione, oblepił kurz. Prentice powstrzymał odruch, żeby podbiec do niego, i strzelał dalej. Meksykanin, w którego celował, upadł, ale chłopiec nie mógł wiedzieć, czyja kula go trafiła. Kiedy po chwili spojrzął na starego, ten nadal leżał w tym samym miejscu.

Po którymś z rzędu strzale Prentice zorientował się, że bitwa zmienia charakter. Federales wycofali się. Przynajmniej tak to wyglądało. Cofnęli się na środek doliny i przegrupowali. Teraz było wiadomo, co planują — konną szarżę, taką samą, do jakiej i ich szkolono. Rozciągnęli się w szereg; dowódca, ten sam szczupły, wysoki oficer — w środku. Ruszyli powoli i w tym samym momencie chłopiec usłyszał komendę przerwania ognia.

Obejrzał się. To wołał major. Porucznik i sierżant powtórzyli

60

61

rozkaz. Strzelanina ucichła, żołnierze uspokajali się; jeszcze tu i ówdzie kilka strzałów, ale większość po prostu opuściła broń, wlepiając wzrok w nieckę i sunącą jej dnem bojową linię meksykańskiej kawalerii.

Prentice poszukał wzrokiem starego. Tamten już usiadł i właśnie wyciągał z kieszeni chustkę. Zawiązał ją poniżej ramienia, nad okrwawionym rozdarciem w rękawie. Pomagając sobie zębami, zacisnął węzeł. Potem wstał i spojrzał w dół, na zbliżających się szeregiem federales. Dotknął zranionej ręki i mięśnie jego twarzy drgnęły. Odwrócił się i wydobył z olstra karabin.

— Miles! — zawołał ostrzegawczo major.

— Jeden z tych sukinsynów jest mi coś winien!

— Są za daleko!

Stary jednak nie słuchał. Uważnie sprawdził broń — repetowany dźwignią karabin o najdłuższej lufie, jaką Prentice kiedykolwiek widział — i załadował. Odpiął juki od siodła i ułożył je na krawędzi stoku. Teraz już wszyscy mu się przyglądali.

Krzywiąc się z bólu stary wyciągnął się na ziemi i oparł na jukach lufę karabinu.

Tamci w dole nadciągali powoli. Blask słońca i kurz utrudniały ocenę dystansu, ale było co najmniej dwieście metrów. Ludzie na koniach wyglądali jak zabawki.

Stary wycelował, potem odwrócił głowę, przetarł oczy i wycelował powtórnie. Pogrzebał w odpiętej od siodła torbie i wydobył stamtąd parę okularów w drucianej oprawie. Wsunął je na nos i wrócił do celowania. Prentice wstrzymał oddech.

Podpórka pod lufę niewiele pomogła i stary musiał wyciągnąć zranioną rękę, by objąć uchwyt broni. Zaklął i pokręcił głową. Położył palec na spuście i delikatnie nacisnął. Huknęło niczym z armaty i stary drgnął szarpnięty odrzutem. Uniósł głowę i wpatrzył się w cel.

Trwało to chyba sekundę, nim niewidzialna dłoń zmiotła z konia wysokiego dowódcę Meksykanów.

Żołnierze wydali radosny okrzyk.

W dole szereg konnych załamał się. Skupieni wokół leżącego oficera żołnierze spoglądali w kierunku wzgórza.

— To im powinno wystarczyć — rzekł stary. — Mamy teraz trochę czasu. Jak się tu umocnimy, będą musieli zrezygnować. — Z widocznym wysiłkiem klęknął i wstał. — Z tego co widać w dole, ich

nowy dowódca nie zamierza ryzykować. Za dużo gada, pewnie boi się odpowiedzialności.

Miał rację. Jeden z widocznych w dole mężczyzn wyraźnie rozgadał się, gwałtownie przy tym gestykulując. Inni zsiadali z koni, oglądali zabitego. Żołnierze ze skrzydeł zjeżdżali do środka; szyk rozpadł się.

— Jak twoja ręka? — major zwrócił się do starego.

— Nie jest złamana.

— No, to już jest coś.

— A pewnie.

Prentice musiał się uśmiechnąć, widząc starego w okularach na nosie, z karabinem w jednym ręku i krwią na drugim. Obsypany kurzem od stóp po czubek głowy, zapatrzony na szykujących się do odwrotu Meksykanów, zdawał się nie pamiętać o swojej ranie. Federales zbierali się w grupy, niektórzy krzatali się wokół leżącego na ziemi dowódcy, inni rozjechali się zbierać rannych i zabitych.

W uszach chłopca dźwięczało jeszcze echo wystrzałów. Spojrzał na swoje dłonie. Drżały.

Znów się uśmiechnął. Tyle się wydarzyło, że nawet nie miał czasu pomyśleć o sobie.

Dobrze się dziś spisał.

40

Dotarli do obozu dwa dni później. Ludzie z oddziału Pershinga, ujrawszy ich, nie wierzyli własnym oczom. Rozciągnięta nad miarę kolumna, w promieniach zachodzącego słońca prezentowała się wyjątkowo żałośnie. Na noszach, na wozach i samochodach, jechali ranni. Jeźdźcy mieli głowy poowijane bandażami, spodnie zbryzgane krwią; ślaniali się w siodłach, przyciskając dłonie do brzuchów — wolna, nie kończąca się procesja cierpiących i wyczerpanych. Któryś ze słabszych koni padł. Przednie nogi załamały się pod nim i zsuwający się z siodła jeździec, sam bez sił i nieczuły ze zmęczenia, nie zdążył nawet wyprostować kolan i runął w pył drogi. Wszyscy wpatrywali się w bliską już wioskę i otaczające ją drzewa. Cała ta zieleń, cień i chłód! wydawały im się czymś najpiękniejszym w świecie. I przy wtórze człapania koni, pobrzękiwania ekwipunku i warkotu silników jechali w milczeniu zapatrzeni w ten cudowny widok.

Weszli w cień drzew. Coraz więcej ludzi schodziło się popatrzeć, jak w ślimaczym tempie ciągną przez obóz, mijając namioty, konie i wozy. W oddali pojawiły się domy miasteczka; zbliżali się do wyznaczonej dla nich części obozu. Przekroczyli dudniący, drewniany most. Głęboki nurt rzeki kusił chłodem. Na widok wody twarze ludzi ożywiły się. Dwaj żołnierze ześliznęli się z koni i skierowali ku nadrzecznym zaroślom.

„Hej!” sierżanta zabrzmiało niczym pomruk burzy. Wskazał głową

konie i nie musiał nic więcej dodawać. Doskonale wiedzieli, o co mu chodzi. Nieważne, że wyszli z szeregu; gorzej, że w pierw pomyśleli o sobie, zamiast o koniach. Żołnierze przytaknęli ulegle, wrócili powoli na miejsca i podjąwszy cugle szli dalej z innymi aż do miejsca, gdzie kolumna zatrzymała się, a ludzie zaczęli się rozchodzić.

Ktoś już umocował linę do wiązania koni.

Prentice rozsiadł swojego kasztana, zdjął mu uzdę, potem założył kantar i uwiązał do liny. Poklepał zwierzę i pogadując doń zabrał się do wycierania potu z jego boków. W chłodnym cieniu drzew powietrze było łagodne i rześkie. Miękka ziemia tłumiła dźwięki. Po kamieniach i żwirze pustyni zdawała się sprężynować; chłopcu chciało się niemal skakać. Koń grzebał nogą, parskał, jego podkowy dudniły głucho. Przerywając na chwilę szczotkowanie kasztana, Prentice rozpiął grubą, wełnianą koszulę. Chłód owionął jego spoconą pierś. Spojrzał w stronę rzeki, potem na zachodzące słońce. Jeszcze kilka pociągnięć szczotki; marzył o posiłku, o odpoczynku. Niecierpliwił się, czekając, aż koń ostygnie na tyle, że będzie mógł go nakarmić i napoić i wreszcie zająć się sobą.

Nieco w dole strumienia udało mu się wypatrzeć starego. Najwidoczniej uporał się już ze swym koniem. Szedł powoli, zgarbiony, powłócząc jedną nogą. Lewą rękę niósł na temblaku. Zbliżywszy się do rzeki, z trudem, pochylając się, zszedł nad wodę i zniknął mu z oczu.

Nie pomyślał nawet o zdjęciu butów. Po prostu wsadził nogi do strumienia, pozwalając, by spodnie nasiąkły, i czekając, aż wilgoć przeniknie do butów. Stopy, początkowo nieczułe, po chwili zaczęły odżywać; woda była kojąca i chłodna. Stary położył się na wznak na trawiastym zboczu i wlepił wzrok w gasnące, przedwieczne niebo.

Chwilę później usłyszał, że ktoś idzie wzdłuż brzegu. Nie chciało mu się oglądać, żeby zobaczyć kto taki, i tylko z przyzwyczajenia dotknął kolby rewolweru pod kamizelką. Miał nadzieję, że ktokolwiek to jest, pójdzie sobie, ale z tym dobiegł go szelest trawy, a potem ziemia zadrżała, gdy ten ktoś zbiegał ze zbocza. Siadł nie opodal, ale i wtedy stary nie obejrzał się.

— Może nie uwierzysz — głos majora — ale Pershing zamierza wysłać 13 pułk osobno. Pójdziemy na zachód, a potem na południe, wzdłuż gór.

Stary kiwnął głową, nadal nie odwracając oczu. Wypatrzył jedyną w zasięgu wzroku chmurkę. Przesuwała się akurat nad nim; z jednej strony zabarwiona na czerwono, wyraźnie odcinała się od żółtawego w promieniach zachodu nieba. Myśl o Pershingu sprowadziła starego na ziemię.

— Jak tam generał?

— Zły jak wszyscy diabli. Stary roześmiał się.

43

Zły, to nie było właściwe słowo. Raczej wściekły. Kiedy nadszedł major, by zameldować o napaści na jego oddział, Pershing prezentował właśnie pożyczony od mormonów kabriolet. Był to słynny otwarty dodge, którego generał używał później aż do końca wyprawy meksykańskiej. Dach miał zwinięty, drzwi otwarte, dokoła tłoczyli się oficerowie i korespondenci prasowi. Generał wysłuchał meldunku, zaklął i trzasnął drzwiami dodge'a.

— Jeśli ci przekłęci politycy z Waszyngtonu nie zapewnią nam chociaż minimum współpracy tu, na miejscu, użyję wszelkich form nacisku, żeby ich do tego zmusić. Panowie, macie moją zgodę na pisanie wszystkiego co chcecie o tym incydencie. Proszę jedynie o udostępnienie mi kopii waszych korespondencji. I nie chodzi mi o ich cenzurowanie; chcę się tylko upewnić, czy są dostatecznie mocne. Chcę, żeby wszystkie gazety w kraju zamieściły opis tej historii. Żeby każdy, kto ją przeczyta, skontaktował się z Waszyngtonem. Zanim skończymy, ci z Mexico City na kolanach będą nas błagać, byśmy przyjęli ich pomoc.

Nie było to postępowanie typowe dla Pershinga. Zwykle sprawował ścisły nadzór nad tym, co piszą o nim dziennikarze. Później, podczas pierwszej wojny światowej, wszyscy podróżujący z nim korespondenci musieli wpłacać kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Jeśli któryś z nich przemycił jakąś wiadomość bez cenzury, ulegała przypadkowi. Raz omal nie doszło do oskarżenia o zdradę. Podczas tej ekspedycji Pershing był mniej zasadniczy, ale i tak kontrola nad przepływem informacji pozostawała w jego ręku. Dlatego teraz pozwolił dziennikarzom zostać i słuchać. I tak bez jego zgody nie mogli nic zrobić z wiadomością o ataku.

64

S — Ostatnia szarża

65

Niespodziewane złagodzenie rygorów poprawiło humory dziennikarzy. Ten i ów zaśmiał się. Zresztą i sam Pershing po zakończeniu swojej przemowy zamyślił się i jakby rozpogodził. Spojrzał na majora, podszedł do swojego namiotu i odchyliwszy klapę, sięgnął po coś do środka.

— Proszę, panie majorze, myślę, że odrobina tego dobrze panu zrobi.

Była to butelka whisky. Pershing odkorkował ją i napełnił kubek.

— Za pozwoleniem pana generała, nie sam — rzekł major. Generał uśmiechnął się.

— W takim razie, na moją komendę, kolejka dla wszystkich. Przybyło kubków; korespondenci podchodzili dzierząc puste puszki,

zakrętki manierek, cokolwiek wpadło im w ręce. Wszyscy czekali, aż Pershing skończy nalewać.

Wyprostował się, uniósł kubek i rozejrzał się po zebranych.

—Zdrowie tego sukinsyna Yilli. I za schwytanie go.

— Tak jest! Brawo! — podniosły się głosy. Naczynia poszły w górę, tręcili się, wypili.

44

Dwaj żołnierze, goli jak ich Bóg stworzył, podbiegli do brzegu i wskoczyli do rzeki. Major przyglądał się, jak z pluskiem wpadają do wody.

— Pewnie słyszałeś, że generał stracił rodzinę.

Po raz pierwszy od chwili, gdy major usiadł obok niego, stary odwrócił wzrok.

— Nie — odpowiedział. — Nic o tym nie wiem.

— Tak było. Zeszłego lata, po jego przeniesieniu do El Paso. Wrócili do San Francisco zabrać swoje rzeczy przed przeprowadzką do Teksasu. W nocy wybuchł pożar. Żona i trzy córki generała zginęły. Tylko syn ocalał.

Stary nie odrywał oczu od mówiącego. Gdyby Prentice go widział, rozpoznałby to spojrzenie. Kiedy ich oddział szykował się do wymarszu, Calendar tak samo patrzył na majora, całującego dzieci i żonę.

Majora drażnił trochę ten wyraz twarzy.

— To wszystko zmieniło generała. Jest teraz chudszy, postarzał się. Charakter ma ten sam, ale chyba kryje się za tym coś innego. Któryś z jego adiutantów mówił mi, że zrobił się bardziej gderliwy. Słabe zaopatrzenie, nie dość ludzi; ciągle niezadowolony. Wygląda na

66

to, że wpakował się w tę awanturę, żeby zapomnieć. I czuje, że musi to zrobić sam, bo nie może liczyć na niczyją pomoc.

Stary odwrócił głowę i zapatrzył się na rzekę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, aż nagle stary podniósł się ciężko i odszedł.

45

Prentice siedział oparty o drzewo i pochłaniał pierwszy solidny posiłek od początku kampanii — rodzaj gulaszu, którym uraczyli ich mormoni. Nabierał łyżką mięso i nasiąknięte sosem ziemniaki, pakował do ust i żuł bez pośpiechu. Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą starego.

— Niech pan nie zawraca sobie głowy podziękowaniami.

— Nie mam zamiaru. To było głupie.

— Tak czy inaczej, jesteśmy kwita. Stary wzruszył ramionami.

— Że znasz się na koniach, to miałeś rację. Myślę, że na początek trzeba ci sprawić drugi pistolet.

Ostatnie zdanie wypowiedział nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy. Chłopiec żuł swój gulasz, potem szczeka mu znieruchomiała, przełknął i odłożył talerz. Zerknął ostrożnie, zastanawiając się, czy dobrze usłyszał i czy to znaczy to, co sądził, że znaczy.

Stary wciąż tam był.

DWA

46

GEORGIA, rok 1864. Dotarły do nich wieści o pożarze Atlanty. Zastanawiano się, co teraz zrobią Jankesi. Konfederaci pod dowództwem generała Hooda wycofali się z Atlanty w kierunku północnym i wielu sądziło, że generał Sherman podąży za nimi. Nikt nie pamiętał, co wydarzyło się w Wirginii, nikt też nie przypuszczał, że to samo może się powtórzyć teraz. Nawet kiedy pojawiły się niewątpliwe oznaki tego, co miało nastąpić, nikt nie chciał w nie wierzyć. Zamiast ścigać Hooda czy skierować się ku innym celom militarnym, Sherman zostawił za sobą własne szlaki aprowizacyjne i z sześćdziesięcioma tysiącami ludzi wymaszerował z Atlanty, kierując się ku Savannah, ku morzu. Jego celem było złamanie ducha Południa, toteż niszczył lub zagarniał wszystko, co napotkał po drodze.

Był listopad, a więc pora sprzyjająca tego typu operacjom. Jak napisał później pewien historyk*: „Blisko stukilometrowym frontem przemierzali żyzny kraj, gdzie właśnie rozpoczęły się zbiory i stodoły pełne były kukurydzy i paszy dla zwierząt, wędzarnie pęczniały od szynek i bekonów, a na pastwiskach nie brakło bydła. Co rano każda brygada wyznaczała kompanię zaopatrzeniową w liczbie około pięćdziesięciu ludzi, których zadaniem było przeczesywanie okolicy w promieniu kilku kilometrów od linii marszu jednostki. Na farmach rekwirowali wozy i bryczki i ładowali na nie bekon, jaja, mąkę kukurydzianą, kury, indyki i kaczki, słodkie ziemniaki — co tylko dało się zabrać. Do wieczora wszystko to trafiało do brygadowej kantyny. W tym samym czasie inne grupy zajęte były spędzaniem bydła. Czego nie mogli zabrać — niszczyli; zwierzęta zabijali. Żeby nie

* Nieco zmieniony i skrócony cytat z: R. Leckie — *The Wars of America* (Harper and Row, 1968).

71

marnować amunicji, siekli świnie szablami, a konie i muły zabijali uderzeniem topora między uszy. Wychudzeni weterani, przywykli do sucharów i solonej wieprzowiny, od świtu do nocy obżerali się szynką, słodkimi bulwami i świeżą wołowiną i nim przebyli stan, zrobili się okrągłi i tłuści. Tak samo Murzyni, którym dostawała się żywność ich dotychczasowych panów i których w miarę postępów obcej armii ogarniał szal radości. Oto sprawdzały się słowa popularnej wówczas śpiewki:

Hej, czarnuchy, czy to nie stary Massa Z wąsami na gębie
Dziś skoro świt na drogę wybiegi I odszedł stąd na zawsze?

Massa zmyka, ha-ha! •*

Negr zostaje, ho-ho!

Musi Boże nadchodzi Królestwo

I zaczyna się Rok Wolności.

Zaiste był to dla Murzynów rok wolności! Dla zadowolonych z życia weteranów Shermana marsz na Savannah również zmienił się w majową wycieczkę. Ich pochód znaczyły dymy pożarów, a szeroki na sto kilometrów pas ziemi wyglądał jak po przejściu nawałnicy. Sklepy, mosty, stajnie, kuźnie, składy i fabryki padały ofiarą ognia. Niezczędzono nawet domów mieszkalnych. Szczególnym brakiem skrupułów wyróżniały się bandy maruderów. Dezerterzy, straceńcy i łupieżcy z Północy i z Południa ciągnęli za wojskiem zwabieni możliwością rabunku. To oni torturami zmuszali starców i bezbronne kobiety do ujawniania skrytek, gdzie przechowywano domowe srebra, biżuterię i pieniądze. W zabłoconych, podkutych buciorach skakali po śnieżnobiałych obrusach i polerowanych stołach, kolbami karabinów rozbijali meble, cięli szablami pościel na łóżkach, a opróżnionymi butelkami tłukli szyby i lustra. Sherman, mimo iż leżało to w jego mocy, niewiele robił, aby ich powstrzymać. „Wojna znaczy okrucieństwo; nie da się ich rozdzielić” — powiedział mieszkańcom Atlanty. Zamierzał dowieść, że Konfederacja jest zbyt słaba, by chronić swych obywateli.

Ich farma leżała w środkowej części stanu, dokładnie na Unii marszu Shermana. Nie wiedzieli o tym aż do chwili, kiedy było już za późno. Pewnego ranka do stajni zakradli się rabusie. Jego ojciec próbował ich powstrzymać; zastrzelili go. Matka wybiegła do ojca,

72

więc zabili i ją. Jego siostrę zgwałcili, potem strzelili jej w pierś. Bratu uderzeniem szabli rozpruli brzuch. Zabrali konie i świnie, zastrzelili psa, podpalili stajnię i dom i odjechali wozem pełnym żywności i paszy dla koni.

Miał wtedy trzynaście lat, był najmłodszy w domu. Widział, co się stało, przynajmniej część tego, z górnego piętra domu. Spał, kiedy wszystko się zaczęło. Przebudził się i gdy wyjrzał przez okno sypialni, zobaczył jak zabijają ojca, potem matkę. Wyszedł na schody i ujrzał dwóch żołnierzy, szamoczących się z jego siostrą. Trzeci wszedł na górę i uderzył go w głowę kolbą karabinu, pozbawiając przytomności. Ocknął się w kłębach dymu; dom płonął. Zszedł po schodach i wy dostał się na ganek. Przypomniawszy sobie o siostrze. Wrócił i znalazł ją na kanapie; leżała z sukienką pod szyją, w podartej, zakrwawionej bieliźnie i z czerwoną plamą na piersi. Na podłodze obok rzucono pokaleczone ciało jego brata. Pokój ogarnęły już płomienie. Zanosząc się kaszlem osłonił rękami twarz przed ogniem i mimo wszystko usiłował dostać się do środka. Jednak żar był nie do wytrzymania i musiał się cofnąć. Z sufitu runęła belka, za nią druga i zablokowały wejście. Spróbował z drugiej strony, ale tu ogień był jeszcze większy; w huku płomieni z dachu sypały się przepalone krokwie. Brat i siostra zniknęli w dymie. Przed nim wznosiła się nieprzenikniona ściana ognia. Jął zdzierać z siebie płonące ubranie; zataczając się wybiegł z domu, tarzał się po ziemi i tłumiąc żar we włosach tłukł dłońmi po głowie. Piekła go szyja, garście miał pełne popalonych

włosów, cuchnął odorem spalenizny. Leżał wpatrzony w szalejące płomienie, a gdy i tu dosięgła go fala gorąca, odczołgał się wstecz; za mało. Odczołgał się jeszcze dalej; powlókł ciała ojca i matki aż do furtki. Tu upadł.

Wiedział, że nie żyją. Nie miał wątpliwości — rozwarłe powieki, szkliste oczy wpatrzone w nicość. Mimo to czekał, przyglądał się im, jakby chciał się upewnić, chociaż czuł, że to nie ma sensu. Wreszcie wstał. Widział, jak wali się stajnia. Dom niemal się wypalił. Zapadł się dach, potem runęła jedna ściana. Wszystko zrobiło się jakieś zamazane, poczuł, że po policzkach spływa mu coś ciepłego i mokrego; płakał. Rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, na kim mógłby wyładować swoją złość i swoją rozpacz, kogo mógłby zranić. Nie było nikogo. Pokuśtykał w stronę stodoły. Sąsiedki były opróżnione z ziarna, zniknął wóz i bryczka. Podszedł do bramy i tu, potknąwszy się, spostrzegł, że nie ma butów i że jest nagi.

Wrócił do leżących pod płótem rodziców. Tymczasem zawaliły się pozostałe trzy ściany domu. Rodziców pochował. Przeszedł farmę

73

w poszukiwaniu czegoś, co mógłby mu się przydać. Wdział zdjęte z trupa ojca ubranie; musiał podwinąć nogawki spodni i ścisnąć się pasem, zawinąć rękawy i skarpetki, a buty wypchać liśćmi. Popatrzył jeszcze na świeżo zasypane mogiły, na dymiące zgliszcza stajni i domu i ruszył w drogę.

47

Początkowo nie wiedział, co robi. Myślał tylko, że jeśli się pośpieszy, może uda mu się ich dogonić. Minęło sporo czasu, nim uświadomił sobie, że i tak nie ma żadnych szans — jeden chłopiec przeciwko szóstce mężczyzn. Przynajmniej tylu widział. Trzech wewnątrz i trzech na podwórzu. Mogli być jeszcze inni. Zdażył tylko, najpierw z okna sypialni, a potem ze schodów spojrzeć na tych dwóch na jego Siostrze oraz na tego, który doń podszedł; pamiętał ciemną, niewyraźną sylwetkę mężczyzny o zmierzwionych włosach. Nie był pewien, czy ich rozpozna, ale wóz i bryczkę tak, tego był pewien. Będzie szukał znajomych pojazdów, a kogo przy nich napotka, zabije.

Nie od razu. Tak, żeby samemu się nie narażać. Chciał mieć pewność, że dostanie ich wszystkich. Zaczeka więc; nawet kiedy dowie się, gdzie są, też nie będzie się spieszyć. Załatwi ich pojedynczo, po kolei. Może zaczeka, aż każdy będzie sam, pogrążony we śnie. Załatwi ich nożem. Albo zastrzeli.

Za siostrę. Za brata, za matkę i ojca. Za dom i stajnię. Ale najbardziej za siebie.

Nie przeszedł nawet dziesięciu kilometrów, kiedy znalazł bryczkę. Urwane koło leżało w rowie. Spodziewał się tego. Koło było zepsute i ojciec jeździł bryczką bardzo ostrożnie. Zamierzał ją naprawić. Teraz już tego nie robi.

Szedł dalej, stale przyśpieszając kroku. Liście w butach zmieniły się tymczasem w błoto, kulał. Szedł jednak coraz szybciej. Czuł, że łydki zaczynają pulsować boleśnie, ale nie zwalniał.

Wreszcie zrozumiał, że idąc w ten sposób całkiem zniszczy sobie nogi. Lepiej posuwać się wolno niż wcale. Zdjął więc buty i w samych skarpetkach maszerował po trawie obok drogi. Postąpił słusznie, bo pięć minut później usłyszał tętent koni i miał czas ukryć się, nim nadszedła grupa żołnierzy Unii. O ile mógł się zorientować, nie byli to ci, których szukał. Zresztą, co za różnica. Ze swej kryjówki widział przerzucone przez siodła wypchane worki, krew na ubraniach. Przejechali, a on zaklął i wrócił na drogę.

74

W końcu natknął się na nich. Najpierw ich usłyszał. Niewyraźny, odległy gwar, rosnący w miarę, jak się zbliżał. Ludzie i konie, świnie, kaczki, indyki i kury, wszystko razem w ogłuszającym zgiełku. A potem ich zobaczył: nie kończący się, szeroki, jak okiem sięgnąć, potok ludzi, koni, byfflaj wozów. Widział granat i brąz mundurów, biel i wszystkie możliwe kolory, ale dla niego ważny był tylko ten granat. Kłęby kurzu zamazywały obraz. Żołnierze na koniach, pieszo, tysiące, pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt; szli, deptali, tratowali. Byli niczym plaga szarańczy i wtedy, chłopiec zrozumiał, że nigdy nie znajdzie swoich ludzi. Będzie próbował. Może mu się poszczęści. Ale czuł, że nigdy mu się nie uda.

Nie rezygnował. Szedł dalej. Znalazł porzucone przy drodze chłopięce buty i zabrał je, zastanawiając się, po co je komuś ukradli. Okazały się prawie dobre, może trochę za duże, ale owinał nogi zebranymi na drodze szmatami i pasowały całkiem nieźle, mógł iść dalej. Zpflajł niesioną wiatrem żołnierską czapkę i włożył na głowę dla ochrony przed słońcem. Znalazł też worek żywności. Mieli jej tyle, że nie dbali o taką zgubę.

Podążał za nimi, trzymając się ciągle tego samego skrzydła kolumny; łykając kurz wpatrywał się w każdy przejeżdżający wóz. Kiedy został w tyle, szedł z gromadą Murzynów ciągnących za wojskiem. Jedli to co dostali od żołnierzy, śpiewali, śmiali się, wrzeszczeli, gapili się na niego. Zostawał w tyle, wyęczał siły byle tylko dotrzymać im kroku, aż wreszcie zatrzymali się na noc i mógł wczłgać się w krzaki i zasnąć.

Następnego dnia było to samo; następnego też. Co rano, nim żołnierze wstali i zjedli śniadanie, ruszał do przodu, starając się nadrobić jak najwięcej drogi. Wiedział, że koło południa będą go mijać; przychodziło południe, obserwował wozy, spoglądał po twarzach, ale bezskutecznie, więc szedł dalej. Szedł, aż zdawało mu się, że jeszcze krok, a upadnie; robił ten krok i nie zatrzymywał się.

Dotarli do rzeki. Żołnierze zbudowali przeprawę — mosty z połączonych belkami i linami tratw. Chłopiec był wtedy w tyle, razem z Murzynami. Zanim doszli, żołnierze byli już po drugiej stronie i właśnie likwidowali przeprawę. Mostów strzegli strażnicy, nie dopuszczając do nich Murzynów. Stopniowo ściągano tratwy na przeciwległy brzeg. Murzyni podnieśli krzyk. Żołnierze mieli dość żywienia ich, dość ich wrzasków, toteż postanowili pozbyć się towarzystwa. Ostatnie segmenty mostów z wartownikami trzymającymi broń w pogotowiu sunęły po wodzie, oddalały się.

Wycie Murzynów nie ustawało. Niektórzy wchodzili do wody, próbowali brodzić. Porwani prądem szamotali się, walcząc o powrót na ląd, i nie wszystkim to się udało. Pozostali tylko wrzeszczeli.

75

Chłopiec poszedł w górę rzeki, próbował szukać brodu. Nie znalazł.

Murzyni ruszyli za nim.

Zrozumiał, że może mieć z nimi kłopoty — jedyny biały wśród tysiąca czarnych. Wypatrzył przy brzegu drewnianą belkę, zepchnął ją na głęboką wodę i uczepiwszy się jej płynął, aż dotarła do głównego nurtu. Tam przyśpieszyła. Widząc to, Murzyni jeb* obrzucać go kamieniami. Starał się trzymać głowę nisko, skrytą za belką. Woda była zimna, bystry prąd miotał nim na wszystkie strony, dokoła pluskały kamienie.

Któryś, odbity od belki, uderzył go w ramię. Stracił czucie w ręce, ale wytrzymał siły, żeby nie rozluźnić zaciśniętego na drewnie uchwytu. Niespodziewanie belka okręciła się wokół własnej osi i znalazł się pod spodem. Rozpaczliwie starał się wydostać, woda zalewała mu usta, dławił się, krztusił; potem nastąpił kolejny obrót i znów był na powierzchni. *

Brzeg, który właśnie opuścił, oddalał się. Murzyni wciąż krzyczeli, jeszcze próbowali rzucać kamieniami. Spojrzał w drugą stronę. Znajdował się na środku rzeki, niesiony jej głównym nurtem. Tłukł wodę nogami, starał się płynąć w poprzek, ale silny prąd znosił go w dół. Nic więcej nie mógł zrobić. Przyłgął do belki, mając nadzieję, że woda sama wyniesie go na brzeg.

Przepłynął wiele kilometrów w dół rzeki. Nie wiedział ile, ale trwało to długo, a płynął szybko. Dostał się na ląd tylko dlatego, że na zakolu płynąca dotąd środkiem rzeki belka zbliżyła się do brzegu. W chwili kiedy mijala niewielki cypel, zaryzykował, oderwał się i choć omal się nie utopił, dopłynął.

48

Niewiele brakowało, a umarłby tego dnia. Zrozumiał to dopiero wiele lat później. Leżał na piasku nad wodą, bez tchu i łkał z wyczerpania. Trząsał się z zimna w ociekającym wodą ubraniu, czekał aż odzyska siły, a tymczasem czuł się coraz słabszy. Wyciągnął z worka kawałek mokrego chleba i próbował jeść, ale o mało nie zwymiotował. Wiedział, że jest chory, sądził jednak, iż to tylko zmęczenie. Słyszał o czymś takim jak „utrata ciepła”, ale co to dokładnie znaczy — nie miał pojęcia. Wiedział, że ludzie od tego umierają, ale sądził, iż dotyczy to takich, co zabłądzili w śnieżycy i zamarзли. Nie wiedział, jak szybko traci ciepło leżąc tam, mokry i zziębnięty. W Georgii listopadowe wiatry nawet w pogodne dni bywają przenikliwie zimne.

76

Skąd miał wiedzieć, że bez ognia, bez suchej odzieży mógł opaść stopniowo z sił i po kilku godzinach umrzeć? I nie miałoby to nic wspólnego z przeziębieniem czy zapaleniem płuc. Umarłby z wyczerpania wywołanego utratą ciepła.

49

Siły całkiem go opuściły. Czuł zawroty głowy, półprzytomnie mamrotał coś pod nosem. Próbował wstać, ale nie mógł utrzymać się na nogach. Ostatecznie ocaliła go chyba jego zawziętość w ściganiu

żołnierzy. Wiedział, że stracił mnóstwo czasu, że muszą być już daleko i gdy on tu leży, oni odchodzą coraz dalej. Wiedział, że musi się ruszać, ale jednocześnie wcale nie miał na to ochoty. A jednak z najwyższym wysiłkiem podniósł się i jął wspinać się na urwisty brzeg.

Linia rzeki biegła w tym miejscu mniej więcej prosto. Wyobraził sobie, że jeśli skieruje się na prawo pod pewnym kątem do brzegu, natrafi na trasę przemarszu kolumny. Musiałby mieć pecha, żeby przeoczyć ślady tylu ludzi, koni i wozów. Pytanie tylko, jak długo będzie-musiał szukać. Szedł powoli, potykając się, a mokre skarpety i szmaty w butach ocierały boleśnie stopy, wywołując pęcherze. Mrużył oczy, wpatrując się w dal. Niemal nie widział mijanych drzew, wzgórz, kamiennych murków na polach, farm. Obojętnie przechodził obok spalonych budynków i martwych ludzi przed nimi; szedł. Przewrócił się raz i drugi, ale początkowo nie przejął się tym. Potem zaczęło mu się to przytrafiać coraz częściej i nagle stwierdził, że mija miejsce, gdzie był już wcześniej. Nie zdając sobie z tego sprawy, wracał po własnych śladach. Zawrócił i posuwał się dalej, wypatrując jakichś punktów orientacyjnych: odległych drzew, kamieni czy szczytów wzgórz. Dowłókłszy się do takiego punktu, szukał następnego. Minęła dłuższa chwila, nim zorientował się, że idzie szlakiem wydeptanym przez wojsko; ale kiedy nań trafił? Wszystko zrobiło się jakieś szare, musiał być już wieczór. Nie wiedział, jak długo szedł, jak wiele drogi przeszedł. Ledwie pamiętał, dokąd idzie, gdy po raz kolejny przewrócił się, poczuł, że już nie wstanie. Miał mdłości, trzęsły nim niepowstrzymane dreszcze. Leżał ze wzrokiem wlepionym w ciemność, w której coś migotało; coś fascynującego — ogień. Kiedy to sobie uświadomił, zaczął się czołgać.

Później dowiedział się, że żołnierze omal go wtedy nie zastrzelili. Widzieli tylko niski, ciemny kształt pełznący w stronę obozu. Potem usłyszeli ludzki jęk i to ich powstrzymało. Okazało się, że to tylko

77

chłopiec; w łachmanach, powoli, z trudem podciągając kolana czołgał się ku ognisku. Zostało mu jeszcze piętnaście metrów do celu, kiedy zatrzymał się, wyciągnął rękę bezradnie i osunąwszy się w piach, znieruchomiał.

Gapili się na niego w osłupieniu i dopiero po chwili oprzytomnieli i pośpieszyli z pomocą. Zanieśli go bliżej ognia, rozebrali i owinęli kocem. W kieszeni koszuli znaleźli czapkę żołnierza Unii, którą wetknął tam, nim wskoczył do rzeki. Podczas gdy żołnierze suszyli jego łachy, grzał się przy ognisku. Próbowali go karmić. Przynieśli coś ciepłego do picia i kawałek mięsa. Wypił, lecz mięsa nie tknął.

Ciągle spał, kiedy rano wyruszyli w dalszą drogę. Wsadzili go na wóz, ale nie obudził się aż do południa. Jeszcze wtedy był półprzytomny. Napił się trochę i znów zapadł w sen. Ocknął się na dobre dopiero wieczorem, kiedy zatrzymał się na nocleg. Zjadł i w milczeniu wysłuchiwał ich opowiadania o tym, jak go znaleźli i że był o krok od śmierci. Mówili też, że bredził coś o rzece, ale nie mogli nic zrozumieć. Byli ciekawi, co takiego mu się przytrafiło. -Nie chciał jednak rozmawiać. Poszedł spać. Obudził się w nocy i wtedy mógł już na tyle jasno myśleć, żeby zdać sobie sprawę, że ci tutaj nic nie wiedzą o jego matce, ojcu oraz o całej reszcie, i że jeśli im powie, przestaną mu ufać. Rano opowiedział historyjkę o ojcu — łajdaku, który go porzucił, i o tym jak szedł za wojskiem, spodziewając się jakiejś pomocy, a potem próbował przepłynąć się przez rzekę, gdzie omal się nie utopił. Wysłuchali, przyglądając mu się uważnie. Nie umiałby powiedzieć, czy uwierzyli, ale

przestali go wypytywać.

Został z nimi prawie do końca grudnia. Cały czas szli na południowy wschód, w kierunku Savannah. Na przedmieściach został w tyle i nie widział samego wkroczenia do miasta. Dotarł w porę, by zobaczyć, do czego zdolnych jest sześćdziesiąt tysięcy rozochoconych, znudzonych długim marszem prymitywnych mężczyzn. Najpierw rzucili się na saloony i hotele. Dla samej przyjemności mszczenia rujnowali wszystko, co znaleźli na swojej drodze. Wyważali drzwi, stoły i krzesła wyrzucali przez okna, tłukli lustra i szyby. Po ulicy snuli się pijani, obładowani butelkami żołnierze. Sklepy z żywnością, jadalnie i piekarnie zostały objedzone do czysta. Niebawem zabrali się do kobiet.

Bezskutecznie rozglądał się za ojcowskim wozem i ludźmi, których ścigał. Na rogach ulic widział oficerów obojętnych na otaczające ich piekło, a nawet przyłączających się do powszechnej orgii. Było oczywiste, że choćby nie wiedzieć jak się starali, nie zdołaliby odwrócić biegu wydarzeń. Celem marszu na Savannah było danie nauczki

78

całemu Południu i ta lekcja jeszcze się nie skończyła. Ostatecznie to samo robili przez całą drogę. Zresztą żołnierze wcale nie mieli ochoty przestać. Po wielu tygodniach zupełnego bezhołowania, spodziewając się powrotu dyscypliny, po raz ostatni mieli okazję popuścić sobie cugli. Precz z wszelkimi ograniczeniami! Rzucili się na kobiety, zgarniając je prosto z ulicy. Po mieście niosła się ogłuszająca wrzawa; piski, wołania, sporadyczne strzały, odgłosy gonitwy i bójek, tu i ówdzie płonęły domy. Wkrótce chłopiec nie mógł już na to wszystko patrzeć. Wiedział, że gdzieś w tym tłumie znajdują się ludzie, którzy zabili jego rodzinę, ale rozgrywające się przed jego oczami sceny przyprawiały go o mdłości. Nie miał nawet pewności, czy rozpozna tych, których szuka. Stracił z oczu żołnierzy, z którymi przybył do miasta i nie pozostało mu nic innego, jak wrócić na przedmieście, w pobliże centrum dowodzenia Shermana. Ulokowano je na północ od Savannah, na równinie, z jednej strony ograniczonej rzeką, z drugiej wychodzącej na morze. Rozbito namioty, sklecono zagrody dla koni, wystawiono warty. Był dwudziesty pierwszy grudnia; nawet w Georgii robi się o tej porze zimno. W obozie rozpalono ogniska. Białe smużki dymu unosiły się ku niebu. I tu, na równinie, ścigał chłopca zgiełk dochodzący z miasta: wrzaski, pojedyncze strzały, trzask rozbijanych drzwi i okien. Echo powtarzało dźwięki, przywodzące na myśl gigantyczny dom wariatów. Nad miastem zawisły chmury czarnego dymu z płonących domów. Czuł, że rozsądnie zrobił, wynosząc się stamtąd. Zdawał sobie sprawę, jak nedorzecznie musi wyglądać w podartym wiejskim odzieniu. Brudna twarz, a na głowie czapka żołnierza Unii. Jakie to głupie i żalodne. Musi znaleźć kogoś, kto mu pomoże; zdobyć jakieś ubranie, coś do jedzenia i kąt do spania. A ponieważ zgubił żołnierzy, którzy ostatnio mu pomagali, musi poszukać innych. Zbliżył się do wartownika i wlepił weń wzrok. Żołnierz obrzucił go obojętnym spojrzeniem.

— Czego tam, mały?

— Jestem głodny.

Tamten nie spuszczał go z oka.

— Zjeżdżaj.

— Jestem głodny — powtórzył chłopiec.

Wartownik zrobił ruch, jakby zamierzał mu przyłożyć. Powstrzymał go przechodzący obok żołnierz.

— O co chodzi?

— Nic takiego, sir. Ten dzieciak nie chce odejść. Muszę go chyba pogonić.

— O co chodzi? — tym razem pytanie skierowane było do chłopca.

79

— Jestem głodny.

Żołnierz przyglądał mu się przez chwilę, potem zacisnął wargi i rozkazał:

— Przepuście go!

Wartownik wzruszył tylko ramionami. Żołnierz wyciągnął rękę.

Był oficerem, jak się później chłopiec dowiedział. Na razie nie wiedział, co znaczą naszywki widoczne na mundurze. Był oficerem, majorem. Nazywał się Ryerson.

I wtedy właśnie zaczęło się wszystko, co było ważne w życiu chłopca.

50

Służył na Filipinach, kiedy wprowadzono czterdziestkę* piątkę. Było to w roku 1911. Od pewnego czasu był już w cywilu, zbliżał się do sześćdziesiątki i nie bardzo chcieli go wziąć. Musiał użyć wszystkich swoich wpływów. Na szczęście ludzie, z którymi służył kiedyś w wojsku, teraz zostali ważnymi figurami. Ale nawet i wtedy nie przyjęli go z otwartymi ramionami.

— Po Kubie i całej reszcie powinieneś chyba mieć już dość — usłyszał.

Tymczasem nie miał dość, chociaż trudno byłoby mu to wytłumaczyć. Nie w tym rzecz, że po prostu czuł się niepotrzebny, choć i to miało jakieś znaczenie. Na pewno na jego decyzji zaważyła świadomość, że się starzeje, ale nie w ten sposób, jak można by przypuszczać. Całym jego życiem rządziła wojna. Był zawsze tam, dokąd zagnały go jej losy. Poznawał nowe miejsca, uczył się nowych rzeczy. W istocie rytm jego życia był odbiciem historii jego kraju. I teraz, w obliczu nowych wydarzeń, nie mógł pozostać na uboczu. Czuł nieprzewartą potrzebę znalezienia się w miejscu, gdzie, jak podpowiadał mu instynkt, powinien się znaleźć. Nie brzmiało to zbyt logicznie, ale szczerść jego uczuć była przekonująca. Ostatecznie, jako że ludzie, do których się odwołał, istotnie zawdzięczali mu bardzo wiele, otrzymał zgodę na wyjazd. Wtedy okazało się, że mieli rację ci, którzy ostrzegali go przed tą wyprawą. Warunki, w jakich prowadzono wojnę na Filipinach, nie były na jego siły: monsuny, żółta febra, malaria. Na Kubie był jeszcze w stanie im sprostać, ale teraz nie dawał rady. Wkrótce znalazł się w domu.

Oczywiście cała ta historia nie miała obecnie żadnego znaczenia. Stary nawet słowem nie wspominał o niej Prentice'owi.

80

Siedzieli przy ognisku; przy pierwszym porządnym ognisku od wymarszu z Columbus: dużym, ciepłym, przyciągającym wzrok grą płomieni, zupełnie innym niż nędzny, przygasający ogieniek tamtej zimnej nocy koło meksykańskiej wioski. Jedyne, co ma znaczenie — tłumaczył stary Prentice'owi, wyciągając z kabury automatycznego colta Q,45 cala — to jest to...

Po tym, jak Stany Zjednoczone wygrały z Hiszpanią wojnę na Kubie, Filipiny dostały się we władanie Amerykanów. Kiedy jednak przyszło do wprowadzania tam amerykańskiej władzy, tubylcy wznieśli powstanie. Byli to w większości muzułmanie. Hiszpanie nazywali ich Maurami. Ich religijny fanatyzm w boju był czymś zupełnie niespotykanym, nawet u amerykańskich Indian. US Army po raz pierwszy miała do czynienia z takim przeciwnikiem.

— Potrafili rzucić się na ciebie pośrodku głównej ulicy wioski, wrzeszcząc i wywijając tymi swoimi długimi nożami. Mogłeś trafić takiego dwa, trzy razy z karabinu czy pistoletu, a on, nie pytaj jakim sposobem, biegł dalej. I jeśli nie byłeś dość szybki, jeśli za wolno naciskałeś spust, nie wiedzieć kiedy miałeś go na karku i to na tyle silnego, że zanim powłókł się w krzaki, żeby umrzeć, zdążył poderznąć ci gardło. Potrzebna była nowa broń. Coś, co na krótki dystans byłoby naprawdę skuteczne. I to jest właśnie to. Wystarczyło trafić jednym pociskiem. W rękę, w pierś, w ramię, wszystko jedno — facet był gotów na miejscu. Podrzucało go i waliło na ziemię. A ty miałeś jeszcze sześć strzałów dla jego kumpli. Przy czym ponowne załadowanie trwa tyle, co wsunięcie nowego magazynka. Jak ktoś jest obeznany z bronią i nie obawia się silnego odrzutu, to wie, że z tego wcale nie tak trudno trafić człowieka, jak gadają. Ten pistolet zaprojektował Browning, ale to nie jego firma dostała patent, tylko Colt. Tak czy inaczej, warto pamiętać, że ktoś to skonstruował do konkretnego celu, do wykonania określonej roboty. Zawsze, kiedy tego używasz, myśl o tym jak o narzędziu. Bardzo specjalnym narzędziu i o bardzo specyficznym przeznaczeniu. I posługuj się nim z taką samą precyzją i szacunkiem jak każdym innym narzędziem. Z tym pistoletem jest tylko jedna bieda. W takim kraju jak ten, gdzie pełno piasku i zawsze wieje wiatr, zacina się. I zawsze znajdzie się ktoś, kto spróbuje cię zabić, kiedy będziesz się biedził nad odblokowaniem zamka. Polegaj tylko na nim, a już jesteś martwy. Potrzebujesz jeszcze czegoś. Czegoś takiego jak to.

Sięgnął pod kamizelkę i wy dobył rewolwer. Colt peacemaker kalibru 0,45 cala.

— Jasne, że jest bardziej toporny, trochę słabszy. Mieści tylko sześć naboji; a właściwie pięć, jeśli chcesz być ostrożny i komorę pod

6 — Ostatnia szarża

81

kurkiem nosisz pustą. A ładowanie... no cóż, wydaje ci się, że trwa cały dzień. Ale noszę go już trzydzieści lat, miałem go ze sobą wszędzie, w każdych warunkach, i nigdy się nie zaciął. To konstrukcja samego Colta. W 1830 roku, podczas podróży przez ocean stworzył pierwszy projekt,

który doskonalili latami, aż doszedł do tego. Nie on dosłownie, ale jego spółka. To się stało w latach siedemdziesiątych, kiedy Colt już nie żył. Ale to wszystko jego zasługa. Szkoda tylko, że nie zdążył zobaczyć, jak jego wynalazek zmienił świat. Używaj tego jako zapasowej broni bocznej — tu stary sięgnął do juków, wyjął drugi egzemplarz takiego samego colta i wręczył chłopcu. — Uważaj, żeby sierżant cię z nim nie zobaczył. To wbrew regulaminowi; każe ci go oddać. Trzymaj go w torbie przy siodle, a w razie draki wetknij za pasek; tu z tyłu albo z boku. I nie używaj bez potrzeby. Zobacysz, nieraz uratuje ci życie. No, teraz wiesz już sporo. Przynajmniej znasz fakty. Ale z bronią jest jak z końmi, trzeba ją zrozumieć. Im częściej konia czyścisz, karmisz go, mówisz do niego, im bardziej dbasz, żeby mu nie dolegało, tym lepiej poznajesz jego istotę i lepiej potrafisz go wykorzystać. Dopiero kiedy znasz swego konia równie dobrze jak siebie, zaczynacie działać jak jeden organizm. To samo z pistoletem. Rozkładasz go, czyścisz, pilnujesz, żeby zawsze był pod ręką. Dowiadujesz się, kto go zrobił, po co i dlaczego jest taki a nie inny. Znasz ten kawałek żelaza jak własną duszę i traktujesz tak, jakby był częścią ciebie samego, żyjesz z nim, aż stanie się twoją drugą naturą. I o to właśnie chodzi. Od tego trzeba zaczynać, bo reszta nie jest taka ważna.

51

— Spróbuj, tak dla zabawy, udawać, że jestem twoim wrogiem. Zsiądź z konia i podejdź do mnie.

Był już ranek i 13 pułk szykował się do drogi. Ludzie potrzebowali odpoczynku, ale w tej chwili nie to było najważniejsze. Pershing z wielką niecierpliwością oczekiwał przybycia grupy z Columbus. Inne oddziały wysłał kilka dni wcześniej, zostawiając sobie tylko niezbędną rezerwę. Teraz, mając do dyspozycji posiłki sprowadzone przez majora Tompkinsa, planował kilka wypadów w głąb Meksyku. Dotarły do niego jakieś pogłoski na temat miejsca pobytu Yilli i zamierzał pójść ich tropem.

Prentice siedział już na koniu, zmierzając na miejsce zbiórki swojej kompanii, kiedy pojawił się przed nim stary ze swoją propozycją zabawy.

82

Prawdę mówiąc, Prentice nie bardzo wiedział, o co mu chodzi.

— No, śmiało — zachęcał go stary.

Chłopiec przyjrzał mu się z namysłem, wzruszył ramionami i zszedł z konia. Kiedy się odwrócił, stary trzymał wycelowany weń pistolet.

— Nawet o tym nie wiesz, ale jesteś już martwy. Nie tak to się robi. Patrz.

Schował pistolet i podszedł do swojego konia. Pozwolił mu powąchać dłoń, a potem przeciągnął nią po pysku i szyi zwierzęcia. Dopiero wtedy, sztywno, najwyraźniej oszczędzając zranioną rękę, podciągnął się na siodło. Zaskrzypiały rzemienie.

— Kiedy zsiadasz z konia, nie odsłaniaj się przed kimś, komu nie ufasz.

— Nawet przed panem?

— Przed nikim. Pamiętaj o tym, kiedy masz do czynienia ze swoimi, a nie zapomnisz się przy obcym.

Mówiąc to, stary obrócił konia bokiem i—jak przedtem posługując się tylko jedną ręką — zsiadł tak, że zza końskiego korpusu widać było tylko jego nogi i głowę. Obszedł zwierzę, a wyłaniając się spoza niego znów trzymał chłopca na muszce.

52

W drodze Prentice zastanawiał się nad słowami starego.

Po zlikwidowaniu obozu żołnierze sformowali kolumny marszowe. Dodge Pershinga znalazł się w środku; za nim przyboczny oddział generała i korespondenci w swoich hudsonach i fordach. Wyruszyli razem, ale po chwili oddziały rozdzieliły się, kierując się na południowy zachód, południe i południowy wschód — jakby ktoś rozstawił palce dłoni, zwróconej w dół mapy.

W przodzie, niedaleko czoła kolumny, chłopiec widział majaczącą w kurzu i porannej mgle sylwetkę starego, a jego słowa wciąż dźwięczały mu w uszach.

— Wszystko, co mogę ci pokazać, to parę sztuczek, parę sposobów unikania niebezpieczeństwa. Ale to nic nie znaczy, dopóki ich sobie nie przyswoisz, dopóki nie wymyślisz własnych, jeszcze lepszych. Bo ważne są nie te sztuczki, ale twoje nastawienie, stan umysłu. Nigdy nie wolno ci się zapomnieć. Musisz być czujny. Zobaczysz coś — nie podchodź, choćby wyglądało nie wiem jak niewinnie i niegroźnie. Przewiduj najgorsze i z góry planuj swoje kroki.

83

53

— Weź choćby tego węża — powiedział stary.

Stali u wodopoju. Właściwie była to niewielka sadzawka między skałami, ale jaszczurki z niej piły; woda była czysta. Zarządzono postój i żołnierze, grupa po grupie, podchodzili napełnić manierki i napić konie.

Prentice obejrzał się. Niecałe trzy metry od niego, pod skalną półką, leżał nieruchomo grzechotnik.

— Zauważyłem go, jak tylko tu przyszliśmy — ciągnął stary. — Czekałem na twoją reakcję. Nie możesz liczyć na żadne ostrzeżenie. Musisz się zmusić do stałej czujności.

Chłopiec odsunął się od sadzawki i wyciągnął pistolet.

— A to po co? — rzekł stary. — Co on ci wadzi? Jeśli Yilla jest gdzieś w pobliżu, a nie zauważył wiszącej nad nami chmury Kurzu, to na pewno usłyszy strzał. Myśl. Nie rób nic, póki nie zastanowisz się nad skutkami.

Prentice popatrzył na starego i opuścił rękę. Czuł się trochę głupio.

54

W rzeczywistości Yilli w pobliżu nie było.

Prawdziwe nazwisko tego człowieka brzmiało Arango; Doroteo Arango. Urodził się w 1878 roku w stanie Durango, na południe od Chihuahua. W trakcie swej kariery spędził jednak dość czasu w Chihuahua, by znać go równie dobrze jak miejsce swego urodzenia. Zważywszy przewagę, jaką miał nad ścigającymi, ekspedycja Pershinga miałaby kłopoty z wytropieniem go nawet na terytorium neutralnym. Co dopiero, gdy znajdował się u siebie. Warto też pamiętać, iż miał blisko dwudziestoletnią praktykę w ukrywaniu się.

W 1895 roku młody Arango, jego owdowiała matka oraz jego rodzeństwo pracowali w majątku pewnego bogatego rodaka. Doroteo spiknął się z bandą miejscowych złodziei bydlą i zamieszany w napad rabunkowy, kilka miesięcy spędził w więzieniu. Uwolniono go dzięki osobistemu wstawiennictwu i życzliwości jego pryncypała. Niebawem, mszcząc się za wyrządzoną siostrze zniewagę, zabił syna swego dobroczyńcy i zdając sobie sprawę, że w obliczu prawa bogaty zawsze ma rację — czym prędzej uszedł w góry.

Miał wówczas siedemnaście lat. Prawdopodobnie chcąc oszczędzić represji swojej rodzinie, zmienił nazwisko na Francisco Yilla. Znany

84

był jako Pancho, co stanowi pospolite zdrobnienie imienia Francisco. Mając przyjaciół w środowisku przestępczym nie musiał się długo zastanawiać. W pierwszym napotkanym miasteczku ukradł sprzed knajpy konia i przyłączył się do gangu złodziei, operującego w Durango i Chihuahua. Możliwe, że przez pewien czas pracował jako najemny robotnik rolny w Nowym Meksyku, Arizonie i Kalifornii. Krążą plotki, jakoby w czasie wojny amerykańsko-hiszpańskiej zaciągnął się do ochotniczych oddziałów kawalerii. Głównie jednak przestawał z bandytami, zyskując sobie sławę kogoś w rodzaju Robin Hooda. Kradł bydło bogatym rancherom, część zostawiał sobie, część sprzedawał, a resztę rozdawał co biedniejszym chłopom. Ostatecznie winą za swój los, los człowieka wyjętego spod prawa, obarczał przede wszystkim meksykańskich panów i najwyraźniej bawiło go życie na ich koszt, tudzież możliwość zmniejszenia nierówności klasowych.

Wszystko to działo się w okresie trzydziestoletniej dyktatury Porfiria Diaza. W 1910 roku wybuchła rewolucja i Yilla dostrzegł szansę przedzierzgnięcia się z bandyty w partyzanta. Robił to samo co przedtem, tyle że teraz walczył o słuszną sprawę. Był już przywódcą własnej bandy i najprawdopodobniej miał dość duży autorytet. Raz nosił wąsy, raz nie; niewysoki, lecz mocno zbudowany, ciemnooki, o okrągłej twarzy, miał wygląd człowieka wyrastającego ponad przeciętność. Zachował się jego opis: „mocny, atletyczny mężczyzna

o potężnej piersi rozsadzającej delikatną, jedwabną koszulę, która odsłaniała w rozpięciu grubą, byczą szyję". Czekali nań żony w co drugim miasteczku Meksyku, gdziekolwiek się ruszył, zdobywał sobie przyjaciół. Urzekał ludzi sposobem, w jaki dosiadał konia; bo też

I nieprzeciętne wybierał sobie konie: największe, najsilniejsze, najbardziej imponujące, jakie mógł znaleźć.

Nic dziwnego, że człowiek obdarzony tak licznymi talentami, przystąpiwszy do rewolucji, z herszta piętnastoosobowej bandy szybko stał się dowódcą liczącej blisko czterdzieści tysięcy ludzi armii. Jego doświadczenie w planowaniu napadów rabunkowych z uwzględnieniem konieczności ucieczki po przeprowadzeniu akcji idealnie odpowiadało wymogom taktyki wojny podjazdowej. Ulubiony manewr generała Yilli, niespodziewane natarcie pod osłoną nocy, był owocem jego złodziejskiej praktyki. Gdyby nie niechęć do sprawowania władzy urzędowej, Yilla mógł zostać głową państwa. Niestety, przegapił swoją szansę. Ubiegł go Carranza, a on, okrzyknięty zdrajcą i odszczepieńcem i nękanym przez wojska Carranzy, zaczął przegrywać. Stracił poparcie Amerykanów, stracił też możliwość uzupełniania zapasów. Jego oddział stopniał do czterystu ludzi. W 1916 roku wiedziony nienawiścią do

85

gringos oraz brakiem żywności, amunicji, koni i sprzętu — znalazł się w Columbus.

Po dokonaniu wypadu zmniejszona niemal o połowę banda Yilli skierowała się na południe. Dokładnie tego spodziewali się Amerykanie. Zamiast jednak najechać Colonia Dublan i osiadłych tam mormonów — których ochrona była jednym z celów ekspedycji Pershinga — bandyci podążyli w głąb Meksyku, ku górcom.

SONORA.

Zatrzymali się w podgórskim miasteczku El Yalle, gdzie wzięto rekruta. „Wzięto” — dosłownie. Kilku mężczyzn z własnej woli przyłączyło się do oddziału. Innych Yilla próbował porwać swoją wymową. Przemawiał do nich stojąc na tyle wozu: otoczony swoimi konnymi miotał się i gestykulował z ogniem w oczach. Wieśniacy gapili się pod nogi albo spoglądali na niego z pobladytymi twarzami. Niektórzy tylko kręcili głowami. Jeden z obecnych tam młodych ludzi opisał później całe to wydarzenie. Stwierdził, że kiedy odmówili, Yilla ustawił ich w szeregu, starych zwolnił, a resztę, nie zważając na płacz kobiet i dzieci, rozkazał zabrać pod strażą.

Z El Yalle, idąc wciąż na południe, dotarli do Namiąuipa, gdzie stoczyli zwycięską potyczkę z oddziałem Carranzy. Było to osiemnastego marca. Tego samego dnia grupa Pershinga przybyła do oddalonej o sto dziesięć kilometrów na pomoc Colonia Dublan. Także później —

86

z nielicznymi wyjątkami — Yilla utrzymywał podobny dystans. Wkraczający do kolejnego miasteczka Amerykanie dowiadawali się, że był tam, ale dawno odjechał.

Z Namiąuipa droga wiodła do Rubio, jeszcze dalej na południe. Tam nastąpiło przegrupowanie i oddział udał się na zachód, aby wyprzeć wojska Carranzy z miejscowości Guerrero. Akcja zakończyła się sukcesem. Atakując jak zwykle w nocy, Yilla zajął uśpiony i nie strzeżony garnizon bez jednego wystrzału. Inaczej było z oddziałem stacjonującym w leżącym nieopodal San Isidro. Dla

zabezpieczenia swojej flanki Yilla wysłał tam część bandy z zadaniem zlikwidowania również tego posterunku. Jego ludzie napotkali jednak tak silny opór, że zmuszeni byli ratować się ucieczką; żołnierze Carranzy wjechali w pościgu na ich karkach do Guerrero, gdzie odbyła się walna bitwa.

I tu karta się odwróciła. Właściwie to sam Yilla skomplikował nieświadomie swoją sytuację, porywając mężczyzn w El Yalle. Zmuszony użyć całych swych sił, kazał teraz'uzbroić wieśniaków i kiedy wyjechał na czoło, aby poprowadzić atak, ci otworzyli ogień i zranili go. Najwyraźniej sądzili, że w zamęcie walki nikt nie zauważy, skąd padł strzał. Na ich nieszczęście, dokładnie w chwili gdy zaczęli strzelać, przeciwny oddział wycofał się, toteż nie było wątpliwości, czyja kula trafiła generała. Do tego rana zadana została w nogę, od tyłu, co nie pozostawiało miejsca na żadne wykręty. Żołnierze Yilli wsiedli na wieśniaków; ci rzucali broń, podnosili ręce i kręcąc głowami mamrotali, że nie mają pojęcia, jak to się stało. Niewiele brakowało, a zostaliby rozstrzelani.

Yilla cierpiał okropne bóle, wił się na ziemi, noga mocno krwawiła. Niebawem wszyscy towarzysze zgromadzili się wokół niego i to wieśniaków uratowało. Wyglądało na to, że dowódcę trafił pocisk kalibru 0,44 cala. Takie kule przy wlocie robią otwór na grubość palca, przy wylocie jednak powstaje dziura wielkości pięści. W tym wypadku kula przeszła od tyłu kolana do goleni i roztrzaskała kość tak, że jeszcze kilka dni później wydobywano z rany jej odpryski. Po założeniu opatrunku nogę wzięto w łubki, Yilla złożony został na wóz i pod silną eskortą powieziony do bezpiecznej kryjówki. Było wczesne popołudnie dwudziestego drugiego marca. Z rannym odjechało prawdopodobnie stu pięćdziesięciu ludzi. Pozostali, w liczbie około stu, zostali na miejscu. Dla osłony i odpoczynku. Osiem godzin później, otrzymawszy wiadomość, że Yilla może być w Guerrero, 7 pułk kawalerii pomaszerował tam nocą i nagłym atakiem zajął miasteczko, zabijając pięćdziesięciu sześciu i raniąc trzydziestu pięciu Meksykanów. Tak więc, gdyby Yilla nie nakazał przeprowadzenia w El Yalle

87

swoiście rozumianej rekrutacji, narażając się tym na zemstę wieśniaków, amerykańska wyprawa do Meksyku mogła zakończyć się w Guerrero, dwa tygodnie od jej rozpoczęcia, zamiast ciągnąć się jeszcze prawie rok.

55

Wóz z hałasem toczył się pod górę. Podskakiwał na kamieniach i rozpadlinach, a wtedy z ust rannego wyrwały się okrzyki bólu. Woźnica wyteżał wzrok, by mimo zacinającego śniegiem wiatru nie tracić z oczu grupy idących przed wozem mężczyzn, którzy pracownicy usuwali kamienie, wyszukując najlepszej drogi dla zaprzęgu. W powietrzu unosiła się siwa, lodowata mgła, niebo pociemniało. Człowiek obudzony w tej chwili myślałby, że to zmierzch, a tymczasem niedawno minęło południe.

Po prawej stronie woźnica miał wznoszącą się na kilkaset metrów kamienną ścianę. Po lewej teren opadał gwałtownie — droga biegła skrajem przepaści. Yilla znów krzyknął. Woźnica rzucił okiem do tyłu, na okutaną w koce, jęczącą, zwiniętą z zimna i bólu postać; spojrzął na pobladłą twarz generała.

Droga stopniowo stawała się coraz węższa. Dowodzący grupą oficer rozkazał zatrzymać wóz.

Woźnica ściągnął lejce, krzyząc jednocześnie do tych w przedzie, by uspokoili konie. Oficer wspiął się na wóz i wezwał ludzi z noszami. Sam dźwignął Villę i jął go ostrożnie opuszczać w ich wyciągnięte ręce.

Któryś z noszowych pośliznął się i ranny opadł gwałtownie, głośno jęcząc. Pozostali rzucili się podtrzymywać; podniósł się krzyk, ludzie potykali się, przewracali. Koce rozwinęły się, odsłaniając ranę. Nogawka spodni rozcięta była aż do biodra. Strzaskana goleń, obłożona czterema grubymi szynami, obwinięta była pasami płótna, teraz splamionego ciemną, zepsutą krwią. Spuchnięta stopa szerniała pod wpływem zachodzących pod skórą zmian.

Rozległ się wrzask bólu. Oficer wykrzykiwał coraz to nowe rozkazy, ludzie przy noszach przekrzykiwali się; poruszając się niezdarnie, narażali na wstrząsy uszkodzoną nogę. Na powrót owinęli rannego kocami; odwracali twarze czując smród z rany. Yilla spoczął na noszach. Ludzie zarzucili sobie żerdzie na ramiona — po ośmiu z każdej strony noszy — oficer spojrzął na woźnicę i kazał mu ruszać. Zmagając się z wichrem i śniegiem, pochód ruszył w dalszą drogę.

Szlak był coraz węższy. Wysokość — trzy tysiące metrów. Konie

88

chrapały głośno, woźnica otarł nos i spostrzegł, że krwawi; nie nawykł do wysokości. Dotarli do zakrętu. Dalej zaczynał się stromy podjazd. Lewe tylne koło ześliznęło się i wóz jął powoli osuwać się w przepaść. Woźnica szarpał się z lejcami, próbując zatrzymać konie, ale wóz stanął dęba i dyszel wystrzelił do góry; woźnica skoczył. Wóz przewrócił się i zniknął za krawędzią urwiska. Trzasnęły orczyki i nagle uwolnione konie popędziły na oślep, roztrącając idących przodem żołnierzy. Zakotłowało się. Niewiele brakowało, by ludzie niosący Yillę znów upuścili nosze.

56

Prentice usłyszał hałas i obejrzał się. Z wąwozu gramolił się z wrzaskiem żołnierz w spuszczonech do kolan spodniach. Trzymając się za rękę rzucił się ku najbliższej grupie kolegów — ganiał w kółko, potykał się i z wytrzeszczonymi oczami, i bladą twarzą nie przestawał krzyczeć.

Wszyscy zamarli; stali gapiąc się, a on biegał i krzyczał.

Zbliżało się południe. Przystanęli, by dać wytchnąć koniom, nakarmić je i napoić. Żołnierz widocznie poszedł do wąwozu załatwić się i tam musiało stać się coś, co doprowadziło go do takiego stanu. Kręcił się teraz w miejscu, kurczowo ściskając przedramię prawej ręki, i darł się. Podbiegli do niego.

— Co jest? Co się stało? — zapytał Calendar. Nagle pojawił się między nimi i pochwycił krzyczącego.

— To świństwo mnie ukąsiło!

— Jakie świństwo? Mów, co się stało.

— Ludzie, umieram!

Wyrwał się i zaczął uciekać. Calendar podstawił mu nogę i żołnierz zwałił się na ziemię, błyskając pośladkami. Czołgał się w kurzu, nie próbując nawet osłonić wstydliwych miejsc.

— Pytałem, co to było. Gadaj.

— Skorpion!

— Jaki skorpion?

Żołnierz miotał się z wykrzywioną bólem twarzą.

— Co to za różnica? Ludzie...

— Pokaż rękę.

Wielkie dłonie starego bez trudu rozerwały uchwyt, jakim tamten ścisnął ukąszoną rękę.

Prentice podszedł bliżej. Od nadgarstka do łokcia ręka była

89

spuchnięta do podwójnej grubości. Środek przedramienia płonął ostrą czerwienią.

Chłopiec poczuł chłód w żołądku. Ktoś westchnął.

— W porządku. Nic ci nie będzie — oznajmił stary.

— Na pewno umrę. — Żołnierz zamrugnął żałośnie.

— Nie umrzesz. Owszem, będziesz musiał swoje odchorować, ale to cię nie zabije. Miałeś szczęście. Coś tam robił? Polazłeś na dół, żeby się wysrać i pewnie nie patrzyłeś, gdzie kucasz. Wtedy cię ukąsił.

Żołnierz tłukł pięścią o ziemię, potakiwał gorączkowo, jęczał.

— No tak. Mógł cię dziabnąć w dupę albo w jaja. Wtedy dopiero miałbyś kłopot. Albo w rękę od strony, gdzie idą żyły. Najgorsza ta opuchlizna...

Pokąsany nie mógł się uspokoić. Rzucał głową, krzywił się, pojękiwał.

— Są dwa rodzaje skorpionów. Jedne w kolorze słomy, podłużne. Ich trucizna rozchodzi się po ciele i zabija. Inne są większe, grubsze, prawie brązowe; ich jad działa miejscowo i wywołuje opuchliznę. Trafiałeś na tego drugiego. Gdyby ręka ci zdrętwiała, nie bolała i nie spuchła, wtedy rzeczywiście miałbyś powód do zmartwienia. Niech ktoś przyniesie moje juki.

Żołnierz wciąż jęczał, ale stary nie zwracał na to uwagi. Zupełnie jakby jego wyjaśnienia nie były przeznaczone dla chorego. Odwrócił się i spojrzął na chłopca.

Prentice kiwnął głową i poszedł po juki.

57

— Co pan mu dał?

— Morfinę na uśmierzenie bólu, seconal na uspokojenie i przeciw drgawkom.

Rozmawiali stojąc obok swych koni. Szykowali się do dalszej jazdy — porządkowali uprząż, podciągali popręgi. Stary nie mógł sobie poradzić z naprężeniem i dopięciem puśliska — jedną rękę miał wciąż niesprawną — i po kilku nieudanych próbach musiał poprosić chłopca o pomoc.

— Ta opaska, którą ci dałem, żebyś mu założył, powinna wystarczyć — powiedział, gdy tymczasem chłopiec uporał się z rzemieniami i zrzucił strzemiona z siodła. — Niby trucizna działa miejscowo, ale lepiej nie dopuścić, aby rozeszła się dalej niż to konieczne. Gdybyśmy byli blisko miasta, zdobyłoby się trochę lodu i obłożyło nim ukąszone miejsce, żeby zmniejszyć opuchliznę. Te mokre bandaże, którymi

90

owijałeś snu rękę, mają służyć temu celowi. Oczywiście lód byłby lepszy. — Z lejcami w ręku stał obok swojego konia i mówiąc przyglądał się chłopcu. — Myślę, że fakty mówią same za siebie. Widziałeś, co się działo. Teraz chyba nie pozwolisz, by ciebie spotkało coś podobnego. A jeśli skorpion ugryzie kogoś innego, nie będziesz musiał zastanawiać się, co robić. Powinieneś wozić ze sobą podręczną apteczkę, taką jak moja: nadmanganian potasu, morfina, i tak dalej. No i musisz się jeszcze sporo nauczyć. To tak jak z ludźmi. Nie warto się z kimś zadawać, dopóki nie poznasz go równie dobrze jak siebie, dopóki wszystkiego się o nim nie dowiesz. Z innymi rzeczami jest tak samo. Najważniejsze, to zdobyć doświadczenie. Musisz stać się zawodowcem. A jedyny sposób, żeby się tego wszystkiego nauczyć, to patrzeć i starać się zapamiętać.

I jeszcze coś. Coś, co nie jest już tak oczywiste. Nie fakty, zdarzenia, ale twoja reakcja na nie. To dlatego mówiłem tyle o nastawieniu. Weź choćby tego głupka. Wyskakuje z wąwozu, lata jak wściekły, drze się, traci siły. Samo ukąszenie by go nie zabiło, ale szok i panika, owszem. Znałem pewnego gościa, było to w Wyoming, w górach, wędrowaliśmy razem. Przechodził przez zwalone drzewo, spojrzął pod nogi, zorientował się, że nadepnął zwiniętego grzechotnika i padł trapem na miejscu. Okazało się, że wąż był martwy, ale nad facetem górę wzięły jego emocje. Trzeba się kontrolować. Więc jeśli ugryzie cię skorpion, to co lepiej, ganiać w kółko i wrzeszczeć, czy spróbować zastanowić się, co w tej sytuacji należy zrobić? Oto sedno sprawy. Spotka cię wiele

rzeczy, na które nie będziesz miał wpływu, ale gdy już do tego dojdzie, od ciebie będzie zależało, jak na nie zareagujesz. Nigdy nie rób nic bez powodu. Zbadaj fakty, a potem zastanów się, co z nimi począć. To pierwsze jest nic nie warte bez drugiego. Poprzestaniesz na jednym i jesteś trupem.

Stary mówił, a tymczasem oddział zjeżdżał się na zbiórkę. Sierżant krążył między ludźmi, naglił, żeby dosiadali koni. W pewnym momencie stary uniósł dłoń, nie pozwalając sobie przerywać. Mówił pospiesznie, jakby wiedziony jakimś neodpartym impulsem, jakby potrzeba dokończenia kwestii była czymś niezależnym od jego woli. Teraz zamilkł, odwrócił się gwałtownie, zdrową ręką złapał uchwyt przy siodle, wetknął stopę w strzemień i już siedział na koniu. Spojrzał z góry na chłopca.

— Dzięki za pomoc przy siodle — rzucił i odjechał w stronę czoła kolumny.

Prentice patrzył za nim przez chwilę, nim zorientował się, że jako jedyny nie siedzi jeszcze na koniu i nie znajduje się w szyku. Cały

91

oddział gapił się na niego, wszyscy gotowi do wymarszu. Wskoczył na siodło i pognął do szeregu.

— Niech mnie diabli! — rzekł sierżant, który dotąd cierpliwie czekał na chłopca. — Nigdy nie widziałem, żeby z kimkolwiek tak długo rozmawiał.

58

Sunęli dnem wciśniętego między dwa urwiste zbocza jaru. Wiele lat później przypomni sobie ten jar, kiedy ścigany przez meksykańską kawalerię federalną oddział z Columbus, przedzierać się będzie do tej piaszczystej, nieckowatej kotliny. Prawdę mówiąc, wypadając z wąwozu w gromadzie gnających w panice żołnierzy i słuchając świstu kul, niemal był pewien, że zobaczy przed sobą przecinającą kwitnącą dolinę rzekę; wyspę na rzece. Lecz oczywiście nie było tam żadnej rzeki ani kwitnącej doliny, tylko piaszczysta niecka, którą przemierzali w popłochu. I jeśli nawet miał przez chwilę wrażenie, że już tu kiedyś był i że to wszystko kiedyś już się zdarzyło — minęło równie szybko jak się zjawilo, a wydarzenia przybrały całkiem inny obrót. Tamto działo się jednak w innym czasie i w innej krainie. Rzeką była Arikaree w dzisiejszym wschodnim Colorado, skrawek lądu pośrodku jej nurtu wkrótce miał być znany jako Wyspa Beechera, a rok był 1868.

Było ich pięćdziesięciu. Znajdowali się dziesięć dni drogi od swojej bazy w Fort Wallace, w Kansas. Tropili Indian, forsownym marszem przemierzając wrogie terytorium. Byli bez taborów i ciężkiego sprzętu. Indianie, Siuksowie, Cheyennowie i Arapaho, mieli już dość widoku grabiących ich ziemie białych; oto nadszedł dla nich czas odwetu. Napadali na karawany osadników, na miasteczka, stacje dylżansów i farmy. Uderzali całą siłą i natychmiast uciekali; dzielili się na coraz mniejsze grupki, rozpływali na prerii i ściganie ich stawało się niemożliwością. W trzy lata po wojnie domowej tego rodzaju taktyka była dla wojska czymś obcym. Żołnierzy szkolono do prowadzenia operacji taktycznych na dużą skalę, do działań kompleksowych. Zamknięci w fortach czekali więc na informacje o kolejnym napadzie Indian i dopiero wtedy szykowali się do wyprawy. Nieruchawe, obciążone taborami duże zespoły operacyjne poruszały się tak wolno, że nikt nie miał nadziei na doścignięcie wroga.

Oddział, o którym mowa, stanowił część tak zwanej Dywizji Missouri, dowodzonej przez Sheridana, który podlegał bezpośrednio Shermanowi. Obaj byli generałami Unii z okresu wojny domowej

92

i obaj zasłynęli okrucieństwami akcji pacyfikacyjnych — pierwszy w dolinie Shenandoah w Wirginii, drugi podczas marszu przez Georgię. Jednak z zastosowaniem podobnej taktyki wobec Indian zwlekali dość długo. Kiedy ich napaści na białych nasiliły się i konwencjonalna strategia okazała się wobec nich nieskuteczna, zdecydowano, że nie ma co czekać na uderzenie przeciwnika, lecz trzeba atakować samemu. Zorganizowano niewielkie, liczące po pięćdziesięciu ludzi oddziały kawalerii, bez ciężkiej broni, i wysłano w pole z poleceniem wytopienia Indian i zmuszenia do otwartej walki. Szesnastego września 1868 taki właśnie oddział wykonywał swoje zadanie.

Oznaki obecności Indian spotykali już od kilku dni. Początkowo z rzadka; jakiś przypadkowy trop, kupka łajna, wypalone ognisko. Potem zrobiło się tych śladów więcej; były świeższe, rozrzucone na większej przestrzeni, wyraźniejsze. Do pierwszej grupy Indian dołączyły inne. Tego dnia po południu nie musieli już nawet patrzeć na ziemię, by kontynuować pościg. Trawa przed nimi była zdeptana w prawo i w lewo na prawie sto metrów. Zwiadowcy uważali, że musiało przejść tędy kilka wiosek.

Dowódcą oddziału był major George A. Forsyth. U Sheridana, w wojsku Unii, dosłużył się szlifów generała brygady. Po wojnie, w związku z reorganizacją armii i zmniejszeniem jej stanu osobowego, obniżono mu stopień do majora. Zdawał sobie sprawę, że aby myśleć

o awansie, musi wyróżnić się w akcji, toteż gnał swoich ludzi bez litości. Któryś ze zwiadowców, zaniepokojony nieprawdopodobnie wielką liczbą ściganych Indian ośmielił się sugerować odwrót.

— Zaciągnęliście się, żeby walczyć z Indianami, czy nie? — odwarknął tylko Forsyth i kazał przyspieszyć kroku. Nie był jednak głupcem czy zarozumialcem w rodzaju Custer. Znał swoją robotę.

1 gdy dotarli do wrót wąwozu, wysłał przodem zwiadowców, aby zbadali drogę. Przejazd przez wąwóz nie był dla żołnierzy miłym przeżyciem; czuli się zagrożeni, dopóki nie wydostali się na otwartą przestrzeń. Środkiem porośniętej stepową trawą, dość rozległej doliny biegły ślady Indian. Major odebrał meldunki zwiadowców i spojrzawszy na zachodzące słońce zarządził postój. Biwakowali na brzegu rzeki.

Calendar zawsze doszukiwał się ironii w fakcie, że człowiekiem, któremu zawdzięczał znalezienie się tego dnia nad Arikaree, był jego niegdysiejszy dowódca, generał Sherman. Po Savannah Miles został w armii Shermana. Nie dlatego zresztą, by znaleźć ludzi, którzy wymordowali jego rodzinę, choć i tego miał nadzieję dokonać, lecz z przyczyn czysto praktycznych. Południe przegrało wojnę. Nie było co do tego wątpliwości. Wyczyny Shermana w Georgii i Sheridana

93

w Wirginii uświadomiły wszystkim, że w przypadku przedłużającego się oporu, Północ nie poprzestanie na zwycięstwie militarnym, ale zetrze stany Konfederacji z powierzchni ziemi. Już teraz

konfederatom została tylko Wirginia i Karolina. Do Karoliny od południa zbliżał się Sherman. Grant i Sheridan natomiast osaczyli generała Lee w Wirginii. Ostatnim miejscem, gdzie chciałby się teraz znaleźć uciekający przed samotnością chłopiec z Południa, była konfederacka armia. Zwłaszcza chłopiec przywiązany do swego domu i rodziny, nie do idei Południa. Zresztą jego rodzice nie posiadali niewolników. I gdyby zwycięzcy tej wojny zostawili jego i jego rodzinę w spokoju, byłoby mu wszystko jedno, kto wygra.

Związawszy się z Jankesami, grając rolę biednej sierotki, wykorzystywał ich poczucie winy. Nie ujawnił jednak okoliczności śmierci rodziny obawiając się, że mogłoby to się skończyć utratą ich zaufania. Trzymał się przede wszystkim Ryersona; chodził za nim wszędzie, nie odstępował go na krok. Działo się tak po części dlatego, że nikt nie darzył chłopaka taką sympatią jak ten oficer, po części zaś za sprawą zawartej między nimi szczególnego rodzaju umowy. Ryerson wyznał kiedyś, że i on czuje się niezmiernie samotny i wystąpił z godziwą — jak to określił — propozycją. Zaopiekuje się chłopcem, on zaś będzie mu czyścił ekwipunek, biegał na posyłki, słowem będzie służyć jako ktoś w rodzaju ordynansa. Jednemu układ taki gwarantował wygodę, drugiemu przetrwanie; i jakoś się sprawdził. W tym okresie bardzo się do siebie zbliżyli. Major pomógł chłopakowi pozbyć się południowego akcentu, przynosił mu książki, uczył prawidłowego wysławiania się. Dla przykładu: zwrot „godziwa propozycja” pochodził ze słownika Ryersona, ale Calendar szybko go sobie przyswoił, razem z wieloma podobnymi. (Taki był rodowód owej szczególnej mieszanki slangu i języka literackiego, jaką Calendar posługiwał się rozmawiając z Prentice'em).

Chłopak garnał się do nauki i ochoczo poddawał się wpływowi swego mentora. Ryerson szczerze go polubił. Nim nastąpiła wiosna, chłopak wrósł w nowe środowisko. Co więcej, zaczął mówić i zachowywać się jak ktoś pochodzący z Pomocy. Żołnierze zapomnieli już, z jakiego powodu znaleźli się w ich obozie. Jego obecność nie wywoływała żadnych konfliktów.

Potem był dziewiąty kwietnia, Niedziela Palmowa. Lee skapitulował. Wojna była skończona. Przez kilka miesięcy nic się nie działo i armia żyła własnym życiem. Później zaczęła się rozpadać.

— Idziemy do domu! — wołali żołnierze.

Tylko że Miles nie miał domu, do którego mógłby wrócić.

Zastanawiał się, czy nie wrócić do Georgii i nie upomnieć się o swoją ziemię. Nie wiedział jednak, jak miałby ją sam uprawiać, jak w ogóle nie dopuścić do jej utraty. Pojawiły się już pogłoski o bezwzględności jankeskich poborców podatkowych i o spekulantach z Pomocy, wszelkimi możliwymi sposobami wydzierających ludziom ich majątki. Ponadto, mimo że wojna się skończyła, wiedział, jak przywitają go w Georgii sąsiedzi, którzy przeżyli marsz Shermana, kiedy dowiedzą się, że przyłączył się do najeźdźczej armii. Mogłby próbować zataić gdzie spędził ostatnie pół roku, ale wiedział, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Miał czternaście lat i żadnych widoków na przyszłość. Nie miał co z sobą począć.

Nie przestawał obserwować Ryersona, kiedy ten stopniowo, dzień po dniu, szykował się do odejścia. Załatwiał formalności, doglądał zwalniania swoich ludzi. Wreszcie oddział na dobre przestał istnieć. Tych, którzy zostali, przydzielono do innych jednostek. Zresztą nie było ich zbyt wielu. Pewnego dnia Ryerson wyszedł z namiotu i nie miał już na sobie munduru. Był w koszuli w

czerwoną kratę i w spodniach jeszcze sprzed wojny. Zachował oficerski pas i rewolwer. Kaburę trzymał zapiętą. Oficerskie buty, połowy kapelusz i szelki dopełniały stroju. Na ramieniu kołysały mu się torby od juków. Pod pachą niósł szablę i karabin. Skinął na Milesa, a ten czując nagłą pustkę w żołądku przyglądał się, jak zmierza w stronę swojego konia, którego wcześniej kazał mu osiodłać. Mężczyzna wspiał się na siodło i spojrzał nań z góry.

— A więc dokąd się teraz wybierasz? — spytał, wsuwając karabin do olstra. Obok niego wcisnął szablę.

— Jeszcze nie wiem. — Chłopak wzruszył ramionami. Postanowił nie dać po sobie poznać, jak bardzo czuje się zawiedziony jego odejściem.

— Mógłbyś pojechać ze mną. — Ryerson powiedział to tak lekko, że chłopak nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Serce jednak zabiło mu żywiej, a do żołądka napłynęła fala gorąca. Z całych sił starał się panować nad sobą. Jeszcze raz wzruszył ramionami.

— Znaczy, dokąd?

— Sam jeszcze nie wiem. Może na zachód. Jedno jest pewne — tu nikt nie zostaje.

— Myślałem, że ma pan rodzinę w Nowym Jorku.

— Bo i mam. — Mężczyzna przyglądał mu się, kołysząc się z lekka w siodle. — Ale myślę, że dadzą sobie radę beze mnie. Zresztą, to nie żona czy coś takiego. Tylko siostra i jej dzieciaki. Straciła na wojnie męża i nawet zastanawiałem się, czyby nie wrócić i nie pomóc jej, ale zrobiłem już tyle dla innych, że chyba czas pomyśleć o sobie. Cóż więc powiesz?

94

95

— Właśnie się zastanawiam.

— Dobrze, tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, bo cię zostawię.

— Jak daleko na zachód?

— Widziałeś kiedyś Missisipi? Chłopiec pokręcił głową.

— My pojedziemy jeszcze dalej. Pomyślałem, że warto by zwiedzić kawałek kraju. No, co? W czym problem?

— Dlaczego wcześniej mnie pan nie spytał?

— Nie byłem pewien, czy chcę, żebyś ze mną jechał. Teraz jestem. Miles podniósł głowę i patrząc na twarz mężczyzny zastanawiał się

nad tym, co usłyszał.

— Nie mam konia.

— Dostaniesz konia.

— Potrzebne mi inne ubranie i może strzelba.

— Dostaniesz. »

— Dlaczego?

— Gdybym wiedział dlaczego, to najpierw musiałbym wiedzieć, dlaczego tyle tu z tobą gadam. Jedziesz czy nie?

— Jadę.

— No, to w porządku. — Ryerson wyciągnął do chłopca otwartą dłoń.

Początkowo chłopak nie wiedział, co ten gest ma oznaczać. Potem zrozumiał i uściśnął dłoń mężczyzny. Serce waliło mu jak szalone i choć starał się zachować kamienną twarz, nagle poczuł, że się uśmiecha. Radosny grymas wykrzywił mu usta, coś zapiekło go pod powiekami. Ryerson odwzajemnił uśmiech. Chłopak zamrugał, oczy zaszyły mu mgłą; na policzkach czuł wilgoć, a w ustach słony smak. Nie mógł złapać tchu; w gardle coś go ścisnęło. Czuł jak wielka dłoń mężczyzny delikatnie obejmuje jego dłoń i po raz pierwszy od czasu, kiedy zginęli jego rodzice — rozplakał się. Patrzył w górę, na wznoszącą się nad nim sylwetkę oficera i uśmiechając się przez łzy, szlochał cicho.

Rzeczywiście zwiedzili ładny szmat kraju. Z Karoliny podążyli przez Tennessee i Kentucky w kierunku Missouri i St. Louis. Przeprawili się przez Missisipi. Chłopak był trochę zawiedziony. Nie była tak szeroka i rwąca, jak czytał o tym w książkach. Podobno stawała się taka bardziej na południe. Dlatego zresztą obrali tę trasę, zamiast skierować się prosto na zachód. Dlatego, a także po to, by — na ile to możliwe — uniknąć miejsc, gdzie wojna pozostawiła swe ślady. Oba powody były równie ważne. Początkowo widywali spalone farmy i stratowane pola; żołnierze, już w cywilnych ubraniach, ciągnęli drogami. Czasami, gdy Jankesi i Południowcy spotykali się, dochodziło

96

do bójek. Z reguły jednak obrzucali się tylko wrogimi spojrzeniami, klęli i prostując się, prężyli pierś i szli swoją drogą.

Unikali miast. Obozowali w lasach, polowali, czasem przepracowali parę dni za jedzenie czy odzież. Wszystkim brakowało pieniędzy. W miarę jak oddalali się od obszarów objętych działaniami wojennymi, coraz rzadziej zdarzały się napięte sytuacje. Ten i ów z napotkanych na drodze wędrowców witał ich uśmiechem. Farmerzy odkładali robotę, zapraszali na pogawędkę. Ludzie żyli tu zwykłymi, codziennymi sprawami. Mimo to trudno było zapomnieć o wojnie; nie uwolnili się od niej aż do przybycia do St. Louis. To ważne przemysłowo-handlowe centrum Unii przetrwało wojnę

bez żadnych szkód; rozwinęło się nawet, stanowiąc obecnie bramę na zachód. Rosły nowe domy, na ulicach było gwarno i rojno. Zawitali tam późną jesienią, pora robiła się chłodna; przezimowali pracując na budowie. Wiosną, najawszy się jako myśliwi do karawany osadników, ruszyli w dalszą drogę. W tej roli czuli się najlepiej. To było coś, na czym chłopiec znał się naprawdę dobrze — polowanie i konie. Strzelali bizona, króliki, jelenie, co tylko nawinęło się pod lufę, choć, prawdę mówiąc, nie był to sezon na dziczyznę. Tak zesła im podróż do Colorado. Stamtąd powędrowali na północ i przez rok jeździli na szlakach przegonów bydła w Wyoming. Potem zaciągnęli się do kawalerii. Odbyło się to całkiem prosto. Ryerson potwierdził, gdy chłopak zełgał pytany o wiek. Miał teraz szesnaście lat, ale wyglądał na dwadzieścia. Nikt im nie robił trudności.

I tak oto trafili do doliny we wschodnim Colorado, gdzie ich szwadron zatrzymał się na nocleg. Za rzeką rozciągała się porośnięta wysoką, bujną trawą równina. W oddali widniały łagodnie pofałdowane zbocza wzgórz. Wielkie, gasnące na zachodzie słońce barwiło wszystko krwawą łuną. O tej porze roku łożysko rzeki, szerokie na jakieś dwieście metrów, tylko w połowie wypełniała woda. Przy brzegu jaśniały szerokie ławice piasku. Pośrodku nurt rozdwojał się, przedzielony niewielką, podłużną wysepką, zarośniętą kolczastymi krzewami, karłowatą topolą i wierzbą. Za plecami mieli drugi łańcuch wzniesień, przecięty wąwozem, który przywiódł ich do doliny. Idąc za przykładem Ryersona chłopiec rozłożył ramiona i głęboko wciągnął w płuca chłodne, czyste powietrze. Ich oczy spotkały się; rozumieli się bez słów. Było coś niedobrego w tym miejscu.

Już wcześniej zdarzało im się doznawać podobnych wrażeń: Są takie miejsca, gdzie bez konkretnego powodu człowiekowi robi się nieswojo. Takiemu miejscu może nic nie brakować, nic złego się o nim nie słyszało, a jednak nie można pozbyć się niejasnego, przykrego wrażenia, że najlepiej byłoby je opuścić. Próbując to zrozumieć,

7 — (Matnia tarza

97

myśleli o tym, z jaką siłą mogą się odpychać bieguny dwu magnesów. Są miejsca, gdzie człowiek od razu czuje się jak w domu. Gdzie indziej — nie, więc odchodzi. Zdawali sobie sprawę, że za takim zachowaniem kryje się przesadna ostrożność, ale na szlaku ostrożność jest cnotą, a oni zawsze starali się nią kierować.

Tu czuli to samo. Niby wszystko było w porządku. Powinno im się tu podobać. Właściwie można by to miejsce nazwać uroczym. Owszem, brakowało jakiejś osłony, ale nieraz obozowali w otwartym polu. Niedaleko byli Indianie, ale bywało już, że nocowali w podobnym sąsiedztwie, a poza tym nic nie wskazywało na to, że ich dostrzegli. A zresztą — dokąd mieli się przenieść? Koniom potrzebna była woda. Na wzgórzach nie znajdzie się odpowiedniego miejsca. Może właśnie

o to chodziło. To miejsce było zbyt dobre: Indianie musieli pomyśleć, że jeśli ktoś ich ściga, tutaj właśnie zatrzyma się na noc. Teraz już było za późno — major podjął decyzję, słońce prawie zaszło. Musieli tu zostać.

Uważniej niż zwykle sprawdzali broń. W zagłębieniach terenu rozłożyli derki do spania; kładli się z karabinami pod ręką. Major Forsyth nie zezwolił na palenie ognia. Kazał wystawić dodatkowe

warty, a konie uwiązać blisko, niemal w zasięgu ręki śpiących żołnierzy. Major nie należał do ludzi łatwo tracących zimną krew, niemniej był ostrożny. Niektórzy z jego ludzi sprawiali jednak wrażenie zdenerwowanych. Calendar obserwował ich, układając na ziemi siodło

i derkę. Podobnie jak on i Ryerson sprawdzali karabiny, potem także rewolwery, upewniali się, czy broń jest naładowana, by odłożyć ją tuż obok siebie. Niektórzy próbowali rozmawiać, ale odpowiedzią na ich wysiłki były krótkie, roztargnione burknięcia nagabywanych. Ci, którzy najdłużej przebywali w tych stronach, wyglądali na najbardziej zaniepokojonych. Chłopak rozglądał się i nagle pochwycił wzrok Ryersona; znów zrozumieli się bez słów. Jeśli nie tylko oni czuli się tu nieswojo, to naprawdę coś było nie tak. Rozłożyli się na ziemi owinięci kocami, trzymając ręce na karabinach. Bezsenne oczy wbili w ciemność; czuwali. Odstali swoją zmianę warty, potem zdrzemnęli się. Pierwszy atak nastąpił o świcie.

Obudziły ich wrzaski i pohukiwania. Przez chwilę leżeli jeszcze, mrugając nieprzytomnie, potem gdzieś w pobliżu huknęły strzały, więc odrzuciwszy koce porwali za broń i pobiegli. Indian było ośmiu. Zjechali ze wzgórza na zachód od obozu, kierując się w stronę koni. Wartownicy otworzyli ogień. Jeden z jadących osunął się na ziemię. Inny złapał się za ramię, ale gnał dalej. Calendar i Ryerson również zaczęli strzelać, inni przyłączyli się do nich. Kolejny jeździec spadł z konia. Pozostałych sześciu zawróciło.

98

— Siodłać konie! — rozkazał major. — Do diabła, wynosimy się stąd!

Powód takiej decyzji był aż nadto widoczny. Na szczycie wzgórza, ku któremu zmierzała szóstka napastników, oraz po obu stronach rzeki, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się szeregi Indian; zbyt wielu, by ktokolwiek zdążył ich policzyć. Sześciu żołnierzy trzymało straż, reszta rzuciła się do koni, do siodłania i zapinania popręgów, kielźniania. Chwilę później także wartownicy biegli do swoich siodłał. Calendar pomyślał, iż Indianie postąpili bardzo głupio, próbując dobrać się do koni. Tylko ich ostrzegli. Podzielił się swym spostrzeżeniem z Ryersonem oczekując potwierdzenia, ale ten szybko wyprowadził go z błędu. To nie głupota. To pewność siebie. Byli tak pewni zwycięstwa, że zrezygnowali z zaskoczenia, pozwalając młodemu popisać się odwagą.

Tymczasem ruszyła kolejna grupa Indian. Szli ławą — co najmniej czwarta część zgromadzonych na wzgórzu. Tuż za nimi następna grupa, równie liczna. Wszyscy żołnierze siedzieli już w siodłach. Major kazał ruszać. Niektórzy nie czekali nawet rozkazu. Bodli konie piętami i okładali lejcamy, zmuszając je do galopu; cały oddział przy wtórze przekleństw, wrzasków, strzelaniny i wycia Indian gnał ku wzgórzom na południowym wschodzie. Nigdy dotąd, nawet podczas wojny, Calendar nie bał się tak jak w tej chwili. Widział jak przez mgłę; wszystkie czynności wykonywał zupełnie machinalnie. Po głowie wciąż tłukła mu się jedna myśl — najwyraźniej to samo, o czym myślał major — dopaść wzniesienia. Dotrzeć do wąwozu, którym wjechali w dolinę. Jeśli zdołają go opanować, będą w stanie powstrzymać każdy pościg.

Było to oczywiście słuszne rozumowanie. Zbyt oczywiście. Niespodziewanie major skręcił w lewo i zataczając łuk, jął zawracać. Żołnierze zwolnili i dezorientowani spoglądali to ku wylotowi kanionu, to ku szarżującym czerwonoskórym. Major krzyknął coś, wskazując dłonią na rzekę, od

której właśnie się oddalili. Żołnierze, zmuszeni wybierać między nieprzepartą chęcią ucieczki a odruchem posłuszeństwa, zbili się w gromadę i podążyli za dowódcą. Mieli szczęście. Okazało się później, że Indianie tylko czekali, aż wjadą do wąwozu. Przygotowali tam pułapkę, planując wzięcie białych w krzyżowy ogień. Forsyth podejrzewał coś takiego, ale nie był pewien. Zmuszony podjąć szybką decyzję zawrócił do obozu i gdyby nie instynktowna karność jego podwładnych, oddział zostałby starty na proch. Ludzie sądzili, że zauważył coś, co uszło ich uwagi. Wycofali się za nim nawet nie zdając sobie sprawy z sensu tego manewru. Nim zrozumieli, że nie ma konkretnego powodu, by nie jechać do wąwozu,

99

było już za późno. Na tyle zbliżyli się do rzeki, że nie mieli wyboru; chyba żeby zostali na otwartej przestrzeni i dali się wystrzelać.

Ich strach zmienił się we wściekłość. Kleli dowódcę, wykrzykiwali jakieś obelgi, ale jechali za nim aż do zarośniętej krzakami wysepki na środku rzeki. Tam zeskakiwali z koni, wiązali je gdzie popadnie i wyciągali karabiny, szykując się do odparcia ataku. Tylko jeden żołnierz, wciąż niezdecydowany, nie zsiadł; koń dreptał w miejscu pod miotającym się rozpaczliwie jeźdźcem.

— Uciekajmy stąd! — krzyczał. — Tutaj wszyscy zginiemy! Chciał zwrócić, myśląc chyba o ucieczce do wąwozu, ale major

chwycił go za ramię i przykładając mu lufę rewolweru do głowy wycedził:

— Rusz się, a odstrzelę ci łeb!

Potem odwrócił się i wypalił w stronę nadciągających Indian.

Pierwsza celna indiańska kula zdmuchnęła z konia zbuntowanego żołnierza. Pozostali wiązali zwierzęta w krąg, tworząc cpś 1v rodzaju żywej barykady, i z ziemi, celując między końskimi kopytami, otworzyli ogień. Z błota i piasku porobili sobie prowizoryczne podpórki pod broń, po kilku wystrzałach wracali do kopania, jakby chcieli wryć się w ziemię, i znów strzelali. Major stał między nimi wydając rozkazy i dopiero kiedy pierwsza fala Indian znalazła się tuż, ktoś ściągnął go na ziemię. Nacierających było co najmniej setka. Zjechali z brzegu, przelecieli piaszczystą mieliznę i wpadli do wody. Strzelali w pełnym galopie, wydając przeraźliwe wrzaski. Gnali na oślep, nadzy, jedynie w płóciennych przepaskach na biodrach osłaniających męskość, w pióropuszach, umazani czerwoną i zieloną farbą — oczy wytrzeszczone, usta rozwarte do krzyku, twarze wykrzywione w dzikim grymasie. Żołnierze porwani bitewnym szaleństwem dopiero teraz rozpoczęli prawdziwą kanonadę. Strzelając z najwyższą szybkością opróżnili magazynki karabinów i sięgnęli po rewolwery. Kiedy i te były puste, zaczęli ładować powtórnie. Używali sześciostrzałowych bębenkowców Colta, prymitywniejszych niż popularne później na zachodzie modele, nie mniej skutecznych. Powtarzalne karabiny typu Spencer, ryglowane dźwignią, mieściły sześć naboju w magazynku i siódmy w lufie. Razem trzysta strzałów na żołnierza; prawie pięćdziesięciu ludzi. W niespełna pół minuty cała ta masa ołowiu została posłana naprzeciw pierwszej fali Indian. Niemal połowa ich padła. Atak załamał się.

Naboje wypełniano wówczas czarnym prochem, bezdymny nie był jeszcze znany. Chmura gęstego, szarego dymu, unoszącego się nad polem bitwy, przesłoniła w pewnym momencie Indian, którzy rozsypali się na boki i okrążywszy wyspę z obu stron, gnali ku przeciwnemu

100

brzegowi. Żołnierze pośpiesznie upychali naboje w magazynkach karabinów; z trudem wyławiali z dymu sylwetki czerwonoskórych i kilku jeszcze udało im się dosięgnąć. Po drugiej stronie rzeki Indianie zawrócili i pogalopowali z powrotem. Tym razem łatwiej było ich rozproszyć. Przemknęli wzdłuż wyspy wrzeszcząc i strzelając, wspięli się na brzeg i oddalili w kierunku swoich wyjściowych pozycji.

Żołnierze ledwie mieli czas odetchnąć i upewnić się, że broń została naładowana, kiedy napłynęła druga fala nacierających. Tych udało się odeprzeć, zanim jeszcze dotarli do rzeki. Ogień obrońców był teraz tak szybki i skuteczny, że Indianie zawracali już w odległości stu metrów od brzegu.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Chmurę dymu powoli rozwiewał wiatr. Jeszcze kilka pojedynczych strzałów i ucichło. Major nawet nie musiał wydawać rozkazu przerwania ognia — dla wszystkich było to oczywiste. W obliczu tak liczego przeciwnika każdy nabój nabierał wartości. Zresztą od początku nie mieli ich zbyt wiele. Na każdego żołnierza przypadało sto czterdzieści sztuk amunicji do spencera i trzydzieści do rewolweru. Rezerwę stanowiło cztery tysiące naboji karabinowych, znajdujących się w jukach na grzbiecie muła. Żołnierze zużyli już po blisko trzydzieści ładunków; od tej chwili musieli zacząć oszczędzać i strzelać tylko do pewnych celów.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, choć nikt nawet słowem się nie zająknął na ten temat. Liczba poniewierających się dokoła pustych łusek mówiła sama za siebie. Dym już prawie opadł. Żołnierze, otrząsnąwszy się na chwilę z bojowego zapamiętania, pieczołowicie ładowali broń. Nic nie wskazywało na to, by Indianie zamierzali się wycofać. Główna ich grupa wciąż stała luźnym szeregiem na stokach pobliskich wzgórz. Ci, którzy przed chwilą uczestniczyli w natarciu, dołączyli do nich, wypełniając luki w szeregu. Calendar przyglądał się im spomiędzy nóg swego konia. Leżał w bezpiecznej odległości od jego kopyt, tuż obok kępy połamanych krzewów. Osłonięty od rzeki świeżo usypanym z ziemi kopczykiem, tak jak inni pochłonięty był ładowaniem broni, dyszał ciężko i co chwila spoglądał ku Indianom. Z tej odległości widział tylko drobne, niewyraźne sylwetki; siedzieli nieruchomo na swoich koniach, czekali.

Nagła cisza zaskoczyła chłopaka. Słyszał tylko swój chrapliwy oddech, ale i ten dźwięk wydawał mu się jakiś -, dziwny. Jakby nie wydobywał się z ust i z nozdrzy, lecz prosto z piersi i z gardła, by niesamowitym echem odbijać się gdzieś w głowie. Po chwili dołączyło do tego dzwonienie w obu uszach; wysoki, ciągły dźwięk, głośniejszy niż oddech, głośniejszy niż cokolwiek. Calendar nie był dotąd w ogniu

101

tak potężnej strzelaniny, z wszystkich stron atakującej człowieka falą wybuchów, tak że przestaje się odróżniać własne strzały od innych. Kiedy jako chłopiec polował w lasach Georgii, czasem po

strzale doznawał podobnego dzwonienia w uchu, ale nie było nigdy tak silne, by stanowiło powód do niepokoju. Jeśli miał czas i nie obawiał się spłoszyć zdobywcy, zatykał sobie ucho kawałkiem płótna. Teraz nie miał na to czasu, a zresztą w takiej sytuacji nawet o tym nie myślał. Potrząsnął głową, usiłując pozbyć się uprzykrzonego brzęczenia, trochę już przestraszony, bo widział, że ludzie chodzą wokół niego, rozmawiają, a on nic nie słyszy. Czyżby inni nie mieli kłopotów z uszami? Jeśli mieli, to nie okazywali tego. Spostrzegł, że jest mokry; brzuch, nogi. Nerwowo zaczął się obmacywać, pewien, że to krew, że został ranny, ale nie, to ze strachu stracił kontrolę nad pęcherzem. Szybko pomacał z tyłu spodni; przynajmniej kontrolował swoje kiszki. Nie wszystkim to się udało; niektórym koniom również nie. Wiszący w powietrzu smród nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Przynajmniej z jego powonieniem wszystko było w porządku. Rozejrzał się, ale nikt najwyraźniej nic nie zauważył, a jeśli nawet, to nie zwracał na to uwagi. Nie było w tym nic wstydliwego. Wszyscy kopali, wgryzali się w ziemię, spychając błoto na boki, ryli nożami, blaszanymi miskami, cokolwiek wpadło im w ręce. Na lewo od siebie Calendar widział Ryersona. Też kopał zawzięcie. I sam zabrał się do roboty; nagle uświadomił sobie, że od pewnego czasu słyszy skrobanie metalu o ziemię, stłumione parskanie koni, dudnienie kopyt. Powoli wracał mu słuch. Zdołał się nieco odprężyć; na tyle, by przestać myśleć

O sobie i dostrzec, co dzieje się dokoła. Widział leżących nieruchomo ludzi, a także innych, zwiniętych z bólu i bliskich płaczu; powalone konie, których boki wznosiły się i opadały poruszane ciężkim oddechem; krew, strumienie pienistej krwi. Kilku żołnierzy pochylało się nad kimś leżącym na ziemi. Słyszał ich przyciszone głosy. Kiedy się rozstąpili, zobaczył, że to major; był blady, na nogawce spodni poniżej jego kolana widniała rozszerzająca się czerwona plama. Ktoś zakładał mu opaskę uciskową.

— Zanieście mnie gdzieś, gdzie będę coś widział — stęknął major. Jego słowa przebiły się przez dzwonienie w uszach chłopca.

Żołnierze przenieśli dowódcę. Leżał teraz na prawo od Calendarą

I patrząc pod końskim brzuchem, wpatrywał się w opanowane przez Indian wzniesienie. Wyglądało na to, że znów szykują się do ataku. Zmieniali pozycję; konie dreptały w miejscu, rwały się do biegu, jeźdźcy spoglądali za siebie, w jedno miejsce, jakby wypatrywali czegoś, co miało wyłonić się zza wzgórza. I rzeczywiście. Najpierw

102

ukazał się czubek pióropusza, potem głowa, tułów — samotny Indianin minął szereg wojowników i zajął miejsce na czele szyku. Najwyraźniej miało to dla nich jakieś znaczenie. Rozległy się okrzyki, konie stawały dęba. Długie, rozłożyste nakrycie głowy nowo przybyłego falowało setką piór.

— O cholera! — zabrzmiał czyjś głos.

Chłopiec obejrzał się. Powiedział to jeden z czwórki zwiadowców; najstarszy z nich, siwy mężczyzna w ubraniu z kozłowej skóry, obszytym strzępiastymi frędzlami.

Major również odwrócił głowę. Leżeli blisko siebie, jak jeden wpatrzeni w Indian na zboczu.

— O co chodzi?

— To on — rzekł zwiadowca. Odwrócił głowę i splunął.

— Kto znowu?

— Cheyennowie mówią na niego Nietoperz. Stąd tego nie widać, ale z bliska jest na co popatrzeć. Nieprawdopodobnie wielki, niesamowite mięśnie. Twarz jak u posągu. Poznałem go po tym pióropuszu. Nie ma takiego drugiego. Te wszystkie pióra coś znaczą, trzeba na nie zasłużyć.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Na pewno pan słyszał. U nas nazywa się Rzymski Nos.

— Rany boskie!

Nawet Calendar o nim słyszał. Był jednym z niewielu Indian, o których mówiono, że lepiej nie wchodzić im w drogę. Biali poznawali go po szerokim, zakrzywionym nosie, który istotnie przywodził na myśl twarze starożytnych posągów. Opowiadane o nim historie mroziły krew w żyłach. Była w nich mowa o ciałach pozbawionych członków, wypatroszonych i zmaltretowanych, tak że nie przypominały ludzkich zwłok. Nigdy nie rezygnował z walki. Wyruszając w pole nie ustępował tak długo, aż jedna ze stron została unicestwiona. Jak dotąd stroną przegrywającą zawsze byli biali.

— Dobry Boże, teraz nie wykręcimy się tak łatwo — stęknął major. Przesunął oburącz bezwładną nogę, przenosząc ciężar ciała na biodro. — Potrzebuję trzech ludzi w tej wysokiej trawie, tam w przedzie. Na samym skraju wyspy. — Rozejrzał się. — Wy trzej.

Minęła dobra chwila, nim Calendar uświadomił sobie, że major patrzy na niego, na Ryersona i żołnierza obok nich. Spojrzeli po sobie, potem znów na majora. Żołnierz otworzył usta. '

— Będziecie pilnować tych ciał przy brzegu — mówił major. — Chcę mieć pewność, że któryś z nich nie ożyje. Przy następnym ataku będą próbowali nas zmylić, zechcą podczołgać się do wyspy i wy macie ich zatrzymać. Tu i tak będzie dość roboty z tymi, co nadjadą.

103

Innych trzech major wyprawił na przeciwległy kraniec wyspy. Potem znów spojrzął na nich.

— No, na co czekacie?

Jeszcze raz popatrzyli po sobie, sięgnęli po broń i powoli ruszyli przed siebie. Calendar szybko prześliznął się między nogami konia, lecz zagłębiając się w trawę zwolnił. Była to trawa stepowa — wysokie, brązowe źdźbła zakończone kłosem z nasionami. Czołgając się nie mógł uniknąć hałasu; wyschnięte, kruche łodygi pękały z trzaskiem. Obok, jako że dzwonienie w uszach przycichło, słyszał Ryersona i tego trzeciego. Czuł jak jego serce łomocze o ziemię. Dotarli do miejsca, gdzie trawa się kończyła i piaszczysty grunt opadał do rzeki. W dole widział ciała Indian, twarzami do dołu

uoszących się w płytkiej wodzie. Niektóre zwłoki osiadły na piasku z twarzami zwróconymi do góry. Cofnął się nieco, na tyle jednak, by nie tracić z oczu rzeki. Trawa pachniała jak ojcowska stodoła. '

Odepchnął tę myśl i wlepił wzrok w ciała Indian przed nim. Korciło go, żeby się odezwać, porozmawiać z Ryersonem, ale wiedział, że nie powinien tego robić. Jeśli któryś z tych w dole tylko udaje martwego, usłyszcy głosy i zrobi się ostrożniejszy. Odwrócił wzrok w stronę wzgórz.

Aż zamrugął zdziwiony. Indian tam nie było. Zjechali już w dół. W ciągu tych kilku chwil, gdy obserwował rzekę, posunęli się tak daleko. Z jego słuchem musiało być jeszcze źle, skoro dotąd ich nie usłyszał, choć pędzili galopem, wymachując rękami i sądząc po otwartych ustach, nie żałując gardeł. Spojrzał na jadącego na czele największego Indianina, tego, którego zwiadowca nazwał Nietoperzem. Olbrzymi pióropusz powiewał wokół jego głowy. Wymachiwał trzymanym w górze karabinem, czyniąc to z taką łatwością, jakby w jego dłoniach ważył tyle co piórko. Chwilę później chłopcu wydało się, że coś przeniknęło wzdłuż rzeki i pośpiesznie zerknął na ciała na mieliźnie. Nic. Tak przynajmniej pomyślał. Nie był jednak pewny. Spoglądał na coraz bliższą Unię nacierających Indian, to znów na rozrzucone w wodzie zwłoki. Kurczowo zaciśnięte dłonie obejmowały karabin. Z tyłu, ze środka wyspy dobiegły pierwsze wystrzały.

— Nie strzelać! — postyszał odległy głos majora. — Czekać na komendę! Sprawdzić magazynki! Strzelamy salwami!

Strzelanina ucichła.

Potem huknęło od strony Indian. Najpierw kilka strzałów z daleka, ale w miarę jak się zbliżali, coraz więcej i więcej. Któryś z żołnierzy wypalił.

— Czekać na rozkaz! — krzyknął major. — Uwaga! Powiedziałem: salwami!

Indianie byli coraz bliżej. Calendarowi nie mieściło się w głowie, że major pozwala im podejść tak blisko i wciąż nie nakazuje otwarcia ognia. Widział już mięśnie na ich brzuchach i zęby w otwartych ustach. Ścisnął karabin, trzymając palec na spuście; siedemdziesiąt metrów, pięćdziesiąt, grzmot kopyt...

— Ognia! — krzyknął major.

Na to tylko czekali. Nim przebrzmiał rozkaz, rozległ się ogłuszający huk, przeciągły grzmot zlewających się z sobą niczym salwa armatnia wybuchów. Pierwszy szereg Indian przestał istnieć: kule zmiatały jeźdźców z koni, obalały wierzchowce. Tylko prowadzący wojownik jechał dalej nietknięty.

— Ognia! — padła znowu komenda.

I jeszcze raz, i jeszcze. Salwa za salwą, cios za ciosem; trupy końskie zasłały ziemię.

I znów... Jadący z tyłu przeskakiwali przez powalone ciała; wciąż parli naprzód, strzelając w biegu i wyjąc przeraźliwie. Calendar wlepił wzrok w rosnące sylwetki; już tylko o dwadzieścia metrów,

niemal tuż-tuż... Z nagłym skurczem żołądka spostrzegł pomalowaną twarz wyłaniającą się przed nim z trawy.

To jeden z Indian leżących na brzegu, udający dotąd martwego, skorzystał z zamieszania wywołanego atakiem i wczuł się na wyspę. Patrzyli sobie w oczy, obaj niezdolni uczynić ruchu — twarze stężały w grymasie zaskoczenia. Gdzieś w tyle major krzyknął właśnie: „ognia!” Calendar przeładował odruchowo i nacisnął spust. Twarz przed nim zniknęła w ułamku sekundy. Bryznęło czymś mokrym. Nie wiedział czy to krew, czy woda, bo Indianie wyjeżdżali już z rzeki, już bylina wyspie. Ociekające wodą wierzchowce przemykały obok niego, a on odwrócił się i wzięwszy na cel pierwszego Indianina, który go minął, prowadził go chwilę lufą, jak wtedy, kiedy na farmie ojca polował na bażanty, i strzelił. Trafił niemal dokładnie w środek pleców. Uderzenie kuli obaliło jeźdźca wraz z koniem; runęli ze skarpy do wody. Po chwili koń podniósł się i pogalopował w stronę brzegu. Indianin został tam, gdzie upadł, z twarzą do dołu kołysał się na powierzchni wody.

Wszystko stało się tak szybko, że chłopiec niemal nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił, a tym bardziej kogo właśnie zastrzelił. Dopiero po chwili spostrzegł, że był to ten, który prowadził atak; Indianin zwany Nietoperzem. Wśród nacierających powstało zamieszanie, rozległy się nawoływania, zwolnili. Kolejne: „ognia!” majora i kolejna salwa jak smagniecie biczem — i znów spadający jeźdźcy i spłoszone konie. Linia Indian załamała się; przemknęli wzdłuż wyspy

104

105

w dół rzeki i bezładną gromadą zawrócili na swój brzeg. Atak został odparty.

Żołnierze ładowali broń, słyhać było ich tryumfalne okrzyki. Postrzelone konie kwiczały. Jęczeli ranni. Po wyspie niósł się zgrzyt metalu o metal; ładowano magazynki, trzaskały zamki. Po chwili broń znów była gotowa do użycia. Dym opadał powoli. Calendar przebiegł wzrokiem leżące na wodzie ciała, upewniając się, że nikt nie pełźnie ku niemu przez trawę. Nerwowo oblizwał usta.

— Chyba nieźle? — usłyszał głos majora. Obejrzał się i zobaczył, że dowódca ściska dłoń zwiadowcy. Tenże zwiadowca stwierdził później, że przez wszystkie lata swej służby na Zachodzie nie widział Indian nacierających z równą zajadłością. Wedle wszelkich prawideł sztuki wojennej nikt w obrońców wyspy nie powinien przeżyć ostatniego ataku. Ocaliła ich śmierć Nietoperza. Gdyby żył, gdyby prowadził swoich do końca, nic nie zdołałoby ich powstrzymać. *

Wielu było takich, którzy przypisywali sobie zasługę ustrzelenia go. Calendar nigdy się o to nie spierał. Po co miałyby się kłócić — wiedział, jak było naprawdę. Nieco później, kiedy mogli już wstać i sprawdzali ciała rozrzucone wzdłuż brzegów, Calendar podszedł do Nietoperza i odwrócił go, szukając śladu swej kuli. Rana biegła z dołu, od kręgosłupa do klatki piersiowej. Nie miał wątpliwości, że to on zabił tego człowieka. Pozwolił ciału obrócić się na powrót twarzą w dół; woda szcerwieniła od krwi, pióropusz zamókł i zmienił się w mokry łachman. Chłopiec odwrócił się i odszedł. Pióropusz zabrał inny żołnierz. Wzięty do niewoli ranny Indianin opowiadał potem, że ich wódz nie miał zamiaru uczestniczyć w bitwie. Jego pióropusz posiadał jakąś magiczną moc, która w walce chroniła go przed ciosami. Ale ta moc związana była z pewnym tabu, z zakazem, który został

złamany. Dopelnienie rytuału oczyszczenia wymagało czasu i Nietoperz nie planował włączenia się do walki. I nie zrobiłby tego, gdyby inny wódz, zazdrosny o jego pozycję, nie nazwał go babą.

Kiedy Indianin to opowiadał, historia była długa i ciekawa. Calendar chętnie powtórzyłby ją Ryersonowi. Nigdy jednak do tego nie doszło. Wkrótce po tym, jak atak Indian załamał się, a on sam pozbiierał się nieco i poczuł na tyle bezpieczny, że przestał rozglądać się nerwowo na boki, poczołgał się w lewo od swego stanowiska, tam gdzie spodziewał się znaleźć Ryersona i trzeciego wysłanego z nimi żołnierza. Gdy ich odnalazł, żołnierz opatrywał właśnie Ryersona. Kula trafiła go w brzuch, mocno krwawił. Całe podniecenie bitwą i tym czego dokonał opuściło chłopca w jednej chwili. Nagle odrętwiały podpełzł do rannego, tulił go w ramionach, coś doń mówił, próbując

106

nieco Jakąś odpowiedź. Lecz choć Ryerson poruszał

& J, l r — •-. A^lAn. n l "D*.

Cal

niesprawiedliwe, .siedział, trzymając go w objęciach i płakał. Dlatego właśnie

ził swych praw jako ten, który zabił wodza Indian.

iv bólem nie potrafił ani wykrzesać z siebie gniewu, ani

.dumy.

nie odeszli. Jednak nie atakowali, najwyraźniej szykując się Na wyspie nie pozostał ani jeden żywy koń. Jedna trzecia zginęła lub odniosła rany. Zastępca dowódcy, porucznik V również poległ. To od jego nazwiska wzięła się późniejsza Wyspy. Major został raniony jeszcze dwukrotnie — draśnięty ""g i, już poważniej, trafiony w udo. Kula utkwiała w pobliżu Leżał tak cztery dni, aż zrozumiał, że będzie ją musiał usunąć. ty, towarzyszący oddziałowi chirurg również został zabity, a nikt inn]fnie chciał się podjąć operacji. Każdy obawiał się, że dłubiąc nożem uszkodzi tętnicę. Ostatecznie major kazał dwu ludziom trzymać

w tei

3p**, Ł v •* —

l wyjętą z juków brzytwą wyciął kulę sam. Był to jedyny moment ia, kiedy Calendar, obserwując majora, jak nie zważając na ból j, zapomniał o Ryersonie. Poza tym nic nie mogło wyrwać go z apatii. Tak jak tej nocy po zabiciu Nietoperza, gdy obojętnie przyglądał się wymarszowi dwójki zwiadowców, których major postanowił wysłać po pomoc. Dla zmylenia ewentualnej pogoni włożyli in4ląńskie mokasyny i przez pewien czas szli tyłem. Dwie noce później major wysłał kolejną dwójkę, nakazując zwiadowcom maszerować nocą, a dzień spędzać w ukryciu. Tydzień upłynął, nim nadeszła odsiecz i Codianie odstąpili od oblężenia. Żołnierze zdążyli zużyć cały zapas żywności i zaczęli już piec zepsute końskie mięso. Major leżał z wyciągniętą nogą i oparty o drzewo czytał zabraną na

wyprawę książkę. Widok pierwszych ludzi wyłaniających się z wąwozu sprawił, że żołnierze wydali radosny okrzyk, zerwali się machając koszulami i strzelając na wiwat. Dotychczas major bardzo pilnował, by oszczędzali amunicję. Zabitych białych już pochowano. Na wyspie brakowało miejsca, toteż spoczęli w zbiorowej mogile. Teraz zebrano z rzeki i z płycizn ciała Indian i spalono na brzegu. Calendar siedział na skraju wspólnego grobu obrońców wyspy, w miejscu gdzie pochował Ryersona ściskając jego karabin i pistolet; z jego jukami przy boku. Zdążył już przeszukać torby, próbując znaleźć jakieś nazwisko albo adres, cokolwiek, co pozwoliłoby mu skontaktować się z siostrą zabitego. Ale niczego takiego nie znalazł.

107

59

— Zabieraj stąd swój tyłek!

Prentice drgnął, zaskoczony i zdezorientowany.

Zatrzymali się na noc. Biwakowali u stóp wyniosłości skalnej

o stromych, poszarpanych ścianach. Miejsce było wybrane dobrze — osłona, woda w pobliżu, chrust na ogień. Wzniesienie ciągnęło się na wschód od obozu. Otwarty na zachód, na opadające za widnokrąg słońce teren obozu wciąż jeszcze kąpał się w resztkach jego blasku.

Wieczór zapowiadał się udany. Mimo całodziennego jazdy w upale wszyscy byli w dobrym nastroju. Żołnierze gawędzili, czyszcząc

1 karmiąc uwiązane na noc konie. Ten i ów pogwizdywał, rozwijając kocy. Rozpalano ogniska, ludzie siadali kołem, by popatrzeć na ogień, podgrzać chleb i mięso.

Calendar wdrapał się na wzniesienie, aby przed zapadnięciem mroku rzucić okiem na pustynię. Wróciwszy usiadł "przy ogniu, Prentice przysiadł obok, nalali sobie kawy i popijali w milczeniu. Stary nie golił się od kilku dni; siwy zarost na twarzy postarzał go. Odstawił kubek i skręciwszy papierosa wyciągał właśnie rękę z zapałką, kiedy znieruchomiał i wyrzucił z siebie te dziwne słowa.

Prentice nie miał pojęcia, kogo miał na myśli. Siedzący obok żołnierze byli zaskoczeni nie mniej od niego. Rozglądali się niepewnie; Prentice poczuł ucisk w żołądku, przysłała mu bowiem do głowy straszna myśl, że stary mówi do niego. Nagle zrobiło się całkiem cicho. Stary siedział bez ruchu, wciąż jeszcze trzymając nie zapaloną zapałkę; usta zaciśnięte, oczy wlepione w ogień. Chłopca zbiło z tropu nie tylko to, że nie wiedział, do kogo były skierowane te słowa — nigdy przedtem nie słyszał starego mówiącego w ten sposób. Oczywiście, to co powiedział, było całkiem zwyczajne. Wszyscy od czasu do czasu używali takich zwrotów, stary też. Niezwykły był ton — niemal nieludzki, dobywający się gdzieś z głębi gardła pomruk.

— Tak, ty! — warknął znów stary. Powoli uniósł wzrok i jał się wpatrywać w żołnierza siedzącego po przeciwnej stronie ogniska. — Wiesz, do kogo mówię. Powiedziałem, won!

Żołnierz poderwał się nerwowo, podniósł rękę.

— Słuchaj, jak Boga kocham..

— Hej! — rzucił stary — to do ciebie. Nie słyszysz, jak się do ciebie mówi? — Nagle odwrócił się.
— Co z tobą, do ciężkiej cholery?

Stał tam Indianin, jeden z Apaczów, których major zatrudnił jako dodatkowych zwiadowców. Dopiero teraz Prentice uświadomił sobie,

108

że pns^cały Czas czuł za plecami jego obecność. Zerknął na niego; stał niewiele dalej niż na wyciągnięcie ręki; niezbyt wysoki, może sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, dobrze zbudowany, dość masywny- Ciemną twarz o wystających kościach policzkowych okalały długie włosy; zwisające spod wojskowego kapelusza. Ubrany był po części jak Indianin, po części jak kawalerzysta: mokasyny, drelichowe spodnie od munduru i piaskowej barwy, luźna konopna koszula, ściągnięta parcianym pasem. Kabura z pistoletem, żółta chustka zawiązana pod szyję Stał pewnie, biodra lekko podane do przodu, krótkonogi, o długich rękach; swobodny a jednocześnie czujny. W szczupłej twarzy

0 krótkim podbródku przyciągały uwagę oczy — ciemne, niewypowiedzianie głębokie, zdawały się mówić: „No, i co teraz? Jak daleko chcesz się posunąć?”

Stary odrzucił zapalną i papierosa i podniósł się, stając twarzą w twarz z Indianinem.

— Pytałem, co się z tobą, do diabła, dzieje. Ogluchłeś? Zjeżdżaj

stąd.

Indianin ani drgnął.

— A w ogóle, co robisz za moimi plecami? Skradasz się i wybałuszasz na mnie gały.

Indianin podrzucił głową i wzruszył ramionami. Rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy nikt z boku nie zamierza się wtrącić,

1 uspokojony znów wbił wzrok w stojącego przed nim białego. Twarz starego zrobiła się purpurowa; dziki grymas wykrzywił zarośnięte policzki. Prentice nigdy go takim nie widział. Był odpychający.

<— W porządku — wycedził stary. — Nie będę więcej powtarzał. — Jego ręka znalazła się w pobliżu kabury z pistoletem.

Na to, co stało się później, Prentice nie umiał znaleźć innego określenia, jak zwarcie elektryczne. Stary ostrym głosem powiedział kilka słów w języku, którego chłopiec nigdy nie słyszał. Domyślił się tylko, że to mowa Apaczów. Indianin nie poruszył się, ale wszystko w nim zaczęło się jakby

zmieniać, kurczyć, wręcz zwijać. Najbardziej zmieniły się oczy, na pozór nieznacznie tylko przymrużone. Potem Indianin przemówił; spokojnie, powoli, w tym samym obcym języku. Miał najpiękniejszy męski głos, jaki Prentice kiedykolwiek słyszał. Stary powtórzył swoją kwestię z jakąś niewielką zmianą w środku zdania, nieco jakby przeciągając sylaby. Chwilę później Indianin rzucił się na niego. Ruszał się szybko jak atakujący grzechotnik. Prentice nie zdążył nawet mrugnąć, a Apacz był już przy starym i wyrwanym z pochwy na plecach nożem celował w jego brzuch.

109

Stary musiał się tego spodziewać. Na pewno, zważywszy na sposób, w jaki odskoczył, by cofnąć się o krok i zdrową ręką chwycić przegub Indianina. Zrobione to było tak płynnie, jakby ci dwaj wykonywali jakiś pokaz, jakby atakujący celowo dał się złapać. Lecz teraz stary wykręcił rękę Indianina, zmuszając go do pochylenia się i kopnięciem w kostkę wybił go z równowagi; tamten chcąc złagodzić ucisk na wykręcony nadgarstek musiał się obrócić i runął na ziemię. Nóż wypadł mu z dłoni; z trudem podnosił się na nogi. Stary, który nie wypuścił z uchwytu prawej ręki Indianina, szarpnął go do siebie, ponownie zbił z nóg, po czym trzasnął kolanem w pochyloną twarz. Siła ciosu odrzuciła głowę Apacza. Przewrócił oczami, krew rzuciła mu się z ust i z nosa. Osunął się na kolana. Stary puścił go, pozwalając upaść, a potem jednym ruchem chwycił za gardło i podniósł do góry. Do tej chwili Prentice nigdy tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy z siły Calendar. Ze ściągniętą z wysiłku twarzą stary trzymał Indianina w powietrzu, wciąż ściskając za gardło, tak że wyglądało to, jakby tamten stał, tyle że jego stopy nie sięgały ziemi. Rzucił nim o skałę, przydusił, uniemożliwiając jakikolwiek ruch, i zacisnął mocniej palce na jego gardle. Indianin wybałuszył oczy, powoli jego wzrok stawał się nieprzytomny. Stary dyszał ciężko, ale nie rozluźnił dłoni, dusił...

Długo trwało, nim ktokolwiek ruszył się z miejsca. Tak byli zafascynowani rozgrywającą się przed ich oczami sceną, że dopiero teraz zdobyli się na jakąś reakcję. Z krzykiem rzucili się do starego, jeśli go szarpać, usiłowali odciągnąć od Indianina. Ale ten jakby wrósł w ziemię, a jego dłoń wciąż zaciskała się na szyi ofiary. Ciągnęli go, popychali, próbowali rozerwać palce, ale na próżno. — Do diabła, człowieku, przestań! — krzyknął ktoś. Prentice siedział i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w starego, jak wysoko nad głowę unosi trzymanego za gardło Apacza, jak tamten wisi, podrygując w powietrzu nogami. Chłopiec gapił się, oszołomiony takim pokazem siły, pełen podziwu nawet, i dopiero ten okrzyk otrzeźwił go. I przestraszył. Zerwał się, podbiegł do starego i czując, że postępuje wbrew sobie, zarzucił z tyłu ręce na jego pierś. Z trudem udało mu się złączyć dłonie, tak była szeroka. Splótł palce, ścisnął.

Bał się. Początkowo klatka piersiowa starego ani drgnęła w jego uścisku. Potem, gdy wypuścił powietrze i jego mięśnie rozluźniły się na chwilę, Prentice wzmógł uścisk. Kiedy stary próbował oddychać, chłopiec naciskał coraz mocniej. Calendar zaczynał się dusić, sapał chrapliwie, próbował zrzucić chłopca z pleców. Inni szarpali starego za ramiona, rozginali mu palce. Chłopiec słyszał ich krzyki. Stary

110

wytchnął resztę powietrza z płuc; Prentice nacisnął jeszcze mocniej i poczuł, że tamten się chwieje. Stary charczał, łokciem wolnej ręki tłukł na prawo i lewo i nagle uwolnił gardło Indianina, a jego zdrowa ręka zatoczyła łuk. Kilku żołnierzy upadło, inni cofali się pośpiesznie. Prentice trzymał go

jeszcze przez chwilę, potem puścił i opadł na ziemię; Widział nad sobą starego: ręka wyciągnięta, dłoń otwarta, palce zagięte niczym szpony. Toczył wkoło rozjuszonym spojrzeniem, ciężki oddech unosił jego potężną pierś, przekrwione oczy wydawały się prawie czerwone. Wyglądał już nie jak człowiek, ale jak schwytyany w potrzask niedźwiedź, jakiś olbrzym z zamierzchłych czasów oganiający się przed jakimiś karłami. Stał tak przez chwilę z dzikim wyrazem twarzy, spoglądając po otaczających go żołnierzach i nagle odezwał się:

— Nie dotykaj mnie. Spróbuj jeszcze raz, a zabiję.

Nie zostało to skierowane do nikogo konkretnego. Prentice nie był nawet pewien, czy stary zauważył, że i on znalazł się wśród tych, którzy go przed chwilą szarpali. Nic jednak nie mógł poradzić na to, że był przerażony tym, do czego o mały włos nie doszło, zachowaniem starego oraz tym, jak mógłby zareagować, gdyby spostrzegł, że on, Prentice, wystąpił przeciwko niemu. Nagle zrobiło mu się żal tego człowieka. Najchętniej wstałby i powiedział: „No dobrze, cholera, nie gniewaj się”. Ale stary już odszedł. Przepchnął się przez grupkę żołnierzy i oddalił w głąb wąwozu. Teraz wszyscy hurmem rzucili się do Indianina. Klepali go po twarzy, próbowali stawiać na nogi, byle tylko zaczął mówić, oddychać, dał jakiś znak życia. Wreszcie Apacz zacharczał, jęknął z głębi gardła; rumieńce powoli wracały mu na twarz. Na szyi wciąż jeszcze miał czerwone ślady po palcach starego, ale oddychał. Widać było, że nic poważnego mu się nie stało. Ostrożnie posadzili go na ziemię i oparli plecami o skałę. Po chwili zaczął jęczeć, kiwać się, jego powieki drgnęły, otworzył oczy. Ktoś pobiegł po lekarza. Żołnierze wymachiwali rękami, mówili jeden przez drugiego, komentowali zajście, popatrując na plecy starego, który oddalał się wzdłuż podstawy rumowiska skalnego tworzącego ścianę wzniesienia. Potem uwagę wszystkich znów przyciągnął Indianin. Nikt nie miał pojęcia, o co poszło.

Prentice leżał na ziemi, wciąż przestraszony, i słuchał. Na koniec wstał, otrzepał się z kurzu i jeszcze przez chwilę słuchał gładzenia żołnierzy, spoglądając w mrok, gdzie przed chwilą zniknęła sylwetka starego. Nagle zdecydował się i ruszył za nim.

111

60

— No dobrze, przepraszam.

Calendar jakby nie słyszał. Oddaliwszy się od obozu, przystanął obok grupy olbrzymich głazów narzutowych i wsparty o jeden z nich wpatrywał się w zachodzące słońce. Chłopiec widział jego profil na tle błękitno-pomarańczowego nieba. Zauważył, że mięśnie szczęk starego są wciąż napięte, że usta ma zaciśnięte, a jego oczy płoną.

Czekając na odpowiedź zbliżył się nieco, przystanął, pomilczał jeszcze chwilę i wzięwszy głęboki oddech spróbował znowu:

— Powiedziałem: przepraszam.

Stary nie patrząc na niego machnął ręką gestem wyrażającym rozgoryczenie.

— Za co? Oddałeś mi przysługę. -•»

— Więc jednak. Bałem się, że pan tego nie zrozumie/

— Czemu nie. Gdybym zatłukł tego sukinsyna, postawiliby mnie przed sądem. Niech sobie żyje. I tak będzie awantura.

— Chwileczkę. Myśli pan, że dlatego panu pomogiem? Dopiero teraz stary zwrócił twarz ku chłopcu.

— Nie, nie dlatego — odparł wlepiając weń dzikie spojrzenie. — Zrobiłeś to, bo nie chciałeś, żebym go zabił, bo sama myśl o tym wydawała się czymś strasznym i wyobraziłeś sobie, że potem, kiedy już ochłoneę, będę czuł tak samo. Ale to nieprawda. Z przyjemnością zabiłbym tego szczura i wcale by mi to nie odebrało snu, wręcz przeciwnie.

— Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. Co on panu zrobił?

— Stał za moimi plecami.

— Tylko tyle? — Chłopiec pokręcił głową i zmarszczył brwi. — Musiał pan mieć z nim na pieńku; podkraść się z tyłu, więc próbował go pan zabić.

— Nie. Nie miałem z nim na pieńku. W ogóle nie miałem z nim nic wspólnego. I nadal nie chcę mieć. Od niego oczekiwałem tego samego. Nie powinien skradać się i stawać za mną.

— No to nadal nic nie rozumiem.

— Nie wymagam tego od ciebie. Wszystko mi jedno, czy uważasz za usprawiedliwione to, co zrobiłem. Nie zależy mi na twojej aprobacie.

— Tu nie chodzi o żadną aprobatę. — Chłopiec podszedł jeszcze o krok bliżej. — Chcę tylko pana zrozumieć.

— Nawet nie próbuj. Już ci mówiłem, że o niczym nie masz zielonego pojęcia.

112

-*''ł&odzi o to, że on jest Apaczem. Kiedyś walczył pan z nimi i nadał ich pan nie znosi.

— ~ Nieprawda. Walczyłem z Siuksami i Cheyennami. -''' A więc to w ogóle nie ma żadnego sensu.

— -Właśnie że ma. Oczywiście że ma. Czyś ty zgłupiał, chłopie?

pieprzony Indianiec.

wlepił w starego zdziwione spojrzenie.

myślisz, na czym polega ten zasrany interes? Sądzisz, że jałp stajesz do walki z jakimiś ludźmi, to

ograniczasz się tylko ,4o tych, którzy wyciągną na ciebie broń? Ich jest zawsze

a nawet jeszcze trochę. Gdzieś, kiedyś ten Indianin

miał krewniaka, nieważne jak dalekiego, który zginął z ręki białego. Jest in tyle stary, że mógł to nawet oglądać. I pamięta. Tak jak et Meksykanie, których zabiliśmy przedwczoraj, mają krewnych, któnS* też będą pamiętać. Jak pamiętali ludzie po wojnie domowej. Dla4go nie chcę obok siebie Indian. Nie chcę nawet, żeby się do mnie zbliżali.

•V T0 znaczy, że on mógłby coś panu zrobić? •«* Nie, do diabła, na pewno niczego takiego by nie spróbował, przynajmniej otwarcie. Zresztą cichaczem też nie. Jeden Indianin pośród tyłu białych. Chociaż na pewno mogło mu to chodzić po głowie. Jestem pewien jak diabli, że nie pomógłby mi, gdybym się znalazł w jakichś opałach. Ja po prostu nie chcę, żeby się do mnie zbttfedi Czy to tak trudno zrozumieć?

Zastanów się. Czterdzieści lat temu walczyłem z takimi jak on. I ait;jrobiłem tego byle zbyć. Wbiłem sobie wtedy do głowy, że to najft^miejayp najbardziej plugawe stworzenia na całym bożym świecie i poiłanowiłem zabić ich tyłu, ilu tylko zdołam. Nienawidziłem, co ich dotyczyło. Sama wzmianka o Indianach do-mnie do wściekłości. Nie mogę tego zapomnieć i nagle ściskać się z nimi tylko dlatego, że wojna się skończyła. „No, B, kolego. Wszystko w porządku. To była zwykła różnica v. Teraz zostaniemy przyjaciółmi". Nie ma tak dobrze. Kiedy twoim wrogiem, kiedy z nim walczysz, musisz wierzyć, że tak "' zawsze. To jedyny sposób, żeby zwyciężyć. Pamiętaj o tym. un złości mnie samą swoją obecnością. Wystarczy, że na itrze. Obraził mnie, podchodząc tak blisko, i za to wypruję z trudem zmuszał »ę do słuchania tego wszystkiego.

— rzekł stary. — Tak to jest. Teraz już wiesz. A przy

myślisz, co my tu robimy? Bawimy się w podchody? Nie

113

uganiamy się za zwykłą szajką bandytów. To jeden wielki pieprzony spisek. Ot, spotykamy sobie idącego drogą Meksykanina i niech mi kto powie, po czyjej on jest stronie. Godzinę temu na tej samej drodze rozmawiał z Yillą, ale nas wyśle dokładnie w przeciwnym kierunku. Pięć kilometrów dalej natknie się na patrol federales, i kto wie, czy nie strzeli mu do łba, że warto by im się podlizać i wskazać prawdziwy kierunek. Albo i nieprawdziwy; wszystko jedno. Równie dobrze mógłby napchać nam ostu pod siodła, żebyśmy się pozabijali. Nie możesz takiemu ufać. W żadnej sytuacji. Najlepiej myśleć o nim jak o brudnym Meksie. Przynajmniej nie będziesz miał wątpliwości.

— Ale jeżeli pan tak myśli, to po co to wszystko? To znaczy, co pan tu w ogóle robi? Nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Jasne, że nie. Nic tu się nie zmieni. Tak się po prostu składa, że znam się na tej robocie. I to dobrze.

— Meksykanie, Indianie... przez całe życie nikomu pan*nie ufa, nikogo nie lubi, wszystkich od siebie

pędzi. W ten sposób człowiek zostaje sam.

Stary popatrzył na chłopca surowo, przytaknął energicznie i podniósł do góry wskazujący palec.

— A widzisz. Może jednak zaczynasz coś rozumieć.

— Ale... ja nie potrafię być kimś takim.

— Może tak, może nie. To się okaże.

— Nie. Ja nie chcę być taki.

— A więc nic tu po tobie. Zaczynaj traktować swego wroga jak ludzką istotę, a jesteś trup.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Prentice zawahał się, a potem odwrócił się, by odejść. Nagle przystanął.

— Naprawdę... rozumiem wszystko, co pan mówi. Ale nie mogę tyle od siebie wymagać. Nie mogę wszystkiego odrzucić. Czy to takie dziwne?

— Nie — odrzekł stary. — Wcale nie. Ale w takim razie niczego więcej nie mogę cię nauczyć.

— Może i nie — z namysłem odparł Prentice.

Spoglądali na siebie w milczeniu. Chłopiec zastanawiał się, co jeszcze mógłby powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Odwrócił wzrok ku ginącemu za linią horyzontu słońcu. Jeszcze raz spojrzął szybko na starego, odwrócił się i odszedł. Tym razem już się nie zatrzymał.

114

61

— Major powiedział, że możesz zabrać się ze mną.

Prentice jechał na lewym skrzydle kolumny. Było już prawie południe następnego dnia. Z wyjątkiem południowego zachodu, gdzie nisko nad horyzontem rysowała się poszarpana ściana masywu górskiego, zewsząd otaczała ich pofałdowana, pustynna równina — juka, kaktusy, krzaki mezquite, kępy bielunia, wyblakłe od słońca skały i piasek.

I kurz. Kłęby kurzu. Skwar jak chyba nigdy dotąd. Zdjął kapelusz i otafił czoło. Właściwie nie wiedział po co. Powietrze było tak suche, a on sam tak gruntownie odwodniony, że prawie się nie pocił. Chyba zrobił to, żeby czymś się zająć, żeby mieć okazję odwrócić głowę i popatrzeć na starego.

Od wczorajszego wieczora unikali się nawzajem. On w każdym razie najzupełniej świadomie unikał Calendarę. Trzymał się kolegów; razem z innymi położył się spać, jadł, siodłał konia. Od czasu do

czasu spoglądał na skraj obozu, gdzie stary siedział samotnie przy ognisku i gapił się w ciemność. Nie ruszył się stamtąd do rana.

Nie żeby. nie aprobował tego, co wczoraj usłyszał. Właściwie zdawał sobie sprawę, iż było w tym wiele prawdy. Wiedział jednak, że nie jest w stanie przyjąć takiego sposobu rozumowania. A nie był już tak naiwny i głupi, by przejść nad całą sprawą do porządku i znów czuć się dobrze w towarzystwie Calendar. Po śniadaniu żołnierze oporządzili konie i oddział ruszył w drogę. Prentice nadal nie zbliżał się do starego. Calendar zebrał swoich zwiadowców, jednego z nich wysłał z poleceniem dla Indian, a sam pojechał przodem, by wrócić dopiero po trzech godzinach. W tym czasie oddział przebył ponad trzydzieści kilometrów. Słuchając rozmów żołnierzy Prentice dowiedział się, że wczorajsza awantura nie minęła bez echa. Późnym wieczorem Calendar został wezwany do majora, rano ponownie; za każdym razem dochodziło do ostrej wymiany zdań. Nikt nie znał szczegółów, gdyż major nie życzył sobie żadnych świadków, ale wszyscy słyszeli podniesione głosy, ktoś nawet widział, że dowódca pogroził starymu pięścią. Prentice ciekaw był, co stary na to. Żołnierz, który widział majora tuż po ostatniej rozmowie, twierdził, że był jeszcze czerwony ze złości i warczał na swoich oficerów, gdy wydawał rozkazy do wymarszu.

Prentice słuchał tych plotek, a jednocześnie nie spuszczał oczu ze starego, jadącego obok majora na czele kolumny. Kiedy tamten zawrócił i przejechał obok niego, chłopiec nawet nie spojrzał w tamtą

115

stronę. Chwilę później uświadomił sobie, że stary jedzie tuż przy nim. Zmusił się, by parzyć prosto przed siebie i wtedy właśnie stary powiedział, że major zgodził się, by pojechali razem.

— Dokąd? — odparł chłopiec.

— Chcę ci tylko coś pokazać.

Prentice nie od razu spytał — co. Czując jednak, że mężczyzna obok nie spuszcza z niego oczu, nie mógł udawać, że go nie zauważa.

— A co to takiego ma być? Przejechali jeszcze kawałek.

— No dobrze, rób jak chcesz — powiedział wreszcie stary. Popędził konia i odjechał. Prentice patrzył za nim niezdecydowany. Wiedział, że kieruje nim duma, że przed chwilą chciał się po prostu postawić, dowieść swej niezależności. Ale im bardziej stary się oddalał, tym bardziej miał ochotę się doń przyłączyć. I zanim skończył się zastanawiać, już był obok niego. . -'

— Jesteś pewien, że chcesz ze mną jechać? Chłopiec wzruszył ramionami.

— To lepsze, niż łykanie kurzu w kolumnie.

— Co prawda, to prawda.

I stary uśmiechnął się. Nieznacznie; usta i oczy prawie nie zmieniły wyrazu, niemniej był to uśmiech. Prentice po raz pierwszy widział uśmiech Calendar i zrobiło to na nim pewne wrażenie. Uraza i

napięcie zniknęły bez śladu. Oddalali się od kolumny, posuwając się coraz dalej w głąb pustyni. Stary prowadził. Prentice znów czuł się swobodnie, przepełniało go uczucie wdzięczności.

Jechali tak kilka godzin. Na którymś z rzędu wzniesieniu stary przystanął. Kolumnę dawno już stracili z oczu. Przed nimi widniała gmatwanina jarów i usianych skałami i kaktusami rozpadlin.

— To tu — oznajmił stary.

— Znaczy, co? O co chodzi?

— Nic specjalnego. Po prostu znajdź mi wodę.

— Wodę? A jak mam to zrobić?

— Spróbuj posłużyć się zdrowym rozsądkiem.

Stary najwyraźniej mówił serio. Chłopiec wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się po pustyni. Zgarbił się w siodle, usiłując zmusić się do myślenia. Trochę go denerwowało, że stary znów poddaje go takim próbom. Z drugiej strony była to pewna gra, zagadka do rozwiązania, i po chwili zapomniał o obecności starego, o tym, że stoi obok, wpatrując się w niego, i skoncentrował się na zadaniu.

— No dobrze, zastanówmy się. Zdrowy rozsądek. W porządku. A więc tam gdzie jest woda, rosną drzewa i krzaki. Drzew żadnych nie

116

widać. Krzaków jest mnóstwo, głównie mezquite, ale wyschnięte i nie układają się w jakiś określony sposób. Na pewno pod żadnym nie ma wody. Większa kępa rośnie w tamtym arroyo, ze sto metrów na prawo, ale zdaje mi się, że to jeszcze po ostatnich deszczach. Może tam w dote jest jakieś ukryte źródło. Nie wiem, trudno powiedzieć. Trzeba by zobaczyć.

— Nieźle. Co dalej?

— Ano, chyba zwierzęta. Gdzie jest woda, powinny być zwierzęta. Najprędzej jakieś małe. Jaszczurki. I pewnie ptaki. Teraz, jak myślę o zwierzętach zamiast o wodzie, zdaje mi się, że coś tam się rusza. Prosto przed nami. Ten punkcik między dwoma pagórkami.

— Co to może być?

— Nie wiem, jest za daleko. Wygląda na dość duże; może jeleń. Stary sięgnął do torby przy siodle i wręczył chłopcu lornetkę. Ten

ustawił ją i wycelował w wybrany punkt. — Mój Boże! — krzyknął.

— Co widzisz?

— To koń.

Stary klasnął językiem w podniebienie.

— Wiedział pan?

— Niedawno stamtąd wróciłem. Właśnie to chciałem ci pokazać. — Schował szkła do juków, zapiął torbę, potem ujął wodze i ruszył w dół zbocza.

Dotarcie do zagadkowego wierzchowca zabrało im sporo czasu. Co rusz tracili go z oczu, by po przejechaniu kolejnego wzniesienia zobaczyć znowu. Początkowo koń stanowił tylko odległy punkcik na tle pustyni. W miarę jak się zbliżali, zaczął nabierać kształtów, w końcu widać było łeb i nogi — bez wątpienia był to koń.

Prentice poczuł narastające zdumienie. Podjeżdżali coraz bliżej, a zwierzę ani drgnęło. Robili tyle hałasu, że nawet jeśli ich nie zwietrzyło, powinno już dawno usłyszeć, spłoszyć się i uciec albo podbiec ku nim. Jedno albo drugie. Tymczasem ten koń zdawał się wcale nie zwracać na nich uwagi. Jeszcze chwila i znaleźli się na tyle blisko, że chłopiec mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Poczł, że robi mu się niedobrze.

Koń nie miał oczu. Wyłupiono mu je, tak że zostały tylko ciekące oczodoły. Grzbiet zwierzęcia wyglądał jeszcze gorzej: jedna wielka rana w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się siodło. Była biała od ropy i roiło się w niej robactwo, które opadało nawet na ziemię; zielona w miejscach, gdzie pojawiła się już gangrena. Nic dziwnego, że koń się

117

ani nie spłoszył, ani nie podbiegł do nadjeżdżających. Oszołomiony bólem prawie nie mógł się ruszać.

— Dobry Boże, co mu się stało?

— Cóż, z tymi obtarciami od siodła sprawa jest oczywista. To jeden z koni Yilli. Nie jego osobiście, ale wiesz, o co mi chodzi. Zajeżdżili go prawie na śmierć, a potem zostawili.

— A te oczy? Co się stało z jego oczami?

— To jest najbardziej niedorzeczne. Gdzieś w pobliżu znaleźli wodę, więc oślepiili konia. Żeby nie mógł odejść zbyt daleko od wodopoju. Wracając tędy, mają szansę trafić na jego ślady. Mogą być pogmatwane, ale jak się dobrze rozejrzą, to odnajdą go. Coś jak drogowskaz. Normalna praktyka. — Stary spojrzł na chłopca. — Sympatyczni ludzie.

— Faktycznie. — Prentice przypomniał sobie to, co słyszał poprzedniego wieczoru. Starł się o tym nie myśleć. — A eo z wodą?

— Za twoimi plecami.

Chłopiec odwrócił się i dostrzegł częściowo ukrytą pod skałami sadzawkę.

— Za mało dla całego oddziału. Napelnimy manierki, napoimy konie i wracamy.

Stary sięgnął do kabury i wydobył pistolet.

— Chwileczkę. Co pan robi?

— Zastrzelę konia.

— Ale mówił pan, że mogą tędy wracać. Czy nie lepiej zostawić wszystko jak jest, sprowadzić ludzi i urządzić zasadzkę?

— Już nie. Możesz być pewien, że ktoś nas w tej chwili obserwuje.

— Co takiego?

— Nie tu — spokojnie powiedział stary. — Raczej gdzieś stamtąd. — Wskazał w kierunku gór. — Ktoś ukryty wysoko z dobrą lornetką. To też normalna praktyka. Wiedząc, że będą tędy wracać, zostawiają kogoś w pobliżu, by mieć pewność, że miejsce jest bezpieczne. Poza tym koń i tak niedługo padnie. Sądząc po wyglądzie jego oczu — prawie przestały ciec — jest tu od jakichś dwu dni. Gdyby mieli tędy wracać, zrobiliby to już dawno. Nie ryzykowaliby, że koń padnie, zanim odnajdą wodę. Nie, cokolwiek wymyślisz, tu już nic nie zdziałamy. Albo nas widzą, albo zrezygnowali z tej drogi. Nie ma sensu, żeby zwierzę dalej cierpiało.

Stary odciągnął suwadło wprowadzając nabój do komory, zbliżył się do konia i wycelował w miejsce tuż za jego uchem.

Pociągnął za spust. Pistolet podskoczył targniety odrzutem. Z drugiej strony bryznęła na ziemię struga krwi, pokruszonych kości

118

i mózgu. Koń zwałił się łbem naprzód, zachrapał, nogi wyprężyły się, zadrżał i po chwili znieruchomiał.

Stary przyglądał mu się przez kilka sekund. Echo powtórzyło odgłos wystrzału; stary odwrócił się.

— Przyznaj się. Już wcześniej o tym pomyślałeś, ale nie chciałeś tego zrobić. Mam rację?

Chłopiec kiwnął głową.

— Ale dlaczego?

— Sądziłem, że może pan to uznać za błąd.

— Posłuchaj. Wiem, że wydaję ci się surowy. Ale pomyśl. O ile coś nie jest konieczne ze względów

praktycznych, nie ma powodu być okrutnym.

Chłopiec ponownie skinął głową.

— Ma pan rację. Po prostu nie zawsze człowiek wie, kiedy zrobić tak, a kiedy inaczej.

— Będziesz wiedział.

— Nie wiem. Czasami myślę, że nigdy nie będę tego wiedział.

— Jasne, że będziesz.

— Nie wiem. — Chłopiec czuł, że rozmawiają tak, jakby wczorajsza wymiana zdań nigdy nie miała miejsca. Jakby jego nauka wciąż trwała i nigdy nie rozmawiali o jej przerwaniu.

Ale to już nie miało znaczenia.

Spojrzał na Calendarę, potem na martwego konia i pomyślał, że gdyby nie brakowało mu śmiałości, powiedziałby staremu, że miał wczoraj rację. Wzruszył tylko ramionami i odezwał się bezbarwnym

— Może byśmy napełnili manierki.

Mogli pogrzebać konia, myślał, ale wcale nie miał na to ochoty. Zresztą trwałoby to zbyt długo. A tak przynajmniej sępy coś na tym skorzystają. Tak czy inaczej dla konia nie miało to znaczenia.

Napełnili manierki, napoili wierzchowce, przeszukali pobliskie skały, bo w okolicy mogła być jeszcze druga sadzawka, i wyruszyli w drogę powrotną. Wypytał jeszcze starego o inne sposoby znajdowania wody i dowiedział się o wyschniętych strumieniach, gdzie pod warstwą piasku mogą kryć się jej zbiorniki, o wydobywaniu płynu z kaktusów, o szukaniu zwierzęcych ścieżek i obserwowaniu ruchu ptaków za dnia. Zatrzymali się przy wskazanym przez chłopca arroyo, żeby sprawdzić, czy nie ma wody pod upatrzoną wcześniej kępą meżquite, ale nie było. Dosiedli koni i pognali za kolumną.

119

62

Istotnie byli obserwowani. Wiele lat później znajdzie się ktoś, kto odtworzy całą tę historię. Zada sobie trud zbadania starych listów i pamiętników, porozmawia z krewnymi uczestników tamtych wydarzeń. I chociaż niektóre źródła przeczytą będą pozostałym, większość okaże się zgodna co do zasadniczych faktów. Dodatkowym potwierdzeniem staną się informacje dotyczące późniejszych wypadków.

Po tym jak Yilla raniony w potyczce pod Guerrero wycofał się w góry, jego liczący stu pięćdziesięciu ludzi oddział zaczął się rozpadać. Przyczyną nie była dezercja. Chodziło raczej o świadome działanie, mające na celu odwrócenie uwagi od miejsca pobytu dowódcy. Przede wszystkim wóz, którym podróżował, po upadku z górskiego zbocza nie nadawał się ani do użytku, ani

do naprawy. Konwój musiał zwolnić. Szesnastu ludzi niosło złożonego na noszach YiUę1, za nimi szli żołnierze, prowadząc swoje konie. Było wyłącznie Icwęstią czasu, kiedy kawaleria Pershinga trafi na ich ślad — na przykład w postaci końskich odchodów. Oddział tej wielkości, poruszający się tak wolno, nie mógł Uczyć na powodzenie ucieczki.

Rozsypali się więc na pięcio-, sześćoosobowe grupki i rozjechali w różnych kierunkach. Zatrzymywani przez patrole Pershinga podawali się za stronników Carranzy. Przed odjazdem uzgodnili, że za dwa miesiące spotkają się w miasteczku San Juan Bautista, w Durango. Tymczasem złożona już tylko z grupki noszowych i trzech jego absolutnie zaufanych przyjaciół eskorta Yilla posuwała się w głąb gór. Kierowali się na południe, mając nadzieję wydostać się poza obszar objęty działaniami Pershinga. Na krótko schodzili w doliny celem uzupełnienia zapasów i dla odpoczynku; raz do hacjendy Cienguita, a później do miasta Sierra del Oro.

Oczywiście na dłuższą taktykę tego rodzaju była nie do przyjęcia. Wiadomo, że rancho i małe miasta będą przeszukiwane przez żołnierzy Pershinga w pierwszej kolejności. W lepszych czasach Yilla zawsze mógł Uczyć na to, że zostanie w porę ostrzeżony i zdąży uciec. Teraz, ranny, nie był w stanie przemieszczać się na tyle szybko, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Rana ciągle nie chciała się goić, ropiała; noga szerniała i spuchła. Yilla gorączkował, cierpiał silne bóle, nie mógł spać, dręczony majakami i strachem przed śmiercią. Przed śmiercią albo utratą nogi. Podobno odór gnijącego ciała był nie do zniesienia. I ranny, i jego przyjaciele lada moment spodziewali się odkryć oznaki gangreny. W tej sytuacji jedynym wyjściem było znalezienie bezpiecznej kryjówki. Ostatecznie postanowiU wrócić w góry. Kryjąc się za dniami,

120

posuwaU się rankami i wieczorami, czasem nocą, aż wysoko wśród skał znaleźli odpowiednią jaskinię.

Dość głęboka, o wejściu osłoniętym krzakami, zapewniała rozległy widok na pustynię, aż po odległe kilkadziesiąt kilometrów sąsiednie pasmo gór. Żołnierze, potrzebni dotąd do dźwigania noszy, teraz rozeszli się małymi grupkami. Yilla został z trójką przyjaciół. Dwaj z nich stale przebywali w jaskini; trzeci zszedł na dół, gdzie rozsiewał pogłoski o śmierci generała. Od czasu do czasu wracał z żywnością i lekami. Noga YiU zaczęła się goić. Przyjaciele robiU mu okłady z Uści opuncji, masowali zesztywniałe mięśnie; stopniowo zaczął stawać, potem kuściykał o lasce.

Nieustannie mieli baczenie na pustynię.

Daty się zgadzają. Znaleźli się w jaskini sześć dni po Guerrero, trzeciego kwietnia. Dwa dni później 13 pułk mijał kryjący ich łańcuch górski. Jeden z towarzyszy YiU opowie później, że wkrótce po zainstalowaniu się w kryjówce widzieU w dole kolumnę wojska, od której odłączyła się grupa zwiadowców. Dwaj z nich zatrzymali się w pobliżu niewielkiego wzniesienia i strzelali do czegoś, co z daleka wyglądało na jakieś zwierzę.

Co do konia, Calendar nie miał racji. Nie należał do ludzi YiU, chociaż sztuczka z pozostawieniem w pobliżu wodopoju oślepiętego konia była jednym z jego chwytów. Nie wiadomo dokładnie, kto porzucił to zwierzę, chociaż w jednym Calendar się nie pomył — byU obserwowani. Niemniej nie

miało sensu organizowanie pułapki w pobliżu źródła. Jednym z powodów, dla których Yilla wybrał tę właśnie a nie inną jaskinię było to, że tuż obok płynął strumyk. Jego ludzie wcale nie musiały jeździć po wodę na pustynię. Mogli spokojnie obserwować przeciągający dołem oddział, dopóki nie zniknął im z oczu. Yilla ćwiczył zdrowiejącą nogę; niemal od nowa musiał uczyć się chodzić. Po tygodniu zimno i wilgoć jaskini dały mu się mocno we znaki, toteż postanowiono zejść niżej, w cieplejsze okolice. W rezultacie po raz kolejny przecięły się drogi Yilla i 13 pułku kawalerii z Columbus. To spotkanie, dla Yilla pozbawione znaczenia, dla Prentice'a i Calendara miało daleko idące konsekwencje.

TRZY

63

W obozie pojawiły się trzy prostytutki. Przyszły już po zmierzchu i wartownik o mało ich nie zastrzelił, nim zorientował się, kto zacz. Były to Meksykanki, w typie raczej kreolskim niż indiańskim, trzydzieści pięć do pięćdziesięciu lat, tęgie, o tępych twarzach i obwisłych piersiach; ich długie, tłuste, zaplecione w warkocze włosy pokryte były kurzem. Towarzyszył im wysoki, chudy alfons z wyskubanym wąsikiem. O numer za mały garnitur miał przykrótkie rękawy, zapięta pod szyję marynarka zdawała się pękać na jego wątłej piersi. Spod brody sterczała zawiązana na kokardkę wstążka, a z ostatniej dziurki od guzika zwisał łańcuszek ze sfatygowanym zegarkiem. Z kapeluszem w dłoni, cały w uśmiechach, podszedł do wartownika i wskazując na kobiety coś zawzięcie tłumaczył. Żołnierz uniósł broń i kazał im się zatrzymać. Padający zza jego pleców blask obozowych ognisk dobrze oświetlał całą czwórkę; wartownik nie mógł oderwać od nich oczu. Alfons miał wygląd przedsiębiorcy pogrzebowego, kobiety zaś, gdy tak stały rozglądając się głupkowato, w swych workowatych kretonowych sukienkach, obwieszone jaskrawymi paciorkami, zdawały się niczym nie różnić od zwykłych wieśniaczek. Wartownik pokręcił głową i na wszelki wypadek wezwał posiłki.

Najpierw zjawili się dwaj żołnierze, potem sierżant. Ten natychmiast zorientował się w sytuacji. Odnalazł wzrokiem majora, który najwyraźniej starał się nie patrzeć w tę stronę. Pomyślał, że dowódca także rozumie w czym rzecz, i podjął decyzję. Ludziom brakowało tego, to pewne. Coraz więcej było gwałtów o kobietach, co rusz wybuchały bójki. Żołnierze gapili się na spotkane po drodze wieśniaczki. Te albo uciekały w popłochu, albo podciągały spódnice i obsypywały się piaskiem, chcąc umknąć pewnego, ich zdaniem, gwałtu. Mężczyźni, dotknięci takim zachowaniem, kłeli. Może i nie upadli

125

jeszcze tak nisko, żeby szukać okazji do gwałtu, ale wiedzieli, że gdyby nie politycy i zakaz spoufalania się z miejscowymi, w każdej napotkanej wiosce mogliby zakosztować kobiet i alkoholu. Nuda i brak rozrywek sprawiły, że nastroje bliskie były punktu wrzenia. A tymczasem tu, mówiąc bez ogródek, pojawiła się okazja pofolgowania sobie. W zasadzie nie było powodu, by ludziom popuszczać. Z drugiej strony sierżant sam miał już powyżej uszu tego życia — ? Przy zachowaniu pewnej ostrożności, przynajmniej dopóki major skłonny był udawać, że nic nie widzi, nic złego nie powinno z tego wynikać.

— Tam, między tymi głazami — oznajmił sierżant, zwracając się do alfonsa. — Zapłata nie wyższa niż pięć pesos albo trochę żywności. Przez cały czas będzie z wami uzbrojony wartownik.

Alfons, uśmiechnięty od ucha do ucha, gotów był kłaniać się w pas. Podbiegł do swoich kobiet i zagadał coś, wskazując krąg głazów. Wzruszyły ramionami i poczłapały w tamtym kierunku.

Sierżant odwrócił się i zdębiał. Tam gdzie przed chwilą stało trzech żołnierzy, teraz było ich piętnastu. Uśmiechnął się pod nosem; wobec tak nadmiernego entuzjazmu musiał ich trochę podkręcić.

— Idźcie po broń — powiedział. — Będziecie stać na straży. Nie sprzeciwiali się. Wręcz przeciwnie; pobiegli bez szemrania,

nawet ochoczo. To zastanowiło sierżanta. Dopiero po chwili zrozumiał. Mieli nadzieję, że sobie popatrzą. Kiedy wrócili, odezwał się.

—• Nie chcę tu żadnego widowiska. Część stanie na straży, a reszta będzie trzymać wartę dokoła.

Mimo to poszli za nim posłusznie, zadowoleni, że będą mieli okazję choć rzucić okiem. Żołnierzy przybywało i sierżant musiał kazać im się rozejść. Jeśli major świadomie przymknął oczy na to, co działo się w obozie, nie miało sensu nadużywać jego cierpliwości. Lepiej działać po cichutku i nie robić zamieszania, bo w przeciwnym wypadku dowódca może dojść do wniosku, że jego udawanie zanadto trąci farsą i położy kres całej sprawie.

Brzmiało to rozsądnie. Odpowiednie instrukcje szybko rozeszły się po obozie. Niebawem zakończono ciągnięcie losów; ludzie siedzieli przy swoich posłaniach, udawali zajętych, czyścili broń, czekali na swoją kolej.

Kobiety poszły między skały, podciągnęły spódnice i jedna przy drugiej rozłożyły się na ziemi. Żołnierze chodzili tam po trzech; rozpinali spodnie, klękali i włączili na nie. Prentice napotkał w ciemności Calendarę.

— Idzie pan?

Stary siedział oparty o skałę. Teraz podniósł oczy, spojrział na chłopca i pokręcił głową.

126

papu

Stary łąż, a

twy już mnie nie obchodzą. — Trzasnął zapalką, przypalił A poza tym po co mi mendy czy ciekący kutas, przystanął.

pan?

myślę. Wiem. Masz z tym problem, to załatw go sam. — lał się. — Tylko pamiętaj umyć ręce. Siadaj, nigdzie nie t Jzisz sobie kłopotów.

Pr&MJbe spojrział na grupkę skał, za którymi skryły się prostytutki, potenr w starego, wzruszył ramionami i usiadł przy nim.

Nit «fcazywał tego, ale czuł ulgę. Raz tylko miał do czynienia z kobjeti, a i wtedy nie była to właściwie kobieta, tylko dziewczyna. Podobnie jak on miała szesnaście lat, a wszystko stało się trochę przypadkowo. Mocowali się dla zabawy, potem zaczęli się całować, ciąg był łatwy do przewidzenia. Skończył, zanim naprawdę '* ona zwymyślała go od ostatnich.

ae to w Ohio, niedaleko farmy jego ojca. Był tak speszony, a prarfj dziewczynie kręciło się tyłu innych chłopców, że więcej nie próbował się do niej zbliżyć. A zresztą nie miał kiedy. Wkrótce potem zaczęły się kłopoty z ojcem.

Matka nie żyła już od roku. Ojciec robił co mógł, by jakoś żyć bez niej; prowadzić gospodarstwo. Bardzo podupadł na zdrowiu. Dodatkowo wykańczało go użeranie się z władzami miasta, które próbowały zagarnąć jego ziemię. Któregoś dnia, jadąc pod górę wozem załado-w*9\$m kamieniami, skręcił zbyt gwałtownie; wóz przechylił się, ojciec spadł, z* skrzyni posypały się kamienie i zmiażdżyły go.

Prentice nie dowiedział się wtedy, co stało się naprawdę. Oczywiście, stani&zek powinien uważać i nie skręcać tak ostro. W stanie, w jakim się ostatnio znajdował, mógł po prostu nie myśleć. A może było mu zwyczajnie wszystko jedno. Prentice nie miał pojęcia. Widział, jak chowają ojca, jak miasto zabiera ziemię. Nie dbał o to. Tyle tu się zdarzyło; zginął ojciec, zmarła matka, jego dwaj mali bracia. I tak nie zoitałby w tym miejscu. Przyjął pieniądze oferowane przez władze miejkie — znacznie mniej, niż wynosiła wartość ziemi — i przez jakiś czat;; wałęsał się bez celu, zastanawiając się, co robić. Ostatecznie pieniądze złożył w banku, a sam wylądował tutaj, na tej pustyni. , Dlaczego dokonał takiego wyboru? Chciał wierzyć, że kierowała nim żądza przygód. I niewątpliwie tak było. Do tego jeszcze szansa ntiki, obietnica przynależenia do czegoś, możliwość podróży, zobacze-aia nowych rzeczy, potrzeba ładu. Podejrzewał jednak, że przede wszystkim chciał uciec jak najdalej od życia, jakie prowadził ojciec. Miał to być rodzaj pokuty' Czuł się winny: powinien był zostać

127

i walczyć o swoją ziemię. Najśmieszniejsze, że spodziewał się trafić do Europy, a tymczasem był w Meksyku. Tak czy inaczej, nie wiedział, dlaczego skłamał przedtem Calendarowi, mówiąc, że ojciec żyje i mieszka w tym mieście, w Ohio.

Nie wyobrażał też sobie, jak by się czuł, gdyby poszedł tam, do tych kobiet. Jak by to robił, pod okiem gapiących się na niego wartowników. Fizycznie nie był to żaden problem; na szlaku, z nudów, nieraz myślał o kobietach. Ale ten brak prywatności, ci ludzie dokoła, brudna, spocona skóra, kurz, poplamione ubrania, sperma innych mężczyzn — wszystko to odpychało go strasznie. Jedyne, co go tam ciągnęło, to abstrakcyjna potrzeba kobiety i wzgląd na opinię kolegów, którzy uważali za oczywiste, że zechce skorzystać z okazji.

Był zadowolony, że nie musi iść do tych kobiet i może sobie posiedzieć z Calendarem i poobserwować ruch w obozie — jedni żołnierze wracali, inni czekali na swoją kolej. Ulżyło mu, że nie będzie musiał iść między te skały, że to go nie dotyczy. Nie słyszał nawet, że stary coś do niego mówi.

Odwrócił głowę.

— A tak — rzekł stary. Chłopiec nie rozumiał.

— To już jutro.

— Nie dostyszałem. Co będzie jutro?

— Skończę sześćdziesiąt pięć lat.

Nie zdając sobie z tego sprawy, wytrzeszczył na starego zdziwione oczy.

Tamten przyjrzał mu się uważnie.

— Co jest? Myślisz, że to niemożliwe?

— Nie, tylko...

— Tylko co? Chłopiec pokręcił głową.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Jasne, że nie. Bo i co tu gadać. To nic takiego. Dzień jak co dzień.

— Tak, ale mimo wszystko powinienem złożyć panu jakieś życzenia. To znaczy... zależy jak pan się czuje. Nie wiem, jak to powiedzieć.

— Nie wiesz, jak ja się czuję? — Stary oparł się wygodniej o skałę, zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym. — Ano, pozwól, że tak to ujmę. Nie jestem inny niż dziesięć czy piętnaście lat temu. Boli mnie to i owo, a kiedy pójdę w krzaki, to nie idzie mi już tak łatwo jak kiedyś. Śpię też nie najlepiej. Ale nadal ruszam się nie wolniej niż zwykle, a i umysł jeszcze mnie nie zawodzi. Tak mi się przynajmniej zdaje. Sęk

128

w tym, że takie urodziny nie pozwalają człowiekowi zapomnieć. — Stary umilkł i zapatrzył się w mrok. Po chwili znów spojrzął na chłopca. — Teraz nie mogę udawać, że tego nie widzę. Starzeję się.

Było to najbardziej osobiste wyznanie, jakie Prentice usłyszał z jego ust. Na dobrą sprawę nigdy nie mówił tak długo o sobie. Nawet jeśli uwzględnić ich kłótnię z powodu tamtego Indianina. Wtedy było to nie tyle wgłębianie się w siebie, co wyjaśnienie. Poza tym po raz pierwszy w obecności chłopca

ujawnił swoją słabość. Prentice nie bardzo wiedział, co z tym zrobić; po prostu siedział i słuchał.

— Jak chcesz, to opowiem ci pewną historię.

Chłopiec skinął głową, zadowolony, że nie będzie musiał nic mówić.

— Jeśli ma pan ochotę.

— Dlaczego nie. To o urodzinach. Byłeś kiedyś w Wyoming?

— Tylko w Ohio i potem tutaj. Przejazdem w Nowym Jorku i w Teksasie.

— Spodobałoby ci się. Przynajmniej pomocna część. Na południu jest tak jak tu, może trochę lepiej. Skąły, piasek, bylica i trochę ostrej trawy. W sumie jedno wielkie nic. Ale na pomocy jest wspaniale. Przez cały stan, z pomocy na południe, ciągną się góry. Jeśli przybywa się od wschodu, najpierw trzeba przejść pustynię. Docierasz do gór, potem znów pustynia, góry, pustynia i jeszcze raz góry. A każde pasmo jest inne i wszystkie wspaniałe. Nawet nazwy: Bighorn Mountains, Wind River Range, Tetons Range.

Po raz pierwszy trafiłem tam w 1867, na rok przedtem, zanim Wyoming zyskało status terytorium. Był wtedy ze mną pewien mężczyzna i przez jakiś czas pracowaliśmy jako przewodnicy na szlaku. Potem zaczęły się awantury z Indianami i wstąpiliśmy do kawalerii. Ten człowiek zginął... — Calendar przerwał na chwilę i zamyślił się. — W każdym razie odsłużyłem pięć lat, głównie w Colorado, i doszedłem do wniosku, że wystarczy. Znów pojechałem do Wyoming i znów pracowałem na szlaku. Zresztą brałem wtedy każdą robotę i w końcu mi obrzydło. Wróciłem do kawalerii i tym razem zaciągnąłem się jako zwiadowca.

Zdażyłem nieźle poznać Wyoming. Lata siedemdziesiąte to był najgorszy okres, jeśli chodzi o Indian. Pomyślałem, że i tak przyjdzie mi z nimi walczyć, więc niech będzie z tego jakiś pożytek. Zabrało nam to sporo czasu. Mnóstwo potyczek, najczęściej z*Siuksami. Ale do 1880 zrobiliśmy z nimi porządek.

Znów nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Dość miałem wojska. Nie chciało mi się wracać na szlak, chociaż tak się złożyło, że i tym się trochę zajmowałem. Jesienią 1880 podjąłem decyzję. Miałem jeszcze

9 — Ostatnia szuża

129

coś do zrobienia. Nie masz pojęcia, co dzieje się z człowiekiem, kiedy patrzy na te góry. Jak one urzekają. A ja ciągle miałem je przed oczyma. Inna sprawa, że znalazłem się tam pięćdziesiąt lat za późno. Traperka to już nie był interes. Kupiłem sidła, zapas żywności, konia, jucznego muła i wyruszyłem. I cholernie niewiele brakowało, żeby w drodze złapały mnie pierwsze śniegi.

Góry Wind River. Bywałem tam wcześniej, ale zwykle z bydlęm i z całą gromadą ludzi. Jeśli zanosilo się na śnieg, wynosiliśmy się. Tak samo, kiedy trafiłem tam z wojskiem. Szło nas kupa

chłopa i zawsze mogłeś liczyć na czyjąś pomoc. Tym razem było inaczej. Nawet nie przypuszczałem, jak bardzo. Nim załamała się pogoda, zdążyłem postawić chatę z bali. Ale nie pomyślałem już o koniu i o mule. Nie wiem, co sobie wyobrażałem — że będą w stanie wygrzebać sobie trawę spod śniegu? Po prostu nie wiem. W połowie października zaczęło padać. W nocy musiał spaść deszcz, który zmienił się w deszcz ze śniegiem, a potem w śnieg. Rano wyszedłem z -ehaty, a moje zwierzęta były martwe. Nie zamarzyły — aż tak temperatura nie spadła. Ale były tak oblepione lodem, zwłaszcza w nozdrzach i wokół pyska, że chyba się udusiły.

Znalazłem je tam na ziemi, całkowicie niemal przysypane śniegiem, i ogarnęła mnie panika. Musisz pamiętać, że wiedzieć, co robić, kiedy jesteś w gromadzie, a wiedzieć to samo, kiedy nie ma przy tobie nikogo — to cholerna różnica. Gapiłem się na te zdechłe zwierzęta, śnieg padał, wiatr zrywał się coraz silniejszy, a niskie chmury i rosnący mróz zapowiadały śnieżycę. Pomyślałem wtedy, że przyjdzie mi tu umrzeć. Czy to nie dziwne? Tyle przeszedłem, a zwykła śnieżycą tak mnie przeraziła. Naprawdę myślałem, że koniec ze mną. Czułem się tak, jakby próbowano pogrzebać mnie żywcem, a wszystko dlatego, że byłem sam. Gdyby nie to, na pewno widziałbym swoją sytuację zupełnie inaczej. Powiedziałbym „kiepska sprawa”, poszedłbym zrobić sobie kawę i zaczekał, aż minie.

Wtedy jednak myślałem tylko o tym, jak się stamtąd wydostać, jak wrócić na niziny. Wyprawa w góry okazała się pomyłką. Byłem taki pewny siebie, swoich sił, że poszedłem sam, a teraz nie mogłem się doczekać powrotu. Spakowałem trochę jedzenia, ubrałem się najcieplej jak mogłem i poszedłem. O pół dnia drogi od mojej chaty znajdował się szałas myśliwski. Wyliczyłem sobie, że zanim pogoda zepsuje się na dobre, zdołam tam dotrzeć. W szałasie przeczekał noc i rano będę schodził dalej. Widać naprawdę sądziłem, że dam sobie radę z burzą.

Wyruszyłem. Brnąłem w śniegu — ile mogło go być? Trzydzieści centymetrów? Głęboki, ale nie na tyle, żebym nie mógł iść. Schodziłem znanym szlakiem, tym samym, którym szedłem w górę. Był to rodzaj

130

wąwozu, wiosną pewnie koryto strumienia. Śnieg tam był głębszy, wiatr nawiewał zasy, pod którymi chowały się kamienie. Po pewnym czasie musiałem zrezygnować, wyleźć z wąwozu i szukać innej drogi. Z nieba wciąż sypało. Śnieg padał coraz gęstszy, tak że wkrótce nie widziałem dalej niż na kilka kroków. Drzewa i skały niewyraźnie majaczyły w zamieci. Przeszedłem jeszcze kilometr czy dwa, śnieg nadal gęstniał i to już była prawdziwa burza. W końcu biel pochłonęła wszystko. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Prentice pokręcił głową.

— Nie można odróżnić nieba od ziemi. Wszystko się zlewa. Tuman śniegu jest tak gęsty, że nie jesteś w stanie zobaczyć drzewa tuż przed sobą. Nie widzisz nawet własnej ręki. A pamiętaj, że cały czas szedłem pędzony przerażeniem i jeśli wcześniej się bałem, to nie wiem jak nazwać to, co działo się później. To była obłędna trwoga. — Calendar zaśmiał się. — Nie miałem pojęcia, dokąd idę. Wiedziałem, że nie ma mowy o znalezieniu szałasów. Nie sądziłem nawet, bym zdołał trafić do własnej chaty. W każdym razie nie było sensu iść dalej, bo i po co, skoro nie wiedziałem dokąd. A iść, byle iść i czekać, aż zamarznę... W tym momencie coś zaskoczyło w mojej łepetynie i zacząłem

myśleć rozsądnie. Może byłem po prostu zmęczony. Skorzystałem z pierwszego schronienia, na jakie trafiłem. Kilka głązów, pod nimi coś w rodzaju jamy. Wczołgałem się tam, nazgarniałem w wejście śniegu, żeby choć trochę osłonić się od wiatru, i czekałem. Wiedziałem, że nie wolno mi zasnąć i wymyśliłem sobie, że najlepiej podtrzyma działanie organizmu jedzenie. Siedziałem więc i jadłem. Zeżarłem prawie całe swoje zapasy: suszone mięso, suchary, rodzynki. Wszystko co miałem. Tymczasem zasyły rosły, a wiatr przybierał na sile. Mimo wszystko musiałem zasnąć, bo nagle poczułem, że się duszę, i ocknąłem się pod śniegiem, w ciemności. Wygrzebałem się na powierzchnię. Blask słońca na śniegu był niemal oślepiający. Nie wiedziałem, jak długo siedziałem w tej jamie. Co najmniej dzień. Nie wiedziałem, gdzie jestem i jak mam iść po tak głębokim śniegu. Ale nie miałem wątpliwości, że iść muszę. Szałas myśliwski był za daleko. Trzeba było wracać do chaty. Udało mi się rozpoznać zarysy kilku znajomych szczytów i według nich ustalić położenie chaty. Cały dzień przekopywałem się przez zasyły, nim tam dotarłem. Trochę błądziłem, ale znalazłem ją właściwie całkiem łatwo. Problem polegał na tym, żeby przedrzeć się przez ten śnieg.

Ano cóż. Przespałem dwanaście godzin, a kiedy się obudziłem, mogłem powiedzieć, że zrozumiałem kilka rzeczy. Po pierwsze, że byłem durniem, próbując wydostać się stamtąd w taki sposób. Zresztą,

131

co tam wydostać się! Głupotą było przede wszystkim pójście samemu w góry. Nie miałem zielonego pojęcia, na co się porywam. Doszedłem też do wniosku, że jeśli przetrzymałem tę ostatnią wycieczkę, przetrzymam wszystko inne. Zima może okazać się cięższa, niż myślałem, ale jeśli starczy mi oleju w głowie, nie powinno być najgorzej. Miałem mnóstwo jedzenia; zostało w chacie, bo było tego więcej, niż mogłem zabrać. Wiedziałem też, że zawsze coś upoluję, a w razie czego miałem jeszcze mięso z konia i muła, o ile uda mi się je rozmrozić. Tak czy inaczej, moja sytuacja wydawała się nie najgorsza.

Zacząłem więc stawiać sidła. Na początek po kilka, na próbę. Wynajdywałem w pobliżu strumienia i jeziora, z niezbyt grubą warstwą lodu, rąbałem przeręble i zakładałem pułapki, pamiętając, żeby je solidnie zakotwiczyć. Wkrótce znalazłem na śniegu tropy zwierząt i ich nory. Tam też zakładałem sidła; zakładałem w pobliżu zarośli, gdzie krzaki były świeżo ogryzione z kory. Oczywiście, musiałem się dużo uczyć. Wy tłumaczono mi, jak działają sidła, ale od słyszenia o czymś do praktyki — długa droga. Czasem nie zrobiłem czegoś jak trzeba i zwierzę uciekało z przynętą albo łapało się i znikało razem z moim potrzaskiem. Stopniowo jednak nabierałem wprawy, lepiej mocowałem pułapki, wybierałem dla nich lepsze miejsca. Trafiały mi się bobry, lisy, króliki, czasem wilk; od razu obdzierałem je ze skóry. Mięso królików i bobrów szło do garnka, wszystkie skóry zaś wieczorami czyściłem i nacierałem solą. Zanim nadeszły zamiecie, uzbierał się ich całkiem pokaźny stosik.

Z pogodą bywało różnie, ale w chacie miałem ciepło, jedzenia w bród i ciągle coś do roboty. Wstawałem wcześniej, cały dzień spędzałem w górach i wracałem dopiero wieczorem. Jedyne czego naprawdę się bałem, to odmrożenia, bo często musiałem włączyć do wody. Zabierałem jednak zapasowe ubranie, żeby przebrać się, kiedy przemoknę. Spróbowałem chodzić w raketach i jakoś radziłem sobie z głębokim śniegiem. Nie miałem powodu narzekać. Żyło mi się całkiem nieźle.

Do czasu. Co to znaczy zima, dowiedziałem się dopiero wtedy, w górach. Czas mijał i z dnia na

dzień robiło się coraz zimniej, a zaspasy rosły. Miesiąc czy dwa przetrzymałbym bez kłopotu. Ale nadszedł trzeci i czwarty. Potem piąty. Zdawało się, że to się nigdy nie skończy. Pewnego dnia stwierdziłem, że mówię do siebie lub do zwierzęcia, które właśnie obdzierałem ze skóry, albo do drzew. Lód zrobił się taki gruby, że nie byłem już w stanie wyrąbać w nim przerębli. Zresztą z powodu mrozów zwierzęta przestały się pokazywać. Coraz więcej czasu spędzałem w chacie. Wstawałem później, wcześniej chodziłem spać, mniej jadłem, coraz mniej dbałem o to, żeby się wymyć czy

132

człowiek. Bez przerwy gadałem do siebie; wariowałem bez kogoś, do kogo mógłbym się odezwać. Zatoczyłem jakby pełne koło — od początkowej paniki, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem sam, przez okres spokoju, gdy przystosowałem się do warunkom** - po stadium rozmów z samym sobą, bełkotania i ponownie strachu wywołanego dojmującą samotnością.

A potem zdarzyło się coś dziwnego. Przywykłem. Nie wiem, jak do tego doszło. W każdym razie nie było to dziełem mojej woli. Po prostu wszystko stało się jakby mniej ważne, prostsze. Już wcześniej przekonałem się, że niepotrzebne mi żadne wygody. Teraz nie potrzebowałem nawet ludzi. Zauważyłem, że od dłuższego czasu niczego mi nie brakuje. Całymi dniami siedziałem przy ogniu — nogi skrzyżowane, pustka w głowie, nic nie widziałem, o niczym nie myślałem i tylko wsłuchiwałem się w ten jakiś nieuchwytny dźwięk, stale obecny w moich uszach. I to było cudowne. Nigdy nie czułem się tak spokojny, czy może tak czysty. Śniegu uzbierało się wtedy powyżej dachu i żeby wyjść, musiałem kopać tunel do góry. Niewiele jednak wychodziłem. Siedziałem tylko przy ogniu, a cały ten śnieg wokół chaty jakby odgradzał mnie od świata. Myślę, że siedziałbym tam i tak umarł, gdyby nie nadeszła odwilż.

Tego roku przyszła wcześniej. Tak przynajmniej potem słyszałem. Ja sam nie umiałbym powiedzieć, czy jest wcześniej, czy później. Doszło do tego, że nie wiedziałem, jaki jest dzień, jaki miesiąc. Nic. Tak czy owak była wczesna odwilż i to sprowadziło mnie na ziemię. Wracałem powoli, z ociąganiem. Naprawdę nie chciałem znów zacząć myśleć. Ale ten powrót do świata także odbywał się jakby bez uwzględniania mojej woli.

Chata była zalana wodą i zawałona futrami. Miałem ich zbyt dużo. Żeby wszystko zabrać na dół, musiałbym ciągnąć je na włóku. Niemniej była to moja zdobycz i wydawało mi się, że zgrzeszyłbym wobec tych zwierząt, gdybym ją zostawił. Spakowałem więc swoje rzeczy, załadowałem futra na włók i poszedłem. Trochę to trwało, nim dotarłem do szałas, bo śnieg był bardzo głęboki. Zastałem tam dwójkę kowbojów i ledwie zdołałem się z nimi porozumieć. Zresztą, do diabła, oni sami nie wiedzieli, jak do mnie gadać. Raz tylko na mnie spojrzeli i nie wiedzieli, co o kimś takim myśleć. Ale opowiedzieli mi nowiny. O kolei. O zimie na równinach. Nie chciałem ich słuchać. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Dowiedziałem się, jaki jest dzień i miesiąc, ale tego też nie chciałem wiedzieć. Byłem tam tylko z powodu tego szałas i chociaż proponowali mi pomoc, odpowiedziałem: nie, i czym prędzej ruszyłem dalej.

133

Dotarcie do najbliższego miasta zajęło mi kilka tygodni. Znow się ochłodziło; rozmiękła ziemia na

powrót zamarzała i już nie było tak jak w mojej chacie. Zauważyłem, że znów się rozłazę, mięknę w środku, że myślę o wygodach i właściwie cieszę się na myśl o rozmowie z ludźmi. Schodziłem z gór i z ostatniego już wzniesienia spojrziałem w dół, na miasto. Śnieg na zboczach nikł, u wejścia do doliny pojawiły się skały, pozbawiona liści zeszłoroczna bylica, zeschnięta trawa. A przy tym coś nie dawało mi ciągle spokoju. Coś tkwiło jak zadra w podświadomości i było związane jakoś z tymi kowbojami oraz datą, którą mi podali. Wreszcie do tego doszedłem. Powiedzieli, że jest drugi kwiecień. Od tej pory minęło kilka tygodni i gdzieś w tym czasie, dziewiątego kwietnia, były moje urodziny. Nie do wiary. Odpłynąłem tak daleko, że całkiem o tym zapomniałem. Pomyślałem, że warto byłoby się pośpieszyć i trochę poświętować.

A jednak coś mnie powstrzymało. Do dzisiaj nie wiem, «o to było. Miało to jakiś związek z tym, jak wspaniale czułem się lam, w górach. Z tantym poczuciem niezależności oraz tym, że dałem radę zimie. Dziś nie jestem pewien. Wtedy jednak byłem pewien, i to jak mało czego na świecie, że jeszcze nie zejść do miasta. Że jeśli mam obchodzić urodziny, to tu, gdzie żyłem tak długo, że niemal od zawsze. I zostałem. Opadły ze mnie myśli o gorącym posiłku, kąpieli, łóżku, o fryzjerze. Znów czułem się czysty, choć twarz mnie swędziała, a na ciele miałem pełno czyraków. O tym też zapomniałem. Ułożyłem się do snu między swoimi futrami, a rano obudziłem się i zdecydowałem, że dziś będą moje urodziny. A potem, zupełnie bezwiednie przybrałem tamtą pozycję i skrzyżowałem nogi. Po chwili powrócił tamten dźwięk. W dole, w zasięgu mojego wzroku, znajdowało się miasto, aleja o tym nie wiedziałem. A w każdym razie było mi to obojętne. Wyszedłem z tego stanu, ale dopiero dwa dni później. Dotarłem do miasta, wywołując swoim wyglądem sporą sensację. Sprzedałem skóry, najadłem się, wykapałem i kupiłem nowe ubranie. Spać położyłem się w prawdziwym łóżku. I wkrótce byłem słaby i zepsuty jak zawsze.

Ale to nie jest takie ważne. Ważne, że miałem to, że poznałem ten stan i chociaż później nieraz doznawałem czegoś podobnego, nigdy nie było już tak samo. Nigdy, więcej nie byłem w tamtych górach; zresztą i one nie były już takie same. Często jednak przypominam sobie tamtą zimę, a zwłaszcza dzień, kiedy udawałem, że są moje urodziny, i myślę, że były to najlepsze chwile mojego życia. Wiosna roku 1881, kiedy miałem trzydzieści lat.

Stary mówił wpatrzony w ciemność i dopiero teraz odwrócił się ku chłopcu. Prentice nie zrozumiał jego opowieści. Czuł jednak, że to

134

wsPon4HiMbst dla starego ważne i nie wiedział, co powiedzieć. Jeśli urodziny były najlepsze, to jutrzejsze według wszelkiego prawdopodobieństwa okażą się jednymi z najgorszych. Prentice nie w^dział, mógłby temu zaradzić. Chciał staremu powiedzieć, żeby się nieJHlitwił że przed nim jeszcze wiele dobrych lat, ale zdawał sobie iJBŁf* że to nieprawda. Calendar nie miał przed sobą ani dhigtgipeja, ani takiego, jakiego pragnął. Jego ciało nie wytrzyma długóBJBjiJóich warunkach. Rok. Pięć lat. Bardzo szybko będzie do niczegjfcpi on nie mógł mu przeciw tego wszystkiego powiedzieć. SiedzMMfc w milczeniu, spoglądając na Calendar, który, pogrążony we wilffoch myślach, znów zapatrzył się w ciemność. Prentice wyczuł, że o\$flieie;o wyrósł niespodziewanie jakiś cień.

ie cię szukałem — usłyszał i nastrój chwili uleciał, i uniósł wzrok na stojącego nad nim żołnierza,

jest?

to, co jest? Twoja kolej, to. Możesz iść za mnie.

ty! Chyba żartujesz, ożliwe, ale możesz iść. ;teś pewien? iec skinął głową. Ano, czemu nie.

ierz odszedł. Prentice nawet za nim nie spojrział. Wrócił do starego, ale już było za późno. Twarz Calendarę się. Zniknęła z niej niecodzienna otwartość. Szansa na dalszą przepadła. Tak więc milczeli, teraz już obaj zapatrzeni "Żołnierze kursowali do skał i z powrotem, inni jeszcze czekali, później było ich tylko kilku, wreszcie wszyscy poszli spać. spostrzegł, że oczy starego zamknęły się. Zasnął, pomyślał, cicho, podniósł koc i okrył go ostrożnie.

-I 64

zaczął pić toż po wschodzie słońca. Tak przynajmniej °brazął-

Pttfttice to sobie później W°brazął- On sam obudził się nieco później. OtfWtdara już nie bytetó
Chłopiec zastanawiał się nad prezentem

u ne y zasanawa ę na prezen

wym dla niego. Wreszcie zdecydował się. Poszedł do swoich wyjął niewielką, <wiwętą w płótno paczuszkę i z namysłem lądał się jej przez <€towilf- Potem wyruszył na poszukiwanie starego.

135

Znalazł go na drugim krańcu obozu, przy wozach komuchów. Ludzie już nie spali. Szykowali śniadanie, pakowali sprzęt, opatrywali konie. Calendar skończył właśnie karmić i poić swojego, kiedy spostrzegł nadchodzącego chłopca.

— Dzień dobry.

Stary nie odpowiedział. Był umyty i ogolony — po raz pierwszy od wielu dni. Włożył czystą koszulę i spodnie, włosy miał porządnie uczesane, kapelusz trzymał w dłoni. Nigdy dotąd nie wyglądał tak dobrze, tak młodo. Oparł się o burtę wozu, wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Prentice wyciągnął ku niemu rękę z paczuszką.

— Nie będzie z tego wielkiego pożytku, ale to najlepsze, co mam. Stary początkowo nie zrozumiał. Potem twarz mu się zmieniła,

wyprostował się, zmarszczył czoło w wyrazie ni to troski, ni zaskoczenia. Prentice złożył paczuszkę w jego dłoni.

— Nie wiem, co powiedzieć — bąknął stary, trzymając ostrożnie pakiecik. J.

— Nie trzeba nic mówić. Niech pan to rozpakuje.

Stary przez moment stał nieruchomo, wreszcie skinął głową. Jeszcze przez chwilę jakby się wahał, po czym zsunął sznurek, rozwinął płótno i jego oczom ukazał się błyszczący, złoty kieszonkowy zegarek.

Przyglądał mu się skamieniały, nawet nie mrugnął.

Prentice poczuł nagle, że jest zdenerwowany.

— To prezent od mojego ojca — powiedział szybko. — Napis chyba będzie pasował.

Stary oderwał oczy od twarzy chłopca; zegarek ginał w jego wielkiej dłoni. Otworzył kopertę — miło pstryknęły zatrzaski. Prentice myślał o słowach, które stary teraz czyta i o tym, jak on sam czuł się tego dnia, gdy dostał zegarek: „W dniu urodzin z wyrazami miłości”.

Stary podniósł wzrok znad zegarka.

— No, to wszystkiego najlepszego.

— Dzięki. — Stary skinął głową. Podali sobie ręce i właśnie wtedy Prentice poczuł ten zapach.

Właściwie to czuł go wcześniej, ale myślał, że to coś innego, jakby zaparzony obrok. Teraz nie miał już wątpliwości. W pierwszym odruchu chciał to jakoś skomentować, ale powstrzymał się.

— Pił pan coś? — wyrwało mu się jednak. Stary spojrzał na niego.

— To tylko odrobina płynu po goleniu. Prentice pokręcił głową.

— No to co? Świątuję.

136

— Nie mam pojęcia, skąd pan to wytrzasnął.

— Och, są sposoby. Zawsze się znajdzie, jak człowiek wie, gdzie szukać. Nie mów, że też chcesz kropelkę.

— Nie. Mój ojciec nie pił i ja też nie piję.

— Zasady czy coś w tym rodzaju?

— Coś w tym rodzaju.

— Nooo, to niedobrze. Nie, wróc. To dobrze. Więcej zostanie dla mnie.

Prentice znów pokręcił głową.

— Przecież nie brałeś mnie za abstynenta.

— Nie. Chyba wiedziałem, że pan pije. •—• Więc o co chodzi? O tę wczesną porę?

— Pewnie tak.

— Ano, zobaczymy ciebie, jak będziesz miał sześćdziesiąt pięć lat. Czy sam nie będziesz miał ochoty się napić.

-:;,"*- To żadne usprawiedliwienie.

— Chłopie, co ty wygadujesz. Nie chodzi o szukanie usprawiedliwienia. Rzecz w tym, żeby się zabawić. Nie bądź taki tępy. Wczoraj wieczorem wybierałeś się do tych dziewczynek, a dziś nie podoba ci się, że wypilem. Jest w tym pewna sprzeczność.

— Wczoraj to było co innego. Zresztą nie poszedłem.

— Ale niewiele brakowało. Tobie nie chodzi o gorzałę, ale o mnie. Twój ojciec nie pił, toteż uważasz, że i ja nie powinienem. Otóż muszę ci coś zakomunikować. Nie jestem twoim ojcem.

A więc stało się. Zwykła, przyjemna pogawędka, z różnych przyczyn, a trochę za sprawą przypadku, zmieniła się w kolejną kłótnię. » Po tym, co stary powiedział, nie było szans na dalszą rozmowę. To był rodzaj ultimatum, coś jak policzek i chłopiec mógł albo odejść, albo próbować wszystko odwrócić.

Czuł się zrozpaczony i nieszczęśliwy.

— Hej, przecież nie o to mi chodzi. Po prostu chciałem złożyć panu życzenia.

Stary patrzył na niego bez słowa.

— Naprawdę. Co mnie obchodzi pańskie picie. To znaczy, co to zmienia? W sumie — głupstwo. Zaczniemy jeszcze raz. Wszystkiego najlepszego.

Stary przyglądał się chłopcu i stopniowo rozluźniał się. Wzruszył ramionami.

— Chyba masz rację.

— Przepraszam. Moja wina.

— Nie. Robię się zawzięty. To oznaka starości.

Prentice uśmiechnął się. Wiedział, że nie powinien, ale nie mógł się powstrzymać.

Więc stary też się uśmiechnął.

— Myślę, że najlepiej o tym zapomnieć. Znow wszystko było w porządku.

Calendar spojrzął na trzymany w dłoni zegarek.

— A co do zegarka... Jestem ci bardzo wdzięczny. Miałaś rację, nie będzie z niego wielkiego pożytku, ale i tak jestem ci wdzięczny. Będę go nosił tak, jakbym go używał. Nawet więcej: to będzie mój skarb. Nie przypominam sobie prezentu, który sprawił mi większą przyjemność. Dziękuję.

Teraz na pewno wszystko było w porządku. Prentice mógł tylko uśmiechnąć się, pokiwać głową i starać się nie okazać wzruszenia.

W obozie ogarniętym przedmarszową krzątanią podniósł się gwar, tak że obaj spojrzeli w tamtą stronę. ->

— Mój Boże! — zawołał Prentice — nie zdążyłem nawet nakarmić konia. — Podniósł ręce gestem wyrażającym pośpiech, pokręcił głową, uśmiechnął się i pobiegł. Gonił za nim śmiech starego.

65

Sytuacja była paskudna. Z takich czy innych powodów — przygnębiony urodzinami, zdecydowany nie ulec perswazji chłopca czy też po prostu dlatego, że to lubił — stary pił do południa.

Niemniej trzymał się całkiem dobrze. Przez ten czas pokonali ponad trzydzieści kilometrów pustyni. Jechali wolno; zwiadowcy rozsypali się w poszukiwaniu śladów. Calendar wrócił z patrolu, chwilę rozmawiał z majorem, po czym podjechał do chłopca.

— Może byś pojechał ze mną? Przypilnować, żebym nie spadł z konia — powiedział cicho, nie chcąc, by ktoś inny to usłyszał.

Prentice spojrzął na niego. Stary wyglądał zupełnie normalnie. Jechał wyprostowany, poruszał się sprawnie, spokojnie. Może trochę zbyt wolno. Przyglądając mu się uważniej spostrzegł, że twarz ma zaczerwienioną, wzrok nieco błędny, a dłonie zaciska kurczowo na łąku siodła. Szkarłat na twarzy mógł być rezultatem długiej jazdy w słońcu. Reszta to może zmęczenie i upał. Mówił jednak podejrzanie ostrożnie, oddech miał przyśpieszony, a sposób, w jaki prostował się w siodle, był jakby nieco wymuszony. Wszystko razem, zwłaszcza jeśli wiedziało się, że popijał, nie pozostawiało żadnych wątpliwości — był pijany.

Prentice pokręcił głową.

138

— Rany boskie!

— O co chodzi? Rusz się, pooglądamy sobie krajobrazy.

Tym razem Prentice nawet nie próbował się ościagać, chociaż wolałby wcale nie jechać. Po raz drugi okłamał starego mówiąc, że ojciec był człowiekiem z zasadami i abstynentem. Jedno i drugie było nieprawdą. Ojciec nie dbał o nic i ostro popijał. Przynajmniej pod koniec. Śmierć żony i utarczki z władzami miasta sprawiły, że z dnia na dzień pił coraz więcej i w końcu prawie nie trzeźwiał. To właśnie go zabiło, a nie kamienie, chociaż to one połamaly mu kości. Tego dnia też był pijany. Pewnie dlatego wjeżdżał pod górę na skos, a nie prosto, jak powinien; nie wiedział, co robi. I dlatego spadł, nie zeskoczył, i nie odtoczył się od wozu, tylko leżał tam, aż przywaliły go głązy. Pod koniec życia zrobił się niezdolny. Nie tyle nawet niezdolny, co rozlazły. Chciał, żeby mu we wszystkim dogadzać, żądał ciągłej opieki. Prentice musiał pracować za nich obu, gotować ojcu, prać mu ubrania i pijanego kłaść do łóżka. Początkowo uważał to za swoją powinność, później obowiązek; na koniec została tylko codzienna katorga. I po tym wszystkim ojciec poszedł i zabił się w taki głupi sposób. Prentice był zły i trochę smutny.

Teraz czuł się podobnie. Stary, sztywno wyprostowany, jechał przodem, a on włókł się kilka metrów za nim. Poza tym był zawiedziony. Pamiętał, co Calendar mówił o samokontroli, i przykro mu było, kiedy zobaczył, że on sam nie panuje nad sobą. Prentice doszedł do wniosku, że dość często postępowanie starego przeczyło jego słowom. Choćby sprawa z Indianinem czy zachowania, co do których chłopiec nie był nawet pewien, czy zasługują na potępienie; na przykład ciągłe pouczanie wszystkich dookoła bądź przekonanie starego, że Prentice poleci za nim na każde wezwanie, wreszcie jego miny i pozy. Może się mylił, ale zaczynał podejrzewać, że to, co początkowo brał za powszechny szacunek dla Calendar, było tylko pobłażliwością, a nawet drwiną. Kto wie, czy stary nie jest po prostu błaznem. Ta myśl wprawiła chłopca w nagłe zażenowanie.

Czuł się tak nieswojo, że zupełnie stracił ochotę na tę przejażdżkę. Nie miał chęci na kolejne kłótnie ze starym. Najchętniej zabrałby się stąd do diabła. Wyobrażał sobie, co mówią inni żołnierze, widząc, jak oddalają się obaj w dół piaszczystego stoku. Stary sięgnął do torby przy siodle, wyjął w trzech czwartych opróżnioną butelkę whisky i napił się.

— Ruszaj się. Ci się z tobą, do diabła, dzieje?

Chłopiec celowo zostawał z tyłu. Jakby odcinał się od starego. Z drugiej strony nie było sensu wszczynać nowej kłótni. Co to da? Jakoś przetrzyma. Niech stary robi, co chce. I tak się od niego nie

139

odczepi. Przy najbliższej okazji wróci do oddziału i postara się trzymać od niego z daleka. A na razie trzeba to ciągnąć. Nie należy kierować się emocjami.

Podjechał więc bliżej i kiedy stary wydobył butelkę i pociągnął następny łyk — udał, że nic go to nie obchodzi. Po chwili Calendar zaczął mówić. Prentice starał się robić wrażenie niezainteresowanego, ale stary znów wrócił do dawnych czasów i chłopiec mimo wysiłków, by zachować obojętność, znalazł się pod urokiem opowieści.

Dodge City, Kansas, rok 1884. Po długiej zimie spędzonej w górach Calendar przeniósł się na południe. Najmował się jako przewodnik na szlaku i tak dotarł do krainy bydła. Abilene, Ellsworth, Wichita i Dodge. Każde z tych miast — ośrodków hodowli bydła miało swój okres świetności, a

potem traciło na znaczeniu na rzecz innego. Osiemdziesiąty czwarty, to było rok przed wprowadzeniem zakazu urządzania spędów w Kansas. Wtedy jednak nikt się tego nie spodziewał i, wbrew oczywistej woli mieszkańców, Dodge było miastem otwartym. Biegnąca ze wschodu na zachód linia kolejowa dzieliła je na dwie części — w jednej żyli porządni obywatele, w drugiej przeważały bary, hotele, szulernie i domy publiczne.

— W sumie te miejsca niczym się nie różniły. Wszędzie mogłeś dostać to samo. Na każdym kroku gorzała, karty i dziewczynki. I oczywiście mordobicia i strzelanina. Nic z tych rzeczy, o jakich czytałeś w książkach. Żadnego wychodzenia na ulicę i wyciągania rewolwerów. Strzelało się w plecy albo bez uprzedzenia. Facet otwierał drzwi i ktoś strzelał mu w twarz. Pamiętam, że najbardziej podobało mi się w „Gold Room”. Był to budynek w kształcie litery „A”. Następna przecznica za Long Branch. Słońce świeciło przez szpary w ścianach, ale na tyłach mieli tam lodownię i obok były najlepsze pokoje. Oczywiście, żeby dostać taki pokój, trzeba było wziąć dziewczynkę. W ten sposób miejscowy alfons chciał prześcignąć konkurencję. Ale w upalne dni warto było zapłacić za pokój, gdzie człowiek mógł zasnąć. Dziewczynki to osobny rozdział. Pamiętam, jak jeden myśliwy opowiadał mi, że gdy wszedł kiedyś do baru, zobaczył, jak jakiś facet wyciągnął rewolwer, przyłożył innemu lufę do ucha i rozwalil mu głowę. Dziewczyna, siedząca na stole z nogą założoną na nogę, zeskoczyła, umoczyła ręce we krwi, której pełno było na podłodze i wrzeszcząc: „kukuryku!” zaczęła podskakiwać i klaskać w dłonie. Cała ochlapała się na czerwono. Myśliwy powiedział, że kiedy to ujrzał, zrobił w tył zwrot i wyjechał z miasta. Nietrudno zrozumieć, dlaczego stali mieszkańcy ciągle narzekali. Zarabiali wprawdzie mnóstwo pieniędzy, ale we własnym mieście bali się wyjść na ulicę. W porze spędów to

140

siedmiotysięczne miasto musiało pomieścić dwa razy więcej ludzi. Nie mówiąc już o bydłe. W ciągu kilku miesięcy przez Dodge przechodziło blisko sto tysięcy sztuk bydła. Możesz sobie wyobrazić ten rejwach, tłumy poganiaczy, kłopoty, jakie ci ludzie sprawiali porządnym obywatelom. Próbowano wprowadzić zakaz posiadania broni. Ograniczyć godziny otwarcia barów. Zatrudniono sławnych szeryfów, uchwalono wysokie grzywny. Wszystko na próżno. No więc na koniec przepchnęli prawo całkowitego zakazu spędów bydła. Oczywiście, do tego czasu wszyscy ci wielcy zniknęli z horyzontu. Earp, Holliday, Masterson mieli własne kłopoty, poza tym dla wszystkich oczywiste były oznaki tego, co miało wkrótce nadejść. Dodge rozwijało się. W osiemdziesiątym czwartym mieli tam nawet tor do jazdy na wrotkach. Zresztą, do diabła z torem! Mieli wodociągi, telefony. Nie dało się to jednak pogodzić z handlem bydłem.

Z kilkoma kowbojami zabrałem się na południe. Na jakiś czas zaczepiłem się w Teksasie. W osiemdziesiątym piątym dotarłem do El Paso. Miałem tam swój ulubiony bar. „Gem Saloon”. Pewnej nocy kilku facetów urządziło w nim pierwszorzędną strzelaninę. Jedyne raz widziałem wtedy prawdziwy pojedynek rewolwerowy. Był przy tym Wyatt Earp. Jego też widziałem po raz pierwszy i jedyne. Odegrał ważną rolę w tej historii, ale nie taką, jak pewnie ci się zdaje. Otóż siedziałem sobie przy stoliku, kiedy weszli dwaj faceci i zaczęli tankować przy barze. Zresztą dużo nie potrzebowali, bo przyszli już dobrze pijani. Przedtem mieli jakiś zatarg z przyjezdnym, który napatoczył im się na ulicy. Pryszał i teraz go szukali. Nie bardzo mogli się dogadać z właścicielem, który nie chciał im dawać whisky na kredyt. Potem przyczepili się do gościa, który trzymał bank przy stoliku do faraona.

Że niby gapił się na nich. Ostatecznie rozdzielili się. Jeden poszedł do innego baru, a drugi został i dalej szukał guza. Była tam taka scena z panienkami, które można było oglądać z sali. Ten facet wlaź w końcu na to podwyższenie, wyciągnął rewolwer i wrzeszczy: „Gdzie jest skurwiel, co tu dziś przyjechał?” Ze swojego miejsca miałem dobry widok — żołnierze pochowali się pod stoły, cywile zaczęli uciekać, muzyka ucichła, dziewczyny, co tam tańczyły, rozbiegły się na boki, a ten stał z bronią w garści, dopóki się nie przekonał, że człowieka, którego szuka, nie ma w barze. Wtedy schował rewolwer, zdjął kapelusz i uklonił się: „Przepraszam państwa. Proszę o wybaczenie”. Zaśmiał się i zszedł ze sceny. >

Wtedy właśnie zobaczył Earpa. Były szeryf Dodge City siedział w łoży i ten facet go rozpoznał. Ja sam nawet nie wiedziałem, że Earp jest na sali. Nikt nie wiedział, ale wszyscy szybko się połapali. Tamten podszedł do niego i zaczął go prowokować. Earp przyjechał do El

141

Paso zobaczyć się z przyjacielem i nie miał ochoty na awantury. Po prostu wstał i pokazał, że nie ma broni. Potem usiadł i oświadczył, że nie zamierza walczyć. Nie był specjalnie wysoki, ani nic w tym rodzaju. Miał szczupłą twarz, długie, obwisłe wąsy i gładko przyczesane włosy. Nosił bardzo elegancki garnitur, zauważyłem też dewizkę od zegarka. Nawet nie mrugnął. W życiu nie widziałem takiego twardego spojrzenia. Siedział tylko i patrzył, aż tamten zrozumiał, że lepiej dać spokój i cofnął się.

Trzeba przyznać, że facet był sprytny, chociaż nie wyszło mu to na dobre. Zanim odszedł od łoży, odwrócił się i zobaczył, że jakiś kowboj śmieje się. Szybko się pohamował, ale za późno. Facet wsiadł na niego i chciał go zmusić do walki. Kowboj nie miał jednak broni, więc tamten tylko mu naubliział. W końcu się zmęczył i poszedł do kąta, w którym stał stół bilardowy. Oparł się o ścianę i przyglądał się grającym. Trochę jakby się uspokoił. Kowboj, jak tylko się zorientował, że* tamten nie patrzy w jego stronę, wymamrotał, iż ma tego dość i podszedł do krupiera od faraona. Myślę, że oczekiwał od niego współczucia. W końcu ci faceci zaczęli i jego. Kiedy jednak poprosił o broń, krupier odmówił. Pamiętam, co powiedział: „Nie kłopot — niech idzie”. Zdaje się, że nie znał dobrze angielskiego. Nie był Meksykaninem, raczej pochodził skądś z Europy. W każdym razie kowbojowi to się nie spodobało. Obszedł stolik i zaczął szukać broni. W szufladzie znalazł rewolwer. W tym momencie facet w kącie koło bilardu spojrzał w jego stronę, zobaczył, co się dzieje, i wyskoczył z bronią gotową do strzału. Był jednak pijany, a kowboj znał się na rzeczy. Przyklęknął trzymając rewolwer oburącz i strzelił dwa razy. Celnie — jedna kula trafiła faceta w ramię, druga w brzuch. Obróciły go tak, że jedyny strzał, jaki zdążył oddać, poszedł w stół bilardowy. Wyleciał na zewnątrz i władował się prosto pod przejeżdżający ulicą tramwaj. Słyszałem później, że zmarł. Kowboj rzucił broń i wyszedł tylnymi drzwiami.

No i spokój, pomyśleliśmy. Ludzie wrócili na miejsca i wzięli się do picia. Właściciel zaczął sprzątać. I wtedy wpadł jakiś człowiek z krzykiem, że idzie ten drugi facet, kumpel zabitego. A sęk w tym, że ktoś niedokładnie opowiedział mu, co zaszło w naszym barze. Mianowicie, że to nie kowboj, ale gość od faraona zastrzelił jego przyjaciela. Nie było to niemożliwe, zważywszy, jak się przedtem kłócili. Tak więc wracał, żeby wyrównać rachunki. A krupier? Mówię ci, nie widziałem tak przerażonego człowieka. Przede wszystkim nie znał się na broni. Rewolwer leżał w szufladzie, bo położył go tam właściciel. Krupier wyraźnie nie palił się do żadnej awantury, ale nie miał też

wielkiego wyboru. Ani uciekać, bo facet zwyczajnie go

142

dogoni, ani zostać, bo przyjdzie i zastrzeli. W każdym razie zachował się jak mężczyzna. To trzeba mu przyznać. Złapał rewolwer upuszczony przez kowboja i właśnie zastanawiał się, co dalej, kiedy podszedł do niego Earp. Początkowo myślałem, że weźmie broń i sam rozprawi się z tym facetem. Poczuję coś w rodzaju ulgi. Tymczasem stało się inaczej. Nie wiem dlaczego, ale Earp zaczął przemawiać do krupiera. Do dzisiaj pamiętam każde jego słowo. Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Za jednym zamachem cały kurs posługiwania się rewolwerem. Nie, jak to opisują w książkach, ale tak, jak to wygląda naprawdę. Każde zdanie miało tam swój sens.

„Nie możesz dać mu szansy. On zacznie strzelać, jak tylko wejdzie. Odwiedź kurek, ale nie naciskaj spustu, dopóki nie będziesz pewien celu. Mierz nisko, w brzuch. Rewolwer trochę szarpnie, ale jeśli będziesz trzymał go mocno i zaczekasz, aż facet podejdzie dość blisko, nie możesz chybić. Nie denerwuj się i nie śpiesz”.

Facet pojawił się w drzwiach i Earp szybko się cofnął. Krupier błagał faceta, żeby się zatrzymał, ale tamten nic, podchodził coraz bliżej i strzelał. Widzieliśmy, jak kule uderzają o ścianę. A krupier ścisnął rewolwer i czekał. Rany boskie, czekał tak długo, że aż dziw, jak tamten mógł go nie trafić. A kiedy był niemal na wyciągnięcie ręki, krupier wycelował i strzelił. Dwa razy. Drugi strzał prosto w serce. Nie widziałem lepszego numeru. Krupier podszedł do Earpa, dziękował mu, a Earp tylko siedział i uśmiechał się. Słyszałem potem, że ten krupier opuścił miasto i przystał do kowbojów.

Jechali noga za nogą, stary popijał i opowiadał coraz to nowe historie. Skończył właśnie jedną butelkę, sięgnął do juków i wyjął następną. Pustą wyrzucił. Było to oczywiście niedbalstwo i nieostrożność. Dobrze, że do niej nie strzela, pomyślał Prentice. Obawiał się, że stary rzuci butelką, żeby sobie postrzelać, a to byłoby już za dużo. Wódka, strzelanina; ktoś mógłby to usłyszeć. Calendar wrócił jednak do swoich opowieści i czar znów zaczął działać. Prentice nie mógł się uwolnić spod jego wpływu. Czuł, że stary opowiada dziś historię swego życia, wszystkie ważniejsze wydarzenia, składające się na jego drogę do teraźniejszości. Rzut oka w przeszłość, rachunek sumienia, może coś więcej; jakieś poszukiwanie sensu. Chłopca wciągało to coraz bardziej. Stary opowiadał, jak po tej zimie w górach, w poszukiwaniu ciepłych krain pojechał na południe; do Teksasu, a stamtąd do Meksyku. Wciąż na południe, aż po granice tropikalnej dżungli. Dopiero wtedy zawrócił. Na tej podróży minął mu rok. Szukał złota, pracował po wsiach, pomagał chłopom w polu. Znów zajmował się bydłem.

143

— Niedaleko stąd jest miasto Parral. Siedziałem tam przez jakiś czas. Wyjeżdżałem, wracałem. Trzydzieści lat temu to było. Spore miasto, przyjazne. Ciekawe, czy bardzo się zmieniło. Major mówi, że tam jedziemy. Coś jakby brama na południe. Jeśli Yilla pokaże się w okolicy, ludzie będą wiedzieli.

Stary zaczynał mieć trudności z wymową, mówił wolniej, urywanymi zdaniami, szybko się męczył. Pociągnął kolejny łyk z butelki, zatrzymał konia i rozejrzał się.

— Muszę się odlać — powiedział niespodziewanie pewnie. Ześliznął się z siodła. Lewa noga załamała się pod nim i o mało nie upadł. Wyprostował się, wypiął pierś i patrząc prosto przed siebie, pomaszerował w kierunku najbliższego kamienia. Celował dobrze, ale po drodze zataczał się trochę. Uporał się z rozporkiem i po chwili pochłonięty był oblewaniem kamienia. Bazalt ciemniał w zetknięciu z moczem, stary poruszał biodrami celując w jasne miejsca. Potem strumień urwał się, jeszcze coś tam kapało, stary naprężył się i słabym siknięciem dosięgnął ostatniego już jasnego punktu.

— Ot, co — rzekł stary i kiwnął głową. Schował sikawkę i zapiął spodnie. Odwrócił się uśmiechnięty, zrobił krok do przodu i upadł. Coś trzasnęło. Próbował wstać i ponownie zwałił się na ziemię.

Prentice zeskoczył z konia i podbiegł do niego.

— Nic się panu nie stało? — Złapał starego pod pachy. Koszula była mokra od potu.

— Zmęczony jestem. Nic mi nie będzie. Prentice pomógł mu wstać.

— Na pewno?

— Co, u diabła! Przecież mówię, nie? Powiedziałem, że nic mi nie będzie.

Prentice spojrzał na kamień, o który trzasnęła pierś starego. Calendar strząsnął z siebie jego dłonie.

— Mówiłem, żebyś się ode mnie odczepił.

— Niczego takiego nie słyszałem.

— No to teraz słyszysz.

— Bardzo dobrze. W takim razie gówno mnie to wszystko obchodzi.

Na takie traktowanie Prentice nie mógł się zgodzić. Nie żeby nie rozumiał pobudek starego. Przewrócił się, było mu głupio i próbował to sobie jakoś odbić. Jego ojciec zachowywał się podobnie, chociaż Prentice i jemu na to nie pozwalał.

I jeszcze coś. Wiedział, co oznaczał ten trzask. Nie obawiał się o zebra starego. Wątpliwe, żeby mu się coś stało. Kiedy przewrócił się,

lądując piersią na ziemi, kamień trafił na kieszeń, w której stary trzymał zegarek. Podnosząc go, Prentice czuł pod palcami ruchome części i słyszał lekki, metaliczny chrzęst. Nic nie powiedział, ale stary się zorientował. Jego wzrok zmienił się, kiedy chłopiec wymacał zegarek. To dlatego nie wstawał; nie od wstrząsu, ale ponieważ rozumiał, co zrobił. I to między innymi była przyczyna jego grubiańskiego zachowania. Myślał, że jak wywoła kłótnię, problem sam się rozwiąże.

Spoglądali po sobie obaj świadomi tego, co się stało, i obaj źli. Nie rozmawiali ze sobą przez całą drogę powrotną. Żaden nie wspomniał o zegarku i Prentice nigdy go więcej nie widział.

66

— Chciałem powiedzieć, że jesteśmy ci bardzo zobowiązani. Prentice nie od razu zrozumiał.

Na prośbę majora oddalili się nieco od obozu.

— Za to co dla niego robisz.

— Dla starego?

— Właśnie.

A więc to dlatego major chciał się z nim widzieć. Dlatego prowadzi go na stronę. Nie do wiary. Po tym wszystkim major jeszcze mu dziękuje. Prentice aż pokręcił głową.

— Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go tak zainteresował. Wierz mi. Doceniam to. To nie jest łatwy człowiek.

— Łagodnie powiedziane. Major uśmiechnął się mimo woli.

— Wiem. Jak mógłbym nie wiedzieć. Rzecz w tym, że warto się z nim trochę pomęczyć. Są ludzie, którym wiele się wybacza, i Calendar jest jednym z nich. Tyle w nim dobrego, tyle zdolności, wiedzy i doświadczenia. Dość długo wykorzystywaliśmy te jego talenty i teraz pora, żeby dostał coś w zamian.

Prentice milczał.

— Wiem, że na pierwszy rzut oka to do niego nie pasuje. Ale ty nie widziałeś Calendarą w jego najlepszych latach. Zresztą, co tam, cholera, najlepsze lata! Szesnaście lat temu, na Kubie, atakowaliśmy bunkier na wzgórzu. Mieli tam karabin maszynowy. Nasi padali jak muchy. Tylko Calendar, z karabinem przed sobą, strzelając w biegu, przemykał w wysokiej trawie. Byle do góry. Karabin maszynowy walił bez wytchnienia, żołnierze dokoła przewracali się jeden po drugim, a on ciągle biegł. Wysunął się na czoło, opróżnił karabin, cisnął go na

10 — (Matnia szarfa

145

bok; tamci strzelali do niego już na kilka kroków; z pistoletem w garści dopadł bunkra, przykleił się do ściany, a potem wsunął się do pasa w boczne okno i zaczął tłuc. Wystrzelał cały magazynek, wyciągnął rewolwer i dalej tkwił w tym oknie i strzelał. Zabił tamtych więcej, niż byłem w stanie policzyć. Później, jak rozmawiałem o tym z ludźmi, dowiedziałem się, że mundur wisiał na nim na samych szwach. Pociski karabinu maszynowego rozpruły mu ubranie od góry do dołu, pokaleczyły go, podrapały, ale żaden go nie trafił. Koszula i spodnie wyglądały jak sito. Chcę, żebyś wiedział, że

Calendar jest moim przyjacielem. Nie przeszkadza mi, że wyciąga cię z szyku i wozi z sobą, żeby — jak powiada — dawać ci lekcje. Niech robi, co chce. Dopóki mu to pomaga, wszystko jest w porządku.

— A co z jego pracą? Co z jego pracą? Major spojrzał na chłopca.

— Cóż, o to nie musisz się martwić. Jak będzie trzeba^jeśli zaczną się jakieś kłopoty, bądź pewien, że zrobi, co trzeba. Dokładnie to co trzeba. Po prostu przyglądaj mu się i staraj się czegoś nauczyć.

Prentice wiedział, że major ma rację. W tym tkwił cały problem. Stary istotnie robi, co trzeba. Nawet w najgorszych chwilach był lepszy w tym, co robił, od większości facetów. Nawet tych dobrych. Bez względu na istniejące między nimi różnice, Prentice nadal mógł się od niego mnóstwo nauczyć. A jeśli stary w dniu swoich urodzin spił się i trochę się nad sobą rozczulił — to co to zmienia? Bieda w tym, że można to było widzieć zupełnie inaczej i chłopiec sam już nie wiedział, co ma myśleć. Zdawało mu się, że już się z tym uporał — stary jest nie do wytrzymania i najlepiej trzymać się od niego z dala. Teraz nie był już taki pewny. Lubił go, a jednocześnie nie lubił. A tu jeszcze przychodzi major i wyciąga z niego niemal oficjalne zobowiązanie. Jezu Chryste i Panie Boże w niebiosach!

67

— Musimy chyba porozmawiać.

Stary leżał na kocu, z siodełkiem pod głową, nieco oddalony od reszty obozu. Oczy miał zamknięte, ale Prentice nie zwrócił na to uwagi i kiedy odezwał się, stary odwrócił głowę i spojrzał na niego. Milczał.

Chłopiec spuścił wzrok. Nie miał pojęcia, jak zacząć.

— Okłamałem pana. Stary wzruszył ramionami.

— Powiedziałem, że mój ojciec ma własne mieszkanie w mieście, a to nieprawda. On nie żyje.

146

— Wiem. — Stary ponownie wzruszył ramionami. Chłopiec nie pytał, skąd to wie.

— Skłamałem też w innej sprawie. Może niezupełnie skłamałem, ale i nie zaprzeczyłem. Miał pan rację. Istotnie traktowałem pana jak swego ojca. No... w pewnym sensie. Uratował mi pan życie. Przez jakiś czas nie bardzo wiedziałem, co tu robię. Zdałem sobie sprawę, że nie jestem stworzony do wojska. Wykorzystałem pana, bo czułem się niepewny. Chciałem się schować za pańskimi plecami, szukałem kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, kogoś, kto by mnie chronił.

— To wszystko było dla mnie jasne od początku. I co z tego? W czym problem?

— W tym, że to wszystko się nie sprawdziło. Są w panu różne rzeczy, których nie lubię. Często czuję się zawiedziony. Albo inaczej. Mam pana nieraz dość. A to wszystko, czego mogę się od pana

nauczyć, już nie wydaje mi się takie ważne. Po prostu zabijanie czasu. Kiedy to się skończy, i tak odejdę. Wiem, że to źle tak pana wykorzystywać, i wstydzę się tego. Chciałem to wyjaśnić i powiedzieć, że przepraszam.

— To wszystko? Skończyłeś?

— Jeszcze tylko chciałem powiedzieć, że nie będę więcej chodził przed panem na dwóch łapkach. Jesteśmy razem, więc będziemy razem, ale nie tak jak dotąd. Jeśli nie będzie miał pan racji, ja za panem nie stanę.

— Aha, to o to ci chodzi! Jesteś pewien? Prentice podniósł oczy i skinął głową.

— Bardzo ładnie. W takim razie pozwól, że ci coś powiem. Miałem kiedyś żonę. I syna. To było w dziewięćdziesiątym ósmym w El Paso. Po moim powrocie z Meksyku.

Mimo woli Prentice wytrzeszczył oczy.

— A tak — powiedział stary. — Nie wiedziałeś o tym, co? Ale to prawda. Nigdy o tym nie opowiadam.

— Co się z nimi stało?

— Nie wiem. Zabrała chłopca i wróciła na wschód. To był jeszcze maluch, ale dość go lubiłem. Teraz jest pewnie w twoim wieku, może trochę starszy. Szukasz kogoś, kogo mógłbyś szanować. A ja szukam kogoś, komu mogę coś dać. Obaj zawiedliśmy się na sobie.

Prentice czuł, jak opuszcza go napięcie. Długo zbierał się do tej rozmowy, ale to, o czym chciał mówić, jakby straciło teraz znaczenie. Nie tylko to. Wszystko. Zanim uświadomił sobie, bę robi, już siedział przy boku starego. Przyglądał się przez chwilę swoim dłoniom, potem westchnął głęboko i spojrzał mu w twarz.

— I dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

— Donikąd. Za dużo sobie wyobrażaliśmy. Teraz wiemy, jak jest

147

naprawdę i wcale nam się to nie podoba. Może byłoby lepiej, gdybyśmy od początku postępowali wobec siebie uczciwie. Gdybyśmy przestali myśleć o tym, czym moglibyśmy dla siebie być, a zgodzili się na to, czym jesteśmy; może wtedy zostalibyśmy przyjaciółmi.

Prentice słuchał ze spuszczoną głową. Nie spodziewał się czegoś takiego. Zdawało mu się, że wszystko przemyślał przed podjęciem decyzji: postawi sprawę jasno i uczciwie i zaczeka, aż to się skończy.

Ale stary jak zwykle go podszedł. Wyskoczył z czymś nowym akurat w chwili, gdy Prentice'owi zdawało się, że wszystko zrozumiał. I znów zbił go z tropu. Nigdy nie zastanawiał się, dlaczego

właściwie Calendar zgodził się mu pomóc. Sądził, że chodziło mu o niego samego, nie o jakieś szczególne wyobrażenie, jakie miał o nim. Nigdy nie dotarło do niego, że stary interesował się nim w jakiś specjalny sposób.

— Nigdy nie chciał go pan zobaczyć?

— Pewnie, że chciałem. Ale ona nie powiedziała ;jni, dokąd wyjeżdża.

— Jak to w ogóle było?

— Zwykła konieczność. Dziecko nie było moje. Miała je z kimś innym, z facetem, którego poznałem na szlaku. Pracowaliśmy razem. Facet zachorował i umarł. Poszedłem do niej zobaczyć, czy nie mógłbym w czymś pomóc. I zaraz potem oświadczyłem się.

Stary przerwał. Skręcił papierosa.

— To się nazywa małżeństwo z rozsądku. Nie jestem głupi. Wiem, że nie ma we mnie nic nadzwyczajnego, nic, co mogłoby się podobać kobietom. Może prócz siły. Ale ona była młodsza ode mnie prawie

0 dwadzieścia lat. Miała dziecko, a tam było o wiele więcej mężczyzn niż kobiet i każdy z nich chętnie skorzystałby z okazji. Myślę, że czuła się trochę jak ty. Widziała we mnie opiekuna. A ja? Cóż, dociągałem, cholera, do pięćdziesiątki. Byłem przy niej i sporo dla niej zrobiłem, ale właściwie nic z tego nie miałem. Przyjrzałem się dzieciakowi

I zacząłem kombinować. Jak powiedziałem —jednego dnia pomogłem jej, następnego się oświadczyłem. Starła się, jak mogła. To muszę jej przyznać. Traktowała mnie dokładnie tak, jak większość mężczyzn chciałaby być traktowana. Ja też robiłem, co mogłem. Miałem żonę i dziecko, musiałem więc zacząć żyć inaczej. Wziąłem pracę w mieście. Jako subiekt w sklepie rusznikarskim. Kiedy mi obrzydło, przez dłuższy czas pracowałem na budowie. Tylko, widzisz, to nie było to, czego potrzebowałem. Właściwie nie przepadam za włóczęgą, ale tak się złożyło, że całe życie spędziłem w ruchu. Nie mogła nie wyczuć, że czegoś mi brakuje, że coś we mnie tęskni za tamtym życiem. Przypuszczam, że było to po mnie widać. Chociaż nie myślałem o tym.

148

Zaangażowałem się i gotów byłem zrezygnować ze wszystkiego, ale ta tęsknota mnie gryzła, odbierała radość życia i myślę, że ona czuła się trochę winna. A poza tym nie kochała mnie. To zostało powiedziane na samym początku. Widzisz, młodzi ludzie są energiczni, mają swoje ambicje, lubią, jak coś się dzieje. A ja czułem się całkiem szczęśliwy, kiedy wracałem do domu zmęczony po pracy i wiedziałem, że rachunki są popłacone, a oni mają co jeść, w co się ubrać i przyzwoity dach nad głową. Pewnego dnia po prostu powiedziała, że odchodzi. Chyba ją rozumiałem. Potrzebowała pomocy i znalazła ją. A teraz zorientowała się, że nic z tego nie będzie. Powiedziała, że nie wyniknie z tego nic dobrego ani dla mnie, ani dla niej. Długo rozmawialiśmy. Wtedy zrobiłbym dla niej wszystko. Zapłaciłem nawet za ich podróż. Możesz sobie wyobrazić, co czułem widząc, jak ten mały odjeżdża.

— I ani słowa dokąd jedzie? Calendar pokręcił głową.

— Ostatni raz widziałem ich przez okno pociągu. Nieraz zastanawiałem się, co wyrosło z tego chłopca.

— A co z nią? Co myśli pan o niej?

—• Była najmilszą kobietą, jaką znałem. Nie najbardziej pociągającą — po prostu najmilszą. Dzisiaj już mi jej nie brak. Za to często myślę o chłopcu. Wszystko trwało mniej więcej rok... potem wstąpiłem do wojska. A potem była Kuba.

Calendar umilkł tak nagle, że chłopiec nie wracał już do tego tematu. Zaczekał chwilę, ale stary nie odezwał się więcej. Siedzieli w milczeniu, aż zapadł zmrok. Wreszcie Prentice wyciągnął rękę i rzekł:

— No, to chyba wszystko w porządku.

A stary spojrzał na niego i uściśnął mu dłoń.

Przez jakiś czas chłopiec czuł się tak dobrze jak przedtem.

68

Skończyło się to dwa dni później, kiedy dotarli w okolice Parral. Jechali teraz szybciej. Panowało przekonanie, że gdzieś tam zaszył się Yilla. Logiczne — Parral to brama na południe. Jeśli jeszcze jej nie przekroczył, na pewno o tym myśli. Bitwy pod Guerrero i później pod Agua Caliente czterokrotnie zmniejszyły stan liczebny jego grupy. Wiedziano o tym od jeńców wziętych przez inne oddziały. Stale naciskany Yilla nie miał wyboru, musiał przedostać się na południe i przystąpić do odtwarzania swojej bandy.

Tak więc forsownym marszem posuwali się ku Parral, aż natknęli

149

się na samotną farmę. Gospodarstwo nie było duże. Calendar i major dokładnie przyjrzeni mu się z pobliskiego wzniesienia. Oglądany przez lornetkę główny budynek robił wrażenie dość wysokiego. Z suszonej cegły, jedną ścianę miał zwaloną, rozpadający się dach i rozeschniętą, krzywą werandę. Major wskazał zniszczoną szopę dla koni, wspartą o połamaną bramę korralu. Stary kiwnął głową, nie odrywając szkieł od oczu. Obserwował mniejsze zabudowania, położone w głębi obejścia. Te, w przeciwieństwie do dużego domu i pomieszczenia dla zwierząt, drzwi miały pozamykane, a ściany nietknięte.

NEWMEMCO

.SONOKA

COAHUILA

DURANGO

— Cholera wie — rzekł stary. — Mogło być i tak, że zniszczyli tamten budynek, żeby miejsce wyglądało na opuszczone.

Postanowiono więc zbadać rzecz z bliska. Porucznik z Calendarem i grupą żołnierzy wyruszyli, by okrążyć farmę i wejść na jej teren od tyłu. Major z resztą oddziału miał czekać, aż dojadą na wyznaczone stanowisko, a następnie równocześnie wkroczyć od frontu.

Objazd zajął grupie Calendara blisko godzinę. Czort wie, komu przyszło do głowy stawiać farmę w takim miejscu. I po co; ziemia tu najwyraźniej nie nadawała się do uprawy. Ani śladu trawy dla koni. Tylko piasek, skały i setki wymytych przez wodę jarów, tworzących niezliczone fałdy, i utrudniające jazdę zagłębienia. Nawet kaktusy nie rosły na tym jałowym pustkowiu.

150

Te trzy kilometry zdawały się dłużyć w nieskończoność. Objeżdżali podejrzaną posiadłość od prawej strony, na tyle wolno, by nie zdradził ich kurz i na tyle obszernym łukiem, by nie dostrzeżono ich z budynków. Znaleźli się wreszcie naprzeciw wzniesienia, przy którym czekał major i skierowali się ku tyłom farmy.

Prentice czuł się dziwnie nieobecny. Oślepiający blask słońca, nagi, żółty krajobraz i monotonna jazda po zboczach kolejnych wąwozów działały na niego usypiająco. Wiedział, że powinien być bardziej czujny. Właściwie odczuwał pewien niepokój. Ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że obserwuje to wszystko z jakiegoś oddalenia. Popatrywał na starego jadącego z porucznikiem na czele oddziału: mówił coś przyciszonym, spokojnym głosem, wskazując coraz bliższe zabudowania farmy. Żołnierze jechali powoli, rozglądali się, ich sylwetki kołysały się w rytm końskich kroków. Dotarli do miejsca, gdzie kilka jarów zbiegało się, tworząc opadający ku farmie wąwóz. Uczucie oderwania od rzeczywistości prześladowało chłopca coraz mocniej. Spadziste zbocza wąwozu przesłoniły horyzont. Po obu stronach widział tylko skały i piasek, pocięte wylotami rozpadlin. Świat zdawał się kurczyć, zamykać w tym wąwozie; jechali krok za krokiem, stukały podkowy, brzęczała uprząż. Tylko oni i niebo w górze. Wąwóz skręcił raz i drugi, stawał się coraz głębszy, szerszy; coraz bliżej do celu.

Przez ostatnie dwa dni Prentice nie miał zbyt wielu okazji do rozmowy z Calendarem. Byli po prostu zbyt zajęci. Stary całe dnie spędzał ze zwiadowcami w terenie i wieczorami zjeżdżał tak zmęczony, że natychmiast szedł spać. Jednak te kilka słów, które zamienili w przelocie, sprawiło chłopcu przyjemność. Calendar wydał mu się bardziej otwarty, jego zachowanie mniej sztywne. Nie żeby nagle zrobił się jakiś wylewny, ale był swobodniejszy, jakby przełamał w sobie coś niedobrego i sprawiło mu to ulgę.

Prentice czuł się podobnie. Zrozumiał swoje pobudki i uznał, że jest w stanie nad sobą zapanować. Miał wrażenie, że dojrzał, dorósł do zrozumienia własnych potrzeb i wątpliwości. Widział jadącego przed nim starego, który teraz w milczeniu badał wzrokiem zakamarki wąwozu. Dobrze było

zobaczyć go znów przy pracy. Bez wątpienia wiedział, co robi. Cały czas panował nad sytuacją. Po kilku dniach kryzysu znów był w formie. Może dlatego chłopiec czuł się tak nieobecny; jechał z innymi, ale częścią umysłu mógł bujać w obłokach, ponieważ stary nad wszystkim panował.

Wyjechali zza zakrętu i porucznik właśnie zamierzał zsiąść z konia, gdy rozległ się strzał. Nikt się nie ruszył; ściągnęli wodze, sparaliżowani zaskoczeniem. Kolejne dwa strzały i dopiero wtedy w wąwozie

151

zakotłowało się. Ludzie rzucili się za skały, kryli się w rozpadlinach. Stary zeskoczył z konia i wyciągnął się na ziemi obok kopca piasku. Prentice ogarnięty niepohamowaną drżączką, przycupnął w jakimś zagłębieniu. Spozstrzegł, że stary jako pierwszy dobył pistoletu i zaczął strzelać. Z tamtej strony padły jeszcze dwa strzały i spłoszyły konie, które zbitą gromadą przegalopowały w dół wąwozu. Stary skorzystał z osłony, jaką dawał mu kurz wzniecony ich kopytami i jął wspinać się w górę zbocza.

Prentice spostrzegł ku swemu zaskoczeniu, że trzyma w ręku pistolet. Nie miał pojęcia, kiedy go wyciągnął. Zobaczył starego, jak wspina się po ścianie wąwozu, odetchnął głęboko i ruszył za nim. Inni żołnierze poszli za jego przykładem. Na czworaka dotarł do szczytu i ostrożnie wystawił głowę. Cofnął się, przestraszony. Teren wydawał mu się niebezpiecznie odkryty. Rozdygotany, skulił się tuż pod krawędzią zbocza. Żołnierze w dole strzelali, ściany wąwozu odbijały huk eksplozji. Ci, którzy poszli za chłopcem, podobnie jak on przycupnęli na zboczu. Prentice uświadomił sobie ze zdziwieniem, że idą za nim, tak jak on sam idzie za starym. Spojrzał przed siebie. Calendar wczołgał się już na płaski teren i wciąż na brzuchu posuwał się naprzód. Chłopiec prześliznął się przez krawędź i poczołgał za nim. Echo strzałów w wąwozie dochodziło tu ciszej. Przez koszulę czuł piasek i kamienie, po których szorował brzuchem. Raz i drugi zakrztusił się kurzem. Przetarł zalewane potem oczy.

Stary zatrzymał się. Chłopiec zrobił to samo; rozejrzał się. Nie bardzo wiedział, na co tamten czeka. Wąwóz skręcał w tym miejscu w prawo. Znajdowali się tuż przy krawędzi. Stary nie odwracając się wskazał dłonią do przodu. Prentice zrozumiał, że cały czas był świadom jego obecności za plecami. Z głębi wąwozu dobiegł go nagle odgłos jakiegoś poruszenia. Stary ponownie skinął ręką i Prentice podczołgał się bliżej. Nie spojrzawszy nawet na niego, stary wskazał na prawo; Prentice posłusznie popętlzył w tym kierunku. Zatrzymał się; dzieliło ich teraz od siebie nie więcej niż trzy metry. Przed sobą mieli krawędź wąwozu. Z tyłu powoli nadciągali inni. Stary spojrział na chłopca i kiwnął głową. Uniósł się na kolana, ze sieknięciem stanął na nogi i wystrzelił w głąb wąwozu. Prentice naśladował jego ruchy. Wystrzelił cztery razy, nim zorientował się, że w wąwozie nie ma żywej duszy. Kątem oka dostrzegł, że stary biegnie wzdłuż jaru, który dalej zakręca nieco w lewo. Rzucił się za nim. Wystrzelił ostatni nabój z magazynka, ale w dole nadal nie było nikogo. ;,

Stary biegł nie zwalniając kroku. Prentice za nim, szamocząc się z pistoletem, wyciągnął pusty magazynek, wcisnął nowy, załadował.

152

Teraz mógł przyspieszyć. Dogonił starego. Wąwóz znów skręcił w prawo i tym razem w dole coś się poruszyło. Stary otworzył ogień i on sam wystrzelił trzy razy. Widział padające sylwetki. Dnem wąwozu biegło sześciu mężczyzn. Meksykanie — sombrero, pasy z nabojami, workowate spodnie i buty na sznurkowej podeszwie; karabiny. Dwaj padli, po chwili jeszcze dwaj. Ostatnia dwójka zniknęła za zakrętem. Stary pogonił za nimi. Prentice biegł tuż obok. Teraz widział ich dobrze. Pędzili na łeb, na szyję prostym odcinkiem wąwozu. Przystanął, uniósł broń, wycelował dokładnie, ale w chwili gdy pistolet wypalił, stary chwycił go za rękę i Prentice chybił. Teraz Calendar ustawił się do strzału. Spokojnie, jak na strzelnicy, przyjął postawę strzelecką: bokiem do celu, ramię wyprostowane, wolna ręka cofnięta dla równowagi. Strzelił dwukrotnie, trafiając obu — jednego w ramię, drugiego w nogę. Trzymany lekko pistolet podskoczył wysoko. Calendar powoli opuścił rękę, uważnie obserwując wijące się z bólu postaci na dnie wąwozu.

— Byłem pewien, że trafisz, ale chciałem ich żywych.

Stary nie spojrzał na niego; nadal nie odrywał wzroku od rannych, ale Prentice zrozumiał, co chciał powiedzieć. Patrzył, jak stary podchodzi do krawędzi wąwozu, ostrożnie opuszcza się w dół i wciąż z bronią w wyciągniętej ręce, czujny i uważny zbliża się do Meksykanów.

— Sprawdź tamtych czterech. Upewnij się, że nie żyją. Prentice posłuchał bez zastanowienia. Zawrócił prawie odruchowo.

Już po walce. Wszystko trwało nie więcej niż pięćdziesiąt sekund, ale było to chyba najgwałtowniejsze przeżycie, jakiego kiedykolwiek doznał. Dochodząc do miejsca, gdzie upadli tamci czterej, wciąż jeszcze drżał z podniecenia. Musiał się opanować, zastanowić, a potem zrobić co trzeba. Zszedł na dno wąwozu i ruszył w stronę leżących. Nie spuszczał z nich oczu, gotów zareagować na najlżejszy ruch. Kopnięciami poodrzucał ich karabiny. Cofnął się i popatrzył na nich uważnie. Dwaj mieli ręce ukryte pod tułowiem i tym od razu strzelił w głowy — najpierw jednemu, potem drugiemu. Następnie to samo zrobił z pozostałymi. Chociaż nigdy przedtem tego nie widział, w jakiś niezrozumiały dla siebie sposób wiedział, że tak trzeba.

Spełnił swój obowiązek. Uspokojony, usiadł ciężko na ziemi. Strzelanina u wylotu wąwozu ucichła już wcześniej. Żołnierze gapili się z góry na chłopca; nadchodzący dołem okrążali ciała i także mu się przyglądali. Prentice dotknął policzka. Nie wiedzieć czemu — zapiekło. Dopiero po chwili zrozumiał. Stał z prawej strony obok starego i wyrzucona z pistoletu łuska trafiła go w twarz. Nawet tego nie

153

zauważył. Nie przejmował się tym. Siedział na ziemi, pocierał dłonią policzek i patrzył na trupy na piasku. Nie wiedział, którzy są Calendar, a którzy jego i, prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno. Po chwili dotarł do niego mdlący odór, jaki wydzielają roztrzaskane głowy i rany na ciele zabitych. Może sprawił to zapach, a może w reakcji na szok wcisnął nagle głowę między kolana; ogarnęły go mdłości. Zdawało mu się, że nigdy się ich nie pozbędzie. Mdlące uczucie w żołądku nie opuszczało go ani na chwilę.

69

— Zrobiłeś błąd.

— Cholera, każdy wie, że zrobiłem. Rany boskie, strzeliłem tym facetom w głowy. rł

Stary spojrział na chłopca i zmarszczył brwi.

— Nie o to mi chodzi.

— Ale mnie o to chodzi. Chryste, wszystkim czterem strzeliłem w głowy. Bez potrzeby. Oni już nie żyli. To było widać.

—•• Jasne. Dopóki byś się nie odwrócił, a któryś z nich nie usiadł i nie wpackował ci kuli w plecy.

— Można to było zrobić inaczej. Mogłem poczekać, aż nadejdzie ktoś z naszych. Jezu, polazłem tam na dół, żeby udowodnić, że potrafię to załatwić. A potem wpadłem w panikę i zacząłem strzelać. Więcej nawet, podobało mi się to, co robię. Widziałem, jak ich głowy się rozlatują, i dalej strzelałem. Mało mi było, że zabiłem tych dwóch, to jeszcze musiałem porozwalać na kawałki głowy całej czwórce. Żeby sobie zrobić frajdę.

— Zrobiłeś co trzeba, żeby nikt z naszych nie ucierpiał.

— Nie w tym rzecz. Czy to tak trudno zrozumieć? Nie podoba mi się to, co wtedy czułem!

— Powiedz o tym ludziom, których oni zabili. Spytaj porucznika w jego grobie, czy uważa, że postąpiłeś prawidłowo.

— Nie, wciąż nic nie rozumiesz. Nie chodziło mi o zemstę. Zrobiłem to, bo miałem na to ochotę!

Stary wycelował weń wyciągnięty palec.

— Dobrze. No to posłuchaj. Byłem wobec ciebie cierpliwy, ale teraz powiadam: weź się w garść. Gównu mnie obchodzi, dlaczego to zrobiłeś. Jakoś się z tym uporasz. Fakt, że załatwiłeś sprawę tak, że nikt więcej nie ucierpiał. I dobrze.

A drugi fakt, to że byłeś niedbały, zapomniałeś się. Jeden magazyn-

154

nek miałeś pusty. Trzy strzały, kiedy ich goniliśmy. Jeszcze cztery, kiedy sprawdzałeś tamtych. Zostałeś z pustą bronią i nie przyszło ci do głowy zmienić magazynek. A gdzie, do diabła, twój zapasowy rewolwer? Nie mogłeś wiedzieć, czy w pobliżu nie ma ich więcej. Byłeś zupełnie bezbronny. Oto do czego prowadzi roztargnienie. Mogłeś zginąć. Teraz mam robotę, ale na twoim miejscu skończyłbym z obwinianiem się, a skoncentrował się na tym, jak przeżyć. To nie miejsce na takie błędy.

Stary skończył, obrzucił chłopca długim spojrzeniem i odszedł. Prentice patrzył, jak się oddala. Po raz pierwszy Calendar wytykał mu błąd w taki sposób — nie jako nauczyciel czy zastępczy ojciec.

To było coś zupełnie innego. Nie chodziło o ocenę czy skarcenie dla zasady, ale pod wpływem najwyraźniej szczerego gniewu. Tak stary mógł potraktować każdego, kto wyprowadził go z równowagi. O to właśnie szło — Calendar przestał udawać. Stał się sobą i Prentice nie bardzo jeszcze wiedział, co o tym sądzić. Zarazem zyskał i stracił. Nie był już dla starego kimś specjalnym. Jako jeden z wielu, jako on sam — musiał sprostać wymogom tego życia.

A nie sądził, by był do tego zdolny: I nie dbał o to. Głowy! Nie mógł opanować drżenia rąk. Nie mógł się pozbyć mdlącego ciężaru w żołądku. Głowy! Nadal widział, jak rozpryskują się; widział fruujące kawałki kości, mózg, krew, włosy.

70

— Mówi, że to ich farma. Zobaczyli na wzgórzu jakichś jeźdźców, przestraszyli się i próbowali uciec. Wtedy natknęli się na nas. Wpadli w panikę i zaczęli strzelać.

Major pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Wiem. Myślę, że on też o tym wie, ale nic lepszego nie potrafi wymyślić.

— I jesteś pewien, że to ludzie Yilli?

— Bez dwóch zdań. Ich karabiny mają oznaczenia US Army, takie same jak te zabrane z Columbus. Zgoda, że wpadli w panikę. Ale nie dlatego, że wzięli nas za rabusiów. Uciekali, bo zobaczyli Amerykanów. \

Major przygryzł wargi i odwrócił wzrok.

— A co z tym drugim?

— Pytałem go, ale nie chce odpowiadać. Dam mu jeszcze jedną szansę.

155

Podszedł do leżącego na piasku w kałuży krwi, trafionego w ramię Meksykanina i odezwał się doń po hiszpańsku. Tamten pokręcił głową. Stary zapytał jeszcze raz, wolniej wymawiając nazwisko Yilli. Znowu przeczący ruch głowy.

Stary wzruszył ramionami.

— Cholera, tego właśnie się obawiałem — zwrócił się do majora. — Tych miejscowych są dwa rodzaje. Jedni, gdy ich raz zapytasz, robią się gadatliwi jak czarnuch na stypie. Inni mają coś w rodzaju poczucia godności. Nie boją się śmierci, a skoro i tak mają umrzeć, chcą to zrobić z pewną klasą. Mieliśmy szczęście trafić na tych drugiego rodzaju.

— Co więc proponujesz?

— Ano, musimy się dowiedzieć, gdzie jest Yilla, a mam podstawy przypuszczać, że gdzieś w pobliżu. Nie sądzę, abyśmy mieli duży wybór. Pogadam z nim chwilę na osobności.

— Nie ma innego sposobu?

— Chyba żeby zostawić ich tu. Pozwolić im się wykrwawiać i czekać, aż oszaleją z bólu. To może potrwać cały dzień, a i potem nic im nie przeszkodzi wystrychnąć nas na dudka albo zwyczajnie, umrzeć.

Major spojrział na starego.

— Daj im chociaż jeszcze jedną szansę.

Calendar ponownie zwrócił się do Meksykanów. Po jego pytaniu jeden z nich pokręcił głową. Major zacisnął usta i odszedł.

71

— Rany boskie! — zawołał Prentice, kiedy spojrzawszy w głąb wymytego przez wodę jaru zobaczył, jak stary obrabia nożem Meksykanina. Facet leżał przywiązany do wbitych w ziemię kołków, nagi, z odsłoniętymi genitaliami. Jego ciało znaczyły strugi krwi i długie, cięte rany. Wił się z bólu. W szerniałym, spuchniętym udzie widniała poszarpana rana od kuli i w nią właśnie stary wetknął nóż i powoli nim obracał.

Słyszając głos chłopca uniósł głowę, jakby zaskoczony. Nie podnosząc się z klęczek przestał na chwilę obracać nożem i odezwał się do ludzi, którzy stali wokół niego i przyglądali się jego robocie.

— Niech ktoś go stąd zabierze.

Odwrócił głowę i wziął się do drugiego Meksykanina. Leżał tak samo i wyglądał podobnie jak pierwszy, z tą różnicą, że postrzelony był w ramię. Stary wepchnął nóż w otwór po kuli i zakręcił.

156

— No właśnie — odezwał się Prentice. — Niech mnie ktoś stąd zabierze.

Ludzie podnieśli głowy, przyglądali mu się, ale żaden się nie ruszył.

— Dalej. Niech ktoś spróbuje. Prentice położył dłoń na kolbie pistoletu.

— Proszę. Chciałbym, żeby któryś spróbował.

Nikt jednak nie drgnął i z dłonią złożoną wciąż na broni chłopiec opuścił się na dno jaru.

— Macie, kurwa, rację. Spróbujcie mnie ruszyć, a porozwalam wam łby jak amen w pacierzu. Z dala ode mnie! — Prentice zbliżył się do starego.

— Co tu się dzieje? Stary dalej robił swoje.

Chłopiec stał nad nim, czekając przez chwilę na odpowiedź.

— Pytałem o coś. Ogłuchłeś, czy co? Co tu się, do diabła, dzieje? Stary ścisnął nóż, aż pobieleły mu palce. Podniósł się, nadal

z nożem w dłoni, i stanął naprzeciw chłopca.

— Nie wiem, coś sobie ubzdurał, ale to nie miejsce dla ciebie.

Zabieraj się stąd.

— To miejsce jak najbardziej dla mnie. Jesteś moim nauczycielem, nie? Chyba powinienes mi to pokazać. I chyba powinienes powiedzieć mi, co to ma, kurwa, znaczyć.

Stary nie odpowiadał. Prentice minął go i podszedł do rozciągniętych na ziemi mężczyzn.

— Jak to ma działać, co? Zaczynasz od jednego, a jak się zmęczysz, bierzesz się za drugiego, tak? W ten sposób pierwszy ma okazję pomyśleć, co dzieje się z jego kumplem. Od bólu gorsze jest myślenie o tym, co jeszcze może go spotkać. Tak to działa?

Stary skinął głową.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział, nie spuszczać oczu

z chłopca.

— No tak. A żeby wszystko zostało w rodzinie, zaprosiłeś tu na

dół kupę gości, niech sobie popatrzą.

To właśnie wstrząsnęło chłopcem, nie sam fakt torturowania rannych. Tyle mógł zrozumieć. Facet wiedział coś istotnego i trzeba zmusić go do mówienia. W zasadzie wszystko w porządku. Ale wiedzieć coś, a widzieć, jak to się odbywa — to dwie różne rzeczy. Zwłaszcza w tym wypadku. Kiedy stanął na brzegu jaru; z żołądkiem wciąż jeszcze ściśniętym w bolesny węzeł, pierwsze, co go uderzyło, to cisza i milczenie wszystkich obecnych. Sposób, w jaki reagowali na to, co działo się przed ich oczami. Stary na kolanach rżnie tych Mek-

sykanów, ludzie dokoła przyglądają się, ranni przywiązani do palików wiją się z bólu, ale nie krzyczą; żadnych szeptów, westchnień czy jęków. A stary, pochłonięty wykonywaną czynnością, a jednocześnie obojętny; tak cholernie systematyczny i spokojny. Niemal jakby zabawiał się rysowaniem wzorów na piasku albo przeprowadzał z nudów jakiś eksperyment, którego wynik był w gruncie rzeczy nieistotny. Mniejsza jednak o tę niewspółmierność. Nie to było najgorsze. Patrząc na ludzi otaczających starego, szukając u nich jakichś oznak wrażliwości, współczucia, żalu, że tak

musiało się stać — spostrzegł Indianina.

Indianin! Staremu przyglądali się nie tylko ci wszyscy żołnierze. Pozwolił na to także i Indianinowi! Prentice poczuł się tak, jakby zobaczył napastowane dziecko albo splugawiony ołtarz; albo kogoś, kto dopuszcza się czegoś równie odrażającego. Miał chęć wydrzeć staremu oczy, schwycić go za gardło i skrócić mu kark, rozwalić czaszkę i rozmazać jego mózg po piasku. J

Głowy. Obraz tych głów.

— Bardzo ładnie. — Gwałtownym ruchem odwrócił się do Calendara. — Zaprosiłeś nawet Indianina. Słuchajcie, wy tam! Przedstawienie skończone. Idźcie do diabła! A tobie powiadam — nie zbliżaj się do mnie. Jeszcze raz zobaczę cię obok siebie, a Bóg mi świadkiem, nie wiem, co ci zrobię. — Obrzucił gapiów wzrokiem. — Co to, cholera, za zbiegowisko? Won stąd! Dajcie człowiekowi nacieszyć się jego robotą.

Sięgnął po pistolet, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w gromadkę żołnierzy. Musiał zrobić na nich wrażenie, bo jeden po drugim zaczęli się rozchodzić. Prentice wycelował palec w starego i rzucił z naciskiem.

— Pamiętaj, kolego. Z dała ode mnie!

Ledwie panując nad ogarniającą go wściekłością, czując zalewającą go ponownie falę mdłości, odwrócił się w miejscu i jał wspinać się w górę zbocza.

72

— Słuchaj, jeszcze raz wpięprzysz się w nieswoją sprawę i nie będziesz musiał mi grozić — sam przestanę cię znać.

Stary odszukał chłopca, jak tylko skończył z Meksykanami. Spostrzegłszy go na tyłach korralu, zajętego kopaniem grobów, niemal biegiem ruszył w tamtym kierunku. Kroczył wściekły; po drodze dwaj

158

żołnierze zagadali coś do niego, ale nawet nie zrozumiał, o co im chodzi. Ze wzrokiem wlepionym w pochyloną nad dołem sylwetkę chłopca z łopata kruszył obcasami grudy ziemi, miażdżył gałęzie mezquite, sapał i kłął. Chłopiec z daleka usłyszał, jak nadchodzi. Odwrócił się i nie wypuszczając łopaty z ręki wysłuchiwał napastliwej kwestii Calendarą.

— Powiedziałem: idź do diabła — odrzekł patrząc mu w oczy. Uniósł nieco łopatę. — Nie chcę cię widzieć.

— Człowieku, co z tobą?

— Chyba, co z tobą! Jeszcze nie kapujesz? Widziałem twoją twarz, tych twoich kumpli w koło, przyglądających się. To ci się podobało!

— A może po prostu chciałem, żeby tak to wyglądało? Może musiałem przekonać tych Meksykanów, że zrobię wszystko, żeby dowiedzieć się tego, co mi potrzebne?

— Wszystko jedno. Na Boga, siedzisz w tym tak długo, że nie potrafisz odróżnić jednego od drugiego. Podobało ci się.

— Nie ma znaczenia, co ty o tym sądzisz. Zdobyłem konieczne informacje.

— Wszystko jedno. Mogłeś to zrobić w inny sposób.

— Wątpię. Zresztą nie to cię tak ruszyło. Poszło o Indianina. Trzymałem go tam, bo powiedziałem Meksykanom, że potem oddam ich jemu.

Chłopiec zupełnie już nad sobą nie panował. Zrobił krok naprzód wznosząc łopatę, jakby zamierzał uderzyć nią starego. Ten cofnął się przezornie.

— Sam sobie świetnie radziłeś. Nie potrzebowałeś tam Indianina. Po prostu chciałeś ubarwić przedstawienie. Jezu, tyle mówisz o skuteczności działania, a nawet nie rozumiesz własnych pobudek. Zdawało ci się, że powoduje tobą konieczność, a tymczasem byłeś zadowolony, że trafia ci się taka gratka. Sprawiało ci to przyjemność!

Niespodziewanie, zamiast zamachnąć się do ciosu, chłopiec wbił łopatę w piasek i sypnął nim w starego. I jeszcze raz, i jeszcze. Podniosła się chmura pyłu. Calendar czuł piasek w oczach, w ustach, za koszulą. Cofnął się, osłaniając się rękami, odwrócił głowę.

— Idź do diabła! Słyszysz! Wynoś się! — wrzeszczał chłopiec. Stary opuścił dłoń do kabury, ale zaraz się zreflektował i odstąpił

jeszcze kilka kroków.

— W porządku — rzekł. — Świetnie! Jeśli tak to wszystko widzisz, proszę bardzo. Kop sobie groby. A jak już zacząłeś, wykop więcej. Jeden z tamtych jest już sztywny. Drugiemu też niewiele brakuje. Przy okazji możesz wykopać jeszcze jeden. Zachowując się w ten sposób, masz duże szansę skończyć niebawem w ziemi.

159

Stary odwrócił się i odszedł; zgarbiony, otrząsając piach z ubrania. Nie spodziewał się tego. Zamierzał zrugać chłopca, wykazać mu, jakim jest głupcem, przywołać go do porządku. Teraz czuł się trochę głupio — cały w piasku, z kurzem w ustach. Czuł się nawet nieco zmieszany, choć nie bardzo wiedział, z jakiego powodu. Może dlatego, że chłopiec postawił mu się, a on ustąpił? Cholera, co z tym chłopakiem jest nie w porządku?

73

— Posłuchaj, chcę ci coś wyjaśnić. Prentice odwrócił się doń plecami.

Wiesz, ja... Wynoś się!

Tej nocy w pobliżu ich obozu pojawił się oddział żołnierzy Carranzy. Zatrzymali się na farmie. Pochowali się po szopach i w domu, naprawili zagrodę dla zwierząt i spędzili tam konie; napoili je. Ich ogniska musiały być widoczne z daleka. Potem rozjechali się po okolicy. Zatrzymani przez wartowników, zorientowawszy się, że to Amerykanie, zawrócili. Meksykański dowódca w randze kapitana przybył na rozmowy.

Nazywał się Mesa. Mimo napiętej początkowo atmosfery wychodził ze skóry, żeby uspokoić gringos. Nie mógł być bardziej przyjacielski. I wcale przyjacielski nie był, ale wyszło to na jaw o wiele za późno. Mesa siedział z majorem przy ognisku, użalał się na kłopoty z Yillą i jego zwolennikami, twierdził, że władze gotowe są przyjąć wszelką pomoc. Obiecał zatelefonować do Parral, zapewnił, że Amerykanie zostaną tam gościnnie przyjęci. Dostaną żywność, wodę, paszę dla koni, niezbędny sprzęt i dobre miejsce na obóz. Przez Parral, powiedział, biegnie nawet linia kolejowa, z której mogliby skorzystać, a — tu spojrzął na majora — w mieście znajduje się klub. Bodajże

kanadyjski. W obozie Amerykanów Mesa spędził całą noc. Rano zjadł śniadanie, wsiadł na konia, życzył obecnym wszystkiego najlepszego i oświadczył, że uda się teraz do pobliskiego miasteczka, by zatelefonować. Następnie odjechał do swoich ludzi. Żołnierze odetchnęli z ulgą. Nie tylko dlatego, że odjechał, ale ponieważ po dotychczasowych przejściach uważali, że najbardziej dosłownie przyda im się jakiś oddech. Ponadto, czego major nie zdradził meksykańskiemu oficerowi, torturowani przez Calendar ludzie udzielili w końcu potrzebnych informacji. Yilla znajdował się w pobliżu. Prawdopodobnie w Parral albo gdzieś w drodze na południe. Jeśli nie powiedzie się próba znalezienia go w mieście, oddział pośpieszy zablokować przejścia na południe, do Durango. Yilla zostałby odcięty od terenów w głębi kraju, uwięziony między 13 pułkiem a innymi posuwającymi się w tym samym kierunku oddziałami. Przy odrobinie szczęścia pościg można będzie niebawem zakończyć.

Tak więc dosiedli koni i odprawili się do Parral. Stary, szykując się do wyjazdu z grupą zwiadowców wyznaczonych na szpicę, próbował zabrać chłopca ze sobą, ale ten znów powiedział tylko: „zjeżdżaj” i Calendar pojechał sam.

Wjeżdżali teraz w nieco życzliwszy podróżnym kraj. Pojawiły się kaktusy, pustynna trawa, kępy bielunia. Grunt był mniej piaszczysty, wyglądał na zdatny do uprawy, powietrze jakby się ochłodziło. Oddalali się od pustyni; po prawej mieli góry, po lewej suchy, pofałdowany step, a w przodzie — nie do wiary! — zieleń na tle łagodnych zboczy.

Okazało się, że są to krzewy bawełny. Miejsce było niezłe na obóz, ale gdy w oddali ukazały się

drzewa, konie poczuły wodę, ożywiły się i przyspieszyły. Żołnierze musieli je przytrzymać, żeby nie pobiegły wprost do strumienia. Rozsiodłane oprowadzali w koło, aż odrobinę ostygły i dopiero wtedy dostały pić. Na początek tylko trochę, potem więcej i znów musiały pochodzić.

Trwało to kilka godzin, a zwierzęta wciąż nie miały dość wody. Rozciągnięto konowiaz i powiązano je w cieniu drzew. Nareszcie ludzie sami mogli pognać do strumienia. Przystąpiono do rozbijania obozu. Po pewnym czasie koniom znów pozwolono się napić, już po raz ostatni. Teraz nie można było ich nawet karmić, boby się pochorowały. Żołnierze rozwijali koce, gotowali jedzenie. Przed snem koniom dostało się trochę paszy. Troszeczkę, tyle tylko, by podtrzymać ich siły.

Wszyscy mieli sporo roboty, toteż stary do wieczora nie znalazł okazji, by porozmawiać z chłopcem. Potem natknął się na niego nad strumieniem i siadając przy nim w ciemności, zapytał:

11 — OtUtniUmrza

161

— Nie moglibyśmy załatwić tego w inny sposób? Chłopiec spojrział na niego bez słowa.

Stary nie odezwał się więcej. Po chwili Prentice wstał i już odchodząc rzucił:

— Nie chodzi o ciebie. Raczej o to wszystko.

Stary nie zrozumiał. Nie był w stanie pojąć tych ciągłych zmian nastroju. Przyzwyczył się do obecności chłopca u swego boku. Teraz mu go brakowało.

Prentice wiedział o tym. W sumie stary nie był niczemu winien. Chłopiec przez cały dzień zastanawiał się nad swoją sytuacją i powiedział dokładnie to, co myślał. Nie chodziło o starego, lecz o wszystko.

O całą tę przeklętą resztę. Nienawidził tego. Stary jedynie to w pewien sposób uosabiał. Nie mógł go winić, że robił to co zwykle — to, na czym się znał. Dla niego wszystko było w porządku. Ale nie dla chłopca. Nie mógł pogodzić się z tym, z czym się tu zetknął — zabijanie, broń; zupełny brak szacunku dla człowieka. I to zapomniane przez Boga miejsce. Nigdy dotąd nie rozumiał tego określenia. Teraz ten kraj i ta ich wyprawa zlały się w jedno; nad wszystkim wisiała jakaś klątwa. Nawet tu, nad wodą, pośród drzew, czuł się lepiej tylko dlatego, że to otoczenie przypominało mu północ. Powinien był zatrzymać farmę. Pracować tam, żyć rytmem pór roku, uprawiać zboże i przyglądać się, jak rośnie. Nie mógł się doczekać, kiedy się stąd wyniesie, wróci do siebie i zacznie od nowa. I zrobi wszystko, żeby na jego ziemi znów zaszumiło zboże.

Obejrzał się, szukając wzrokiem starego. Wiedział, że powinien z nim porozmawiać. Nie mógł się jednak na to zdobyć. Wpakował się w sytuację bez wyjścia. Rozdmuchał całą sprawę do tego stopnia, że teraz musiałby się upokorzyć. A tego nie mógł zrobić. I jeszcze coś. Jakaś wewnętrzna pustka powstrzymywała go przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Po prostu nie był w stanie zmusić się do działania. Pragnął tylko spokoju. Najchętniej siedziałby nad rzeką oparty o siodło

I słuchał, jak szumią drzewa, pozwolił, by czas mijał niepostrzeżenie; czekając chwili, gdy będzie

mógł odejść. Tłumaczył sobie, że to tylko depresja po walce, że to normalne i minie, ale czuł, że tak nie jest. Jeszcze niedawno było mu tak dobrze. Potem czar prysł. Zobaczył głowy rozpadające się pod jego kulami, pociętych przez Calendarą ludzi, poczuł odór krwi i wnetrzności — i zrozumiał. Nie mógł już znieść siebie, nie mógł znieść starego, tych ludzi oraz wszystkiego tego, czego część stanowił. I chciał, żeby to się skończyło. Próbował wskazać winnego, ale nie potrafił. Znaleźli się tutaj z określonego powodu, ale i Yilla w tym, co robił, miał swoje racje. I stary miał swoje

162

racje. Wszyscy. Znalazł się w zamkniętym kręgu, w jakimś błędnym kole, z którego nie było wyjścia. Jedyne czego pragnął, to wyrwać się stąd, uciec, wyprzeć się tego wszystkiego. Miał jednak świadomość, że to nigdy nie nastąpi. I że to była prawdziwa przyczyna jego stanu. Nie mógł wyrwać się z tego koła, bo dopóki znajdował się między ludźmi, musiał liczyć się z ich racjami. A tak bardzo pragnął być sam. Patrzył na starego i czuł dłoń wielką litość, ale wiedział, że tego właśnie nigdy nie będzie mógł mu powiedzieć.

13 pułk maszerował do Parral. Rano nakarmiono porządnie konie, gdyż nadzieja na świeże zapasy pozwoliła zrezygnować z oszczędności. Następnie zwierzęta napojono na drogę, żołnierze zjedli śniadanie i oddział ruszył. Wszystkim marzyła się gorąca kąpiel, solidny posiłek i coś zimnego do picia. Koło południa góry po prawej stronie skończyły się. Przed nimi rozciągała się pofałdowana, porośnięta kaktusami równina. Tu i ówdzie widać było krzewy bawełny, kolczaste zarośla, splachcie trawy. Skręcili w stronę długiego, łagodnie wznoszącego się stoku. Ze szczytu dojrzeliby nareszcie cel marszu: biegnącą ze wschodu na zachód linię kolejową, drzewa, kamienne mury, budynki z suszonej cegły bielejące w słońcu. Miejscowość liczyła jakieś pięć tysięcy domów; więcej niż Columbus, więcej niż jakiegokolwiek miasta napotkane dotąd w Meksyku. Ciągnęło się i ciągnęło; niesamowite było to przejście od pustyni do dużego miasta. Żołnierze pośpiesznie otrzepywali ubrania z pyłu, wtykali koszule w spodnie i prostowali kapelusze. Zapinali kabury, aby nie wyglądało, że przybywają w złych zamiarach.

Ruszyli w dół. W miarę jak zagłębiali się w dolinę, robiło się coraz cieplej. Ocierali rękawami spocone twarze, co chwila spoglądali w stronę miasta. Ostatecznie było ich blisko trzy setki i należało spodziewać się, że ktoś zauważy przybycie tak licznej grupy konnych. Tymczasem nikt nie wychodził ich witać. Sto metrów od pierwszych zabudowań major kazał się zatrzymać. Dalej ruszył już tylko z setką ludzi. Wkrótce dotarli do wartowni na stacji kolejowej. Przez krótką chwilę stary miał wrażenie, że znów znalazł się w Columbus. Potem zjawił się wartownik i stary zrozumiał, że coś jest nie tak.

Meksykanin zdziwił się, gdy major zażądał widzenia z dowódcą garnizonu. Popatrzył na nich przeciągle i zniknął w budynku. Kiedy wyszedł ponownie, jego spojrzenie było już wyraźnie odpychające. Stary rozejrzał się szybko. Coś tu śmierdziało. Wartownik oświadczył, że mają zezwolenie na wjazd do miasta. Staremu to też się nie podobało. Nie podobała mu się cisza tego miejsca. Przekroczyli tory i ruszyli główną ulicą w kierunku centrum miasta. Te puste ulice,

163

ludzie wyglądający ukradkiem zza przymkniętych drzwi, dzieci kryjące się na ich widok — wszystko

to przywodziło staremu na myśl miasto, które jako pierwsze sprawdzał po ich wkroczeniu do Meksyku. Tu też jedynym dźwiękiem było dudnienie kopyt na wyschniętej glinie ulicy i tak samo jak tam, starego ogarnął niepokój. Może to tylko pamięć późniejszych wydarzeń? Wjeżdżając do tamtego miasta nie zauważył właściwie niczego podejrzanego. Dzisiejsze złe skojarzenia wywołało wspomnienie tego, co działo się tam następnego dnia. Tu wszystko będzie grało. A może i nie. Nie umiał powiedzieć. A zresztą nie miało to znaczenia — był tu i chcąc nie chcąc musiał doprowadzić sprawę do końca.

Spory rynek pomieścił ich wszystkich. Major ustawił żołnierzy w pięciu rzędach. Następnie z Calendarem i piątką ludzi udał się do komendy garnizonu. Mieściła się w niczym nie wyróżniającym się, może tylko nieco większym budynku, piętrowym jak inne wokół placu — ściany z suszonej cegły, wystające belki stropu. Przed wejściem zatrzymali się, czekając, aż wartownik wprowadzi ich do środka. Czekali dość długo. Wreszcie major, mijając wartownika, wszedł na schody, za nim poszedł stary i inni.

Człowiek za biurkiem wytrzeszczył na nich oczy. Nigdy nie słyszał o żadnym Mesie, dziwił się, po kiego diabła wjechali do miasta i życzył sobie, żeby czym prędzej wynosili się stąd.

Stary poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Uświadomił sobie, zbyt późno, że zostali wystawieni do wiatru. Mesa był człowiekiem Yiłli.

Wyjrzał przez okno i zobaczył ludzi gromadzących się wokół placu. Wynurzali się z budynków i z bocznych uliczek; kobiety, lecz bez dzieci, głównie jednak mężczyźni. Nawet nie rozmawiali między sobą, tak dokładnie wiedzieli, co mają robić. Na uwagę starego major także wyjrzał przez okno. Tłum wokół placu rósł z każdą chwilą.

76

Prentice patrzył jak nadchodzą. Wpierw jeden wynurzył się zza rogu, za nim jeszcze trzej i jeszcze — cały tłum. Chłopiec rozejrzał się: zbliżali się ze wszystkich stron. Sięgnął do pasa i rozpiął kaburę. Pozostali żołnierze zrobili to samo. „Jezu Chryste” wyszeptał ktoś. Czekali w napięciu. Prentice nie wiedział jak inni, ale on się modlił.

Po raz pierwszy widział nadciągającą bitwę. Dotąd albo wszystko zaczynało się tak szybko, że nie miał czasu na myślenie, albo — jak w tej wiosce na północ stąd — oddalenie od pola walki pozwalało mu zachować pewien dystans, a jednocześnie włączyć się do akcji. Teraz

164

inaczej. To było tuż, działo się w tej chwili, zbliżało się, a on nie mógł nic zrobić — nie miał kiedy. Już widział ich brązowe, błyszczące oczy. Czuł ogarniającą go panikę. Najchętniej wyrwałby się z szeregu i uciekł, gdzie oczy poniosą. Starął się stłumić ten niedorzeczny impuls i choć mu się to udało, poczuł nagle, że coraz trudniej mu zapanować nad zwieraczem. „Cholerny świat”, jęknął, gdy coś ciepłego i mokrego wypełniło mu spodnie. Nie był już przerażony. Był wściekły. Gdzieś z lewej strony nadszedł ciągniony przez muła wózek. Ktoś spłoszył zwierzę, tak że gnało prosto na zewnętrzny szereg żołnierzy. Zrozumiał, że to coś dla niego. Mógł nie wiedzieć, jak zachować się

wobec tych wszystkich, gromadzących się wokół placu, ludzi, ale muł był czymś oczywistym. Czuł podniecenie i wdzięczność za okazję do działania. Przerzucił nogę przez łąk siodła, zeskoczył na ziemię i wybiegł na spotkanie zaprzęgu. Dość znacznie oddalił się od szeregu. Nie próbowałby tego z koniem, ale muł był wolniejszy i obciążony — to mogło się udać. Począł, aż zwierzę znalazło się o krok od niego, wtedy odskoczył i z całej siły uderzył je w bok szyi. Zaatakował barkiem pozbawiając je równowagi, pochwyił lejce i szarpnął nimi w dół, jednocześnie kopnięciem podbijając przednią nogę muła. Zwierzę runęło pyskiem do przodu. Zaplątało się w powrozy uprzęży, szarpało się i ryczało, tak iż chłopiec myślał przez chwilę, że zrobił mu krzywdę. Ale jego nogi wyglądały na całe i muł szarpnął się, usiłując wstać; upadł znowu. Prentice mając pewność, że nic mu nie będzie, pomógł mu stanąć na nogi. Doprowadził uprząż do ładu, skierował zwierzę w inną stronę i popędził je przed siebie. Potem błyskawicznie sięgnął po pistolet i odwrócił się twarzą w stronę tłumy. Ramię go bolało, ale nie zwracał na to uwagi. Znow coś się działo, a on czuł się dobrze. Wyszukał wzrokiem faceta, który spłoszył muła.

— No, psia twoja mać, dalej! Zobaczmy, jak ci się to spodoba! I tłum przystanął.

W tym momencie Prentice usłyszał jakiś hałas. Odwrócił się i zobaczył, że drzwi komendy garnizonu otwierają się i wychodzą z nich major, Calendar i reszta. Za nimi pojawił się człowiek w zapiętym pod szyję mundurze, smagły, czarnooki, o długich obwisłych wąsach. Ze sposobu w jaki się rozglądał, widać było, że jest przestraszony. Major zatrzymał się na schodach, zwrócony do swoich żołnierzy, jakby chciał przemówić, ale nie zdążył. Ktoś krzyknął i wszyscy zwrócili głowy w tamtym kierunku, także major i Prentice. Przez plac zbliżał się na koniu niski mężczyzna. Cały ubrany na szaro, w bryczesach, w lśniących butach, nawet ze szpicrutą. Jego twarz zdobiła krótka szpiczasta bródka.

165

— Viva! Todos! Ahora! Viva Mexico! — wykrzykiwał z silnym niemieckim akcentem.

Tłum zafalował.

— Viva Yilla! — zawołał major i zabrzmiało to tak niespodziewanie, że wszyscy musieli się roześmiać.

To mogło rozładować sytuację, dając Amerykanom szansę odwrotu. Ale za Niemcem był jeszcze ktoś — wysoka, potężnie zbudowaną kobieta z mauzerem w rękach. I o ile obecność tamtego była zrozumiała — jeszcze jeden agent, wysłany, by uruchomić drugi front — to kobieta stanowiła zagadkę. Wyglądała na Europejkę, ale nie Niemkę, raczej Szwedkę czy Norweżkę. Oczy miała jasne, twarz wyrazistą, włosy zaczesane do tyłu. Mówiła po hiszpańsku bez śladu obcego akcentu. Prentice nie rozumiał, co woła, ale każde jej słowo brzmiało jak splunięcie i jasne było, że im ubliża. Wyglądała i wysławiała się jak ktoś, kto mieszka tu od dawna. Nikt tego wfedy nie wiedział, bo rzecz ujawniono wiele lat później, ale nazywała "Się Elisa Griensen, od pewnego czasu sympatyzowała z Yillą, a on sam znajdował się w jej mieszkaniu, dwa domy od placu. Opiekowała się nim i chociaż miejscowi także prawdopodobnie nie wiedzieli o jego obecności, wyglądało na to, że i ona cieszyła się tu pewną popularnością, toteż niebawem wszyscy przyłączyli się do niej, hałaśliwie żądając wypędzenia gringos. Oficer z komendy garnizonu kręcił bezmyślnie głową,

wyraźnie zdenerwowany. Tłum przysunął się trochę bliżej. Major i pozostali żołnierze pośpieszyli do koni. Prentice poszedł za ich przykładem.

— Wyośmy się stąd! — zawołał major i oddział zaczął opuszczać plac.

Gdzieś z tyłu huknął strzał. Prentice nie był pewien, kto strzelał, ale odgłos był zbyt odległy, by mógł to zrobić któryś z kawalerzystów. Chwilę później rozległy się kolejne wystrzały i kule jęły świstać nad jego głową. Skulił się, teraz już pewien, że strzelają do nich.

Niespodziewanie pojawił się przy nim Calendar.

— Trzymaj się blisko mnie — powiedział.

— Nie ma obawy, będę — odparł chłopiec przestraszonym głosem. I to był pierwszy błąd starego.

Tam, na placu, śmiał się. Nie z tego, co major zawołał do Niemca, ale widząc, jak chłopiec załatwił sprawę z mułem. Poradził sobie bez zarzutu. Był świetny. Meksykanów zamurowało, kiedy stanął naprzeciw nich i stary był pewien, że sam nie zrobiłby tego lepiej. Czy zaczynało skutkować jego szkolenie, czy też ujawnił się wrodzony talent chłopca — tak czy inaczej stary zobaczył w nim zadatki na prawdziwego

166

zawodowca. Ciągnęło go do tego chłopaka już od dawna i teraz też nie chciał spuścić go z oka.

Z zdobytą bronią galopowali główną ulicą, kierując się w stronę przedmieścia. Z tyłu, a teraz też i z bocznych uliczek strzelano do nich. Stary omiatał wzrokiem górne piętra domów uważając, czy z jakiegoś okna nie wysuwa się lufa karabinu, czy ktoś nie próbuje ciskać czymś w przejeżdżających. Chciał mieć pewność, że nikt nie tknie chłopaka. Raz i drugi wystrzelił, widząc podejrzany ruch w oknie na piętrze. Major prowadził oddział prosto główną ulicą; zabudowania ustąpiły już miejsca otwartej przestrzeni. Minęli tory i wartownię obok stacji. Za torami major skręcił w lewo, kierując się między dwa niewielkie wzgórza. Żołnierz z wartowni wybiegł na peron i gdy składał się do strzału, stary zastrzelił go, nie zwalniając nawet biegu konia. Patrząc na wzgórza, między które prowadził ich major, raz jeszcze wrócił myślą do wąwozu w Colorado, który doprowadził ich do rzeki, gdzie osaczyli ich Indianie. Jednak tym razem wąwóz przypominał raczej ten w Meksyku, gdzie ścigali ich federales. U jego wylotu znów leżała piaszczysta niecka. Była mała, a jej strome zbocza uniemożliwiały dalszą ucieczkę. To cholerne miejsce wyglądało jak najgorsza pułapka. Zawrócili i jęli się cofać. W tłumie na skraju miasta stary spostrzegł żołnierzy; właśnie dosiadali koni. Major prowadził ich na powrót do drogi, którą wjechali do miasta, potem skręcił w kierunku miejsca, gdzie została reszta oddziału. Spieszył się. Stary nie miał pojęcia, dlaczego dowódca nie zrobił tego od razu, dlaczego skręcił w stronę wąwozu, zamiast gnać prosto przed siebie. Czyżby obawiał się, że nie dotrą tak daleko? A może sądził, że wkrótce wszystko się uspokoi i spór da się załatwić polubownie? Calendar nie znał powodów decyzji majora, ale był zdania, że nie należy ryzykować. Zesztą teraz nie miało to znaczenia. Tu, w odkrytym terenie, nie musiał martwić się o chłopca. Prentice radził sobie bardzo dobrze, a jeśli chodzi o jazdę konną, był doskonały. Jechał równo i pewnie; puścił konia szybko, lecz nie na tyle, by go zamęczyć. Stary mógł zająć się sobą, policzyć

oddane strzały i sprawdzić, ile mu jeszcze zostało ładunków. Podniósł głowę; całkiem niedaleko widział już drugą grupę ich oddziału. Stali na środku drogi, konie dreptały w miejscu, ludzie wypatrywali czegoś od strony miasta. Nie rozumiał, dlaczego nie wyjechali im na spotkanie, ale to już się stało. Wreszcie zrównali się z nimi i mogli spojrzeć za siebie, i... Jezu, meksykańska kawaleria w szyku bojowym waliła prosto na nich.

— Wyośmy się! — raz jeszcze zakomenderował major. Zresztą nikt nie potrzebował zachęty — już zawracali i gnali wzdłuż drogi.

167

L'

Meksykanie mieli świeższe konie i teraz doganiali ich szybko. Załamali szyk, próbując oskrzydlić uciekających. Po obu stronach drogi pola przecinały zbudowane co jakieś pięćdziesiąt metrów kamienne murki. Pogoń już nadciągała, huknęły strzały. Spoglądając do przodu stary widział, jak jeden z plutonów zatrzymuje się, ludzie zeskakują z koni i, zgodnie z tym czego ich nauczono, szykują się do powstrzymania nacierających. Obejrzał się na chłopca i zobaczył, że i on dołączył do nich.

— Nie! — krzyknął stary, ale Prentice był już na ziemi, razem z tamtymi.

Calendar zawrócił i podjechał do niego. Porwał karabin, zsunął się z konia i skulił za murkiem, nad którym już zaczynały gwizdać kule.

— Cholera, co ty wyprawiasz?

Ale chłopak nie słuchał. Strzelał z innymi w kierunku ławy atakujących Meksykanów. .

I tak oto stary powtórzył swój błąd. „Pilnuj siebie” i tego co robisz”. Tej zasady nigdy dotąd nie złamał. Nawet teraz nie bardzo zdawał sobie sprawę, że właśnie to zrobił. „Myśl o sobie i nie pozwól, żeby cokolwiek — albo ktokolwiek — ci przeszkadzało”[^] Sam nigdy by się nie zatrzymał. Wiedział, że to było głupie. Potrzebowali lepszej osłony. Nie mógł jednak zostawić chłopca. Jego zdolność oceny sytuacji przyćmiły zaskoczenie i strach, połączone z instynktowną potrzebą chronienia go; przestał zwracać uwagę na to, co robi. Razem strzelali ponad murem do zbliżających się Meksykanów; kule kruszyły kamienie wokół nich, żołnierze padali, tamci ponosili straty, ale byli coraz bliżej. Stary zrozumiał, że muszą uciekać. Pochwycił chłopaka i mimo jego oporu powłókł go do tyłu. Inni żołnierze też zaczęli się cofać. Dopadli koni, stary podsadził chłopca i po chwili wszyscy znaleźli się w siodłach i ruszyli galopem, ostrzeliwując się przed pogonią, by dołączyć do oddziału.

Nie mieli szans. Meksykanie byli tuż. Przeskakując ogrodzenia gnali polami, inni zjeżdżali na drogę i po chwili uciekający kawalerzyści musieli znów przystanąć i szukać schronienia za kolejnym murkiem. Ponownie odezwały się ich karabiny. Tym razem niewiele brakowało, by stary pojechał dalej... ale został. Przestał już myśleć racjonalnie; ignorował zupełnie pewne cele, koncentrując się na chronieniu chłopca. Strzelał do każdego, kto celował w jego stronę. A kiedy ich część muru dostawała się pod silniejszy obstrzał, zmuszał go do położenia się na ziemi.

Chłopiec natomiast nawet tego nie zauważył. Był zupełnie nieobecny. Obracał zamkiem swego springfielda, celował, strzelał, znów repetował... Meksykanie padali, a kiedy ktoś przyciskał go do ziemi czy włókł do tyłu, prawie tego nie dostrzegał. Rwał się na powrót do muru. Strzelać dalej... Żołnierze obok cofali się, ktoś podsadził go na konia. Odruchowo usadowił się w siodle i razem z innymi galopował drogą.

Nigdy przedtem nie czuł się tak oderwany od rzeczywistości. Albo raczej tak w nią zanurzony, porwany wirem wydarzeń. Jego karabin, jego koń, mur, koledzy kawalerzyści i tamci żołnierze — wszystko to jasne, czyste i wyraźne. Nie miał pojęcia, jak długo galopował wzdłuż drogi. Czuł tylko, że to robi i czuł wielką radość. Prawie nie zauważył, kiedy znów się zatrzymali. Tak jak inni zeskoczył z konia, a do jego świadomości dotarł obraz nowego muru, zza którego mógł znów strzelać, repetować, ładować magazynek za magazynkiem. Niejasno zdawał sobie sprawę z czyjejs obecności; ktoś był przy nim, strzelał do przemykających w pobliżu sylwetek, przyciskał go do ziemi, a on znów podnosił się, strzelał, ładował... Potem jeszcze raz krótki galop, jeszcze jeden mur... powtarzające się obrazy i wydarzenia jęły się zamazywać, zachodzić mgłą, jakby to wszystko działo się jednocześnie. Przez chwilę jakaś cząsteczka jego samego oderwała się odeń i jakby przyglądała mu się z boku. Pomyślał, że chyba postradał zmysły.

Stary nigdy nie widział czegoś podobnego. Chłopiec strzelał, pot zmieszany z kurzem spływał mu po twarzy, krzyczał, obracające zamek dłonie poruszały się jak automat. Meksykanie padali jeden po drugim, obok jęczyli ranni. Chłopiec porwany jakimś szaleństwem zanosił się od krzyku i stary też pozwolił opętać się jego szaleństwu; krzyczał razem z nim i strzelał, podświadomie już starając się go osłaniać... Wtedy kula trafiła go w ramię. Dokładnie w to samo miejsce co wtedy, podczas bitwy z federalnymi niedaleko granicy. Upadł na twarz. Nie wiedział, co się stało, dopóki nie oparł się na tę rękę, żeby się podnieść. Załamała się pod nim i znów upadł. Przekręcił się na bok i spojrzał na ramię. Rękaw koszuli był czerwony i ciepły. Plama rozszerzała się. Nie czuł bólu. Chwilę później odgłos wystrzałów i krzyki przywróciły go do przytomności. Podczołgał się bliżej muru. Na szczęście była to lewa ręka. Przynajmniej nadal mógł strzelać. Kiedy jednak klęknął i wyjrzał

poza osłonę, spostrzegł, że Meksykanie podeszli zbyt blisko. Znów chwycił chłopca i pociągnął do konia. Nie miał pojęcia, skąd bierze siły i przytomność umysłu, żeby robić to wszystko: strzelać, podsadzić chłopca na siodło. Skrzywił się z bólu i wskoczył na konia. Reszta grupy poszła za jego przykładem. Ruszyli na drogę.

Jeszcze trzy razy zatrzymywali się, przy kolejnych murkach stawiając czoło nacierającym. Z całego plutonu zostało już tylko kilku kawalerzystów. Dotarli na szczyt wzniesienia i w dole ujrzeli wioskę. Niewielką, obiecującą jednak jakieś schronienie. Ich oddział okopywał się właśnie. Z tej odległości ludzie wyglądali jak zabawki. Dołączyli do nich ci, którzy wcześniej zostali za główną grupą. Wciąż

jednak było ich zbyt mało, a Meksykanie zbyt blisko. Nie mogli liczyć na to, że uda im się przebyć taki szmat odkrytego terenu. Tak więc raz jeszcze zeskoczyli z koni i kryjąc się za głazami, w zagłębieniach gruntu, gdzie się dało, rozsypali się po wzniesieniu. Ostatni kamienny murek został daleko w tyle. Żołnierze w wiosce zauważyli, co dzieje się na wzgórzu, i rzucili się do koni, by ruszyć im na pomoc, ale w tym samym momencie do wzniesienia dotarła pierwsza fala atakujących.

Mimo nieprawdopodobnego zamieszania stary, rozglądając się w biegu za jakąś osłoną, spostrzegł, że chłopiec zniknął. Obejrzał się i ujrzał go leżącego z zakrwawioną twarzą na ziemi. Przez chwilę myślał, że tamten dostał, ale później zauważył umazany krwią kamień w miejscu, gdzie chłopiec upadł, i zrozumiał, że po prostu się potknął. Podbiegł/postawił go na nogi i powlókł za osłonę wielkiego głazu. Tu dosięgło ich pierwsze uderzenie Meksykanów. Stary strzelił, zarepetował i strzelił powtórnie trafiając dwóch, którzy pojawili się na wzniesieniu. Żołnierze otworzyli ogień i pierwsza fala atakujących cofnęła się. Niedaleko. Reszta następowała tuż za nimi.

Spojrzał na chłopca, chcąc sprawdzić, czy mocno się zranił. Tamten zamrugał; krew spływała mu z czoła na policzek. Wzrok miał całkiem przytomny. Patrzył na starego, jakby zauważył go dopiero teraz.

— Jak długo? — spytał.

Stary zmarszczył czoło, ale zaraz zrozumiał. Chłopiec chciał wiedzieć, jak długo był nieobecny. „Przynajmniej godzinę”, zamierzał powiedzieć stary — może dwie, skąd miał wiedzieć — ale nie zdążył. Meksykanie przypuścili kolejny szturm.

Trącił chłopaka w bok.

— Łap za broń. Wpakowałeś mnie w to, więc kończmy. — I zaczął strzelać.

Przewracając się, chłopiec upuścił swojego springfielda. Teraz wydobył pistolet, załadował i strzelał raz za razem. Stary oddał jeszcze dwa strzały; potem jego karabin szczęknął tylko — w magazynku

170

zabrakło naboii. Sięgnął po pistolet, szarpnął suwadło i strzelał dalej. Położył dwóch Meksykanów; spostrzegł trzeciego pędzącego w stronę chłopca, wycelował i tego położył także.

Kula, która go w tym momencie trafiła, tym razem przeszła bok.

Chłopiec spostrzegł, że stary pada. Odwrócił się i zobaczył, jak wije się w piachu. Uniósł pistolet, wycelował i zastrzelił żołnierza, który go trafił. Kolejny zbliżał się od jego strony. Chłopiec złożył się i nacisnął spust, ale strzał nie padł. Klęczał tam, zupełnie bezbronny, kiedy Meksykanin wycelował weń i strzelił.

Czuł, że znów się oddala, że część jego umysłu oddziela się i oto jest u siebie, na farmie i rozmawia ze starym Calendarem i ze swoim ojcem. Wiedział, że zostaliby przyjaciółmi. Potem obraz starego zaczął jakby blednąć...

Stary dusił się. Próbował odetchnąć, ale nie mógł. Czuł ogień w boku, ramię pulsowało przeraźliwym bólem. Szarpnął się, chciał usiąść i wtedy ciężar z jego piersi ustąpił, płuca wypełniły się powietrzem. W koło pełno było żołnierzy na koniach, atakowali w dół wzgórza, strzelali za kims, a on nie mógł poruszyć nogami. Po chwili zorientował się, że przygniata go czyjeś ciało, spoczywające w poprzek jego ud. Zsunęło mu się z piersi, gdy usiadł. Spojrzał uważniej i poznał chłopca.

— O Boże — wymamrotał.

Z trudem wydostał się spod bezwładnego ciężaru. Chłopiec leżał twarzą do ziemi. Stary odwrócił go. Dopiero teraz zobaczył jego głowę. Poczł skurcz żołądka: kości, krew i mózg.

— Chryste — powiedział. — Jezu Chryste.

— Jak długo? — szepnął chłopiec. Jego powieki zadrgały. Calendarowi nie mieściło się w głowie, że może jeszcze mówić.

— Rany boskie! Co się stało? Jak mogłeś do tego dopuścić? Wtedy spostrzegł pistolet w ręku chłopca. Zamek, po ostatnim

strzale, kiedy wyczerpał się magazynek, zatrzymał się w tylnej pozycji.1

— Twój zapasowy rewolwer. Na Boga! ostrzegałem cię, mówiłem, pamiętaj o zapasowej broni, czy nie? Co się z tobą stało? Nie chciałeś słuchać. O Boże! — Stary rozplakał się.

Chłopiec patrzył nie widzącym wzrokiem, jego powieki opadły, uśmiechnął się. Szepnął coś niewyraźnie, a stary zbliżył ucho do jego warg, błagając, by powtórzył.

— Nie byłem dość dobry.

171

Stary szlochał. Nie zrozumiał tych słów.

— Nie byłem dość dobry. Nie byłem dość dobrym uczniem.

— Nie, to moja wina. To ja nie byłem dość dobrym nauczycielem. Ale chłopiec tylko pokręcił głową. Czy raczej spróbował, bo nie

dokończył już tego gestu.

Stary siedział na piasku, ścisł go w ramionach i płakał.

Żołnierze opowiadali później, jak znaleźli go tam z chłopcem w ramionach, powtarzającego: „Nie jestem dość dobry. Nie dość dobry”. Mijali go strzelając do federalnych po drugiej stronie wzgórza. A on siedział i płakał. Potem delikatnie złożył ciało na ziemi, wstał, otarł łzy z policzków i obrócił wzrok na meksykańskich żołnierzy cofających się w dół zbocza. --

Twarz miał surową, ruchy pewne, jakby nie został ciężko ranny. Złapał karabin i zaczął strzelać. Wystrzelał cały magazynek, pochwycił kolejny karabin i ten też opróżnił do ostatniego naboju. Następnie porwał porzucony przez kogoś pistolet, potem drugi, klnąc na głos dopadł swego konia, dosiadł go i popędził za Meksykanami. Żołnierze obecni na wzgórzu ruszyli za nim. I jak podczas odwrotu stary przyznał, że nie zdarzyło mu się widzieć człowieka opętanego taką bitewną gorączką jak chłopiec, tak teraz żołnierze jadący za Calendarem mówili to samo o nim. Opowiadali, że pędził na oślep tłukąc konia piętami, aż niemal zrównał się z tamtymi, tak że właściwie nie mógł chybić, wyciągnął jeden pistolet, złożył się i strzelił, i jeszcze raz... Opróżnił magazynek, przerzucił się na drugi pistolet, ten też wystrzelał, zmienił magazynek i znów złożenie, i strzał, aż zabrakło mu naboju. Wtedy sięgnął pod kamizelkę po rewolwer i znów Meksykanie zaczęli spadać z koni. Opowiadano, że tego dnia zabił ponad trzydziestu ludzi — ta liczba nigdy nie została sprawdzona, ale wszyscy zgadzali się, że było ich więcej niż trzydziestu. Kiedy major o tym usłyszał, żałował, że nie było go tam i nie widział tego, tym bardziej że pamiętał starego biorącego szturmem to wzgórze na Kubie.

Stary wysforował się o jakieś pięćdziesiąt metrów przed pozostałymi, wciąż strzelał, Meksykanie padali. Pierwsza kula trafiła go w nogę, druga w ramię. Ta zrobiła swoje. Osunął się z konia, padając twarzą w piach. Właściwie dobrze się stało, powiedział później major: wstrząs był tak silny, że pozbawił go przytomności, przestał myśleć. Żołnierze dojechali do niego, ostrzeliwując cofających się Meksykanów. Zsiadali z koni pewni, że Calendar nie żyje. Tymczasem jakimś cudem — żył.

172

A może nie był to żaden cud; ten człowiek, tak dumny, zdecydowany stawić czoło ostateczności, po prostu nie miał szczęścia i przeżył. Zabrali go do wioski, a lekarz ujrzawszy go, tylko pokręcił głową. Zrobił jednak co mógł, a stary, choć trafiony cztery razy, oszukał wszystkich i nie umarł. Minęło jednak sporo czasu, nim odzyskał przytomność — trzy dni i trzy noce — a i wtedy tylko poruszał oczami i mrugał. Nawet nie próbował mówić. W tym czasie oddział szykował się do odparcia oblężenia. Meksykanie wrócili i obsadzili okoliczne wzgórza. Major posłał po posiłki i pod wieczór pierwszego dnia oblężenia doczekał się odsieczy. Przybył oddział kawalerii złożony z samych czarnych i uradowany ich widokiem major zawołał, że gotów jest wycalować wszystkich po kolei. Dowodzący Murzynami oficer nazwiskiem Young uśmiechnął się od ucha do ucha i zaproponował, by zaczął od razu, najlepiej od niego.

Żołnierzy Younga było jednak za mało, by przełamać oblężenie. Nie pomógł również przybyły nieco później następny murzyński oddział. Przez cztery dni, dopóki pułkownik nie przyprowadził do miasta większych sił, Meksykanie nie ruszyli się ze wzgórz.

Amerykanie zostali w Parral jeszcze tydzień. Potem nadszedł rozkaz Pershinga do wymarszu na pomoc. Stary był już wtedy całkiem przytomny i wypytywał o wszystko, unikając przy tym wszelkich wzmianek o chłopcu. Wiedział, że Prentice został pochowany, ale nikt nie usłyszał od niego słowa na

ten temat. Przeniesiono go na wóz i razem z innymi ruszył na północ. Zatrzymali się w pół drogi do granicy, w miejscu gdzie Pershing miał swą bazę. Dla żołnierzy był to chwilowo koniec drogi, ale nie dla starego. Major, choć niechętnie, musiał odesłać go na tyły, a stary nie spierał się z nim. Był skończony. Powieźli go więc dalej na północ, najpierw do Colonia Dublan, potem do Columbus, gdzie wszystko się zaczęło.

81

Calendar ledwo mógł rozpoznać dawne Columbus. We wszystkich kierunkach ciągnęły się rzędy namiotów. Tam gdzie niedawno była pustynia, teraz wznosiły się budynki. Widział nowe korrale, stajnie, posterunki przy drogach, baraki i składy. Kilka tysięcy żołnierzy, przynajmniej tysiąc robotników; żandarmeria polowa, uzbrojeni policjanci, jakieś typy nadzorujące robotników. To nie wszystko. Było jeszcze lotnisko, park samochodowy, lotniczy poligon doświadczalny; jak dzień długi huczały silniki.

Ludzie opowiadali, że siedział w Columbus kilka dni. Inni twierdzili,

173

T 1

że natychmiast wyjechał. Wszyscy widzieli, że gdy tylko zaczął chodzić, kręcił się po obozie, jakby szukając znajomych miejsc. Nic więcej — z jednym wyjątkiem — nikt o Calendarze powiedzieć nie umiał.

82

Wyprawa Pershinga nigdy nie posunęła się za Parral. Dotarli tak blisko Yilli, a jednak ponieśli porażkę. Szansa schwytania go przepadła bezpowrotnie. Rozgniewane władze Meksyku zawiadomiły Pershinga, że może przemieszczać się we wszystkich kierunkach, oprócz południa, wschodu i zachodu. Tak więc ruszył na północ. Teren objęty działaniami był dziki i rozległy, jego oddziały zbyt rozproszone, linie aprowizacyjne nadmiernie wydłużone. Kiedy w czerwcu doszło do kolejnej potyczki oddziału amerykańskiego z wojskami meksykańskimi, tynt razem w miejscowości Carrizal, oburzenie Carranzy przybrało tó�k hałaśliwą formę, że omal nie doszło do wojny między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Zgrupowane blisko granicy siły Pershinga stały się właściwie bezużyteczne. Niemniej nie opuszczały Meksyku jeszcze przez siedem miesięcy. Pershing myślał o wojnie w Europie i, na wypadek gdyby Stany Zjednoczone miały kiedyś do niej przystąpić, szkolił swoich ludzi w metodach walki, użytecznych w tamtych warunkach. Poznawali trafniejsze, zapory z drutu kolczastego, obsługiwali w zmienionych warunkach karabiny maszynowe. Wśród jego podwładnych wyróżnił się wtedy porucznik George S. Patton, Jr. I kiedy w kwietniu następnego roku Amerykanie wyruszyli za ocean, oddziały Pershinga, które dwa miesiące wcześniej wycofano z Meksyku, tworzyły rdzeń ich armii. Pershing został jej dowódcą, a nazwano ją Amerykańskimi Siłami Ekspedycyjnymi. I jak Sheridan i Sherman po wojnie domowej poszli walczyć z Indianami, tak Patton z Meksyku pojechał na pierwszą wojnę światową, a potem oczywiście do Francji, na drugą.

Yilla wyleczył się z ran i dzięki pomocy mieszkańców Parral przedostał się do Durango, gdzie udało mu się odtworzyć dawne siły. Napadał na posterunki wojsk Carranzy — w Satevó, Santa Isabel, Chihuahua City, potem w Parral, Torreón i Camargo — i wyglądało na to, że znów należy się z nim Uczyć. Tymczasem to, co robił, nie miało już znaczenia. Służyło tylko jego osobistym celom. Zapata, dawny kompan Yilli, zginął w zasadzce. Carranza, wobec groźby buntu wojskowego, zgarnął ile mógł mienia państwowego i uciekł. Zastrzelono go na drodze do Yeracruz. Obregón, kiedyś sprzymierzeniec Carranzy, stanął na czele rebelii, utworzył marionetkowy rząd

i sam objął władzę. Kilka lat później zastrzelił go pewien młody człowiek, podający się za obrońcę interesów Kościoła katolickiego. Nim to się stało, Obregón ułaskawił Yillę, przyznając mu kilka tysięcy akrów ziemi i hacjendę niedaleko Parral. Yilla mieszkał tam przez kilka lat. W 1923 roku, po jakiejś awanturze o długi karciane i nie zapłacone meble, ośmiu mężczyzn zaczął się nań na piętrze domu w Parral. Nadszedł w sześciuosobowej obstawie, samochodem — był to dodge, taki sam, jakiego Pershing używał podczas swej wyprawy — i wtedy mężczyźni na poddaszu otworzyli ogień. Padło tyle strzałów, że nikt właściwie nie miał prawa przeżyć. Niemniej jeden człowiek z obstawy, jadący w tyle, ocalał. Pochowano Yillę w Parral. Rok później ktoś otworzył grób i uciął mu głowę. Nie wiadomo, co się z nią stało. Samochód znajduje się w Chihuahua City — zardzewiały, podziurawiony kulami, stoi w szklanej gablocie na tyłach dużego różowego domu, gdzie niegdyś mieszkał Yilla, a obecnie mieści się muzeum.

Ostatnią dużą bitwę stoczył Yilla w Juarez, ledwie przez granicę od El Paso. Ucierpiały wtedy domy po amerykańskiej stronie, zginęli żołnierze i cywile. Komendant Fort Bliss nazwiskiem Erwin, który trzy lata wcześniej był z Pershingiem w Meksyku, wściekł się i rozkazał artylerii otworzyć ogień przez granicę w kierunku toru wyścigów konnych w Juarez, gdzie zgromadziły się oddziały Yilli. Pod osłoną dział jednostka kawalerii przekroczyła Rio Grandę, atakując Mek-sykanów ze skrzydła. Z drugiej strony natarł oddział murzyńskiej piechoty — szli dzierżąc karabiny z zatkniętymi na lufy bagnetami. Zadali wtedy Yilli miazdzącą klęskę. Co więcej, pułk z El Paso przeprowadził ostatnią w historii kawalerii Stanów Zjednoczonych konną szarżę z użyciem broni krótkiej. W oddziale tym znajdowało się wielu żołnierzy, którzy byli w Meksyku z Pershingiem i którzy z 13 pułkiem, wraz z majorem i Calendarem, byli w Parral. I kiedy później opowiadali o tej ostatniej szarży, przysięgali, że widzieli starego, jak razem z nimi przeprowadzał się przez rzekę na meksykańską stronę, a także później, obok toru wyścigowego, kiedy wypędzali Yillę z miasta. Nie mogli się zgodzić co do tego, jak wyglądał i w co był ubrany; czy postarzał się albo czy był powolniejszy. Ale wszyscy twierdzili, że go widzieli — jechał z nimi, jak zawsze z rewolwerem w kaburze pod pachą, galopował z pistoletem w dłoni i strzelał. I zgodzili się, że kiedy ich konie opadły z sił, kiedy wyczerpała się amunicja i musieli się zatrzymać, stary jechał dalej. Umykające ku wzgórzom oddziały Yilli skryły się za szczytem wzniesienia, a stary podążał za nimi — samotna, drobna sylwetka oświetlona południowym słońcem — oddalał się, był coraz bliżej szczytu, już tylko punkcik na tle nieba, zniknął.